

# PRZEGLĄD NARODOWY

MIESIĘCZNIK

POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM ŻYCIA NARODOWEGO W ZAKRESIE  
POLITYCZNYM, NAUKOWYM, SPOŁECZNYM, LITERACKIM  
I ARTYSTYCZNYM.

Pod kierownictwem ZYGMUNTA BALICKIEGO.

## T R E Ś Ć:

	Str.
DYLEMAT DZIEJOWY— <i>Zygmunt Balicki</i> . . . . .	369
WIEŚ POLSKA W OKRESIE MIĘDZY UNIĄ LUBELSKĄ, A KONSTYTUCYĄ 3 MAJA— <i>Ignacy T. Baranowski</i> . . .	390
INDYWIDUALIZM ROSYJSKI I JEGO ODBICIE W LITERATURZE— <i>Władysław Jabłonowski</i> . . . . .	416
PROGRAM SZYMONA KONARSKIEGO . . . . .	433
POMORZE PRZEDCHRZEŚCIJAŃSKIE. . . . .	444
PRZEGLĄD SPRAW POLSKICH— <i>Antoni Sadzewicz</i> . . . . .	474
PRZEGLĄD POLITYKI ZAGRANICZNEJ— <i>Bohdan Wasiutyński</i> .	478
Z PRASY: Styl współczesny w architekturze . . . . .	488
BIBLIOGRAFIA . . . . .	493

WARSZAWA

Drukiem Edw. Nicza i S-ki, Nowy-Świat 70.  
1908.

Sz. Prenumeratorów, którzy nie zapłacili zaległości za kw. ubiegły, prosimy o uregulowanie rachunków i wniesienie należności na kw. bieżący. W przeciwnym razie, zmuszeni będziemy wstrzymać wysyłkę pisma.

---

---

# „ZIEMIA LUBELSKA”

## PISMO CODZIENNE

Adres Redakcyi i Administracyi: **Lublin, Krakowskie-Przedmieście Nr. 22.**

**CENA PRENUMERATY.** w Lublinie: Rocznie rb. 6.—, Półrocznie rb. 3.—, Kwartalnie rb. 1.50, Miesięcznie kop. —.50. **Z przes. poczt:** Rocznie rb. 8.—, Półrocznie rb. 4.—, Kwartalnie rb. 2.—, Miesięcznie kop. —.70.

Za granicę rocznie rb. 12.

---

**200** rubli miesięcznego dochodu  
może każdy osiągnąć.

Oferty dla „K. R. 200” nadsyłać do Biura Ogłoszeń  
4.9.7 Ungra, Warszawa, Wierzbowa 8.

---

# „GONIEC WILEŃSKI”

POLITYCZNY,  
SPOŁECZNY  
I LITERACKI

## NAJTAŃSZE PISMO POLSKIE CODZIENNE NA LITWIE!

Pismo daje pełny obraz życia i dążeń społeczeństwa polskiego na Litwie.

PRENUMERATA W WILNIE:		NA PROWINCYI:	ZA GRANICĄ:	Za odnoszenie do domu
Rocznie	6 rb. — kop.	8 rb. — kop.	12 rb. — kop.	dopłaca się rocznie 1 rb.
Półrocznie	3 rb. — kop.	4 rb. — kop.	6 rb. — kop.	miesięcznie 10 kop.
Kwartalnie	1 rb. 50 kop.	2 rb. — kop.	3 rb. — kop.	Zmiana adresu 20 kop.
Miesięcznie	— rb. 50 kop.	— rb. 70 kop.	1 rb. — kop.	Numer pojedynczy 5

**Nowość!** Prenumerata tygodniowa w Wilnie **15 kop.** z odnoszeniem do domu. **Nowość!**

Adres Redakcyi i Administracyi „Dziennika Wileńskiego”: Wilno, ul. Dominikańska 17.  
PRENUMERATĘ I OGŁOSZENIA PRZYJMUJĄ: FILIE, KSIĘGARNIE, BIURA OGŁOSZEŃ.

---

# PRZEGŁĄD NARODOWY

## MIESIĘCZNIK

POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM ŻYCIA NARODOWEGO W ZAKRESIE  
POLITYCZNYM, NAUKOWYM, SPOŁECZNYM, LITERACKIM  
I ARTYSTYCZNYM.

Pod kierownictwem ZYGMUNTA BALICKIEGO.

---

REDAKCJA:  
ulica SMOLNA 10, mieszk. 10  
TELEFON 32-15

WARSZAWA

ADMINISTRACJA:  
ul. NOWOGRODZKA 31, m. 14  
TELEFON 195-38

---

### DYLEMAT DZIEJOWY.

---

Polska, przez cały ciąg swoich popiastowskich dziejów, nie miała ani pierwszorzędných polityków, ani mężów stanu, którzyby wyraźne swe na jej losach wycisnęli piętno. Nie miała ich, bo ich nie wydawała, i chyba przybysz, jak Stefan Batory, krótkimi swymi rządami podniósł myśl polityczną na wyżyny zadań dziejowych.

Fakt ten tak bezsporny, tak bijący w oczy, a tak mało wyświełlony w swych przyczynach i skutkach, zasługiwałby na poważne, specjalne studjum. Jedna wszakże jego przyczyna narzuca się sama przez się naszej uwadze i oświećla skośnym swym odbłaskiem nawet czasy dzisiejsze. Jest nią słabość rządów w Rzeczypospolitej.

Polityków i mężów stanu wyższej miary powołuje do życia, zapładnia duchowo, wyrabia, potęguje i zużytkowuje na odpowiedniej arenie tylko rząd silny, pewny siebie, ciągły w swej tradycji, uzbrojony w należyłą egzekutywę. Staje się on organem, skupiającym w sobie doświadczenia pokoleń, zdobywa na tej drodze zasób niewzruszonych pewników, całą zaś inicjatywę swą i energię zwraca na torowanie dróg no-

wych, prowadzących do urzeczywistnienia państwowych założeń i celów. Mężowie stanu wyrabiają się tylko w silnych organizacjach. Wybitny nawet umysł polityczny tylko wtedy zaważyć może na szali losów swego narodu, gdy znajduje odpowiednie dla siebie miejsce i odpowiedni warsztat w silnie zbudowanej maszynie zbiorowej, działającej sprawnie i doskonalącej się wciąż dzięki nowym wkładom jego twórczości. Inaczej—mąż stanu lwia część swych wysiłków obracać musi na remont samej maszyny, na usuwanie przeszkód i tarć wewnętrznych, łamie się z temi przeciwnościami bardziej niż ze zwalczaniem trudności zewnętrznych, aż w końcu starga swe siły i staje wobec potomności niezrozumiany i niewytłumaczony, bo każdy jego krok daje się wyjaśnić tylko powikłanym splotem różnorodnych przyczyn, zamiast jednolitego i prostego celu, któryby w innych warunkach krokami jego kierował. Rola odpowiedzialna wymaga sprawnych narzędzi wykonawczych. Z chwilą kiedy mężczyzna stanu staje się sam narzędziem w ręku maszyny, którą powołany był sterować, nawa publiczna jest tem samem rzucona na fałd losów, gubi swą drogę dziejową, a księga jej podróży niczego godnego naśladownictwa, ani dalszego doskonalenia potomności w spadku nie przekaże.

Tak było w Rzeczypospolitej. Wszechwładztwo gminu szlacheckiego ciążyło nie tylko nad polityką wewnętrzną, ale i nad polityką zewnętrzną narodu. Wojny zaczepnej nie mógł król wypowiedzieć bez zgody nie tylko Sejmu, ale i Sejmików, przyjmowano tedy wojny zamiast je wydawać, i to wówczas, gdy nieprzyjaciół wkraczał w granice Rzeczypospolitej, gdy więc był do walki przygotowany i sam ją w pomysłnej dla siebie chwili wywoływał; wojny przerywano, nawet po zwycięstwie, nie wyzyskując korzystnego położenia, bo szlachta bić się dalej nie chciała, lub stawiała warunki, wytargowując nowe przywileje \*); przymierza zewnętrzne

---

\*) Tak szło od Cerekwicy i Nieszawy, przez wojnę kokoszą, Cecorę, Beresteczko, Lachowicze i Cudnów, aż po Chocim.



zależne były od przewagi odpowiednich stronnictw w kraju, które się pod wodzą magnatów na tle zagranicznych sympatii tworzyły, jeżeli nie były same przez obce wpływy tworzone, do czego elekcyja królów szerokie otwierała pole; ludzi wreszcie dobierano do nakreślonej tym trybem polityki, zamiast powoływać mężów stanu do kierowania polityką Rzeczypospolitej. Gdzie nie było ani szkoły, ani praktyki, ani odpowiedzialnego pola dla statystów, tam nie mógł wyrósć i dojrzeć typ polityka, a gdzie nie było przewodniej myśli politycznej w państwie, tam nie było jej i w narodzie. Nie było w narodzie szlacheckim, nie było tem więcej w narodzie całym, gdy państwa własnego nie stało i przyszło mu kierować samemu swymi losami. Pozostały tylko zakorzenione w społeczeństwie tradycye: prowadzenia polityki masą, od przypadku do przypadku, od nastroju do nastroju, od wpływu do wpływu, stosownie do tego, jak fale uczuć unosiły niespokojną masę. W temto znaczeniu słusznie się mówi, że w narodzie polskim uczucia zastępują myśl polityczną.

Po upadku prób państwowego odrodzenia i dokonanych rozbiorach, jedno tylko uczucie ogarnęło całą politycznie żywotną część narodu — było niem uczucie konieczności przeciwstawienia się spełnionym faktom, i to przeciwstawienia się środkami bezpośrednimi, to jest wojną narodową, do przeprowadzenia zaś zdecydowanego już w umysłach postanowienia powołano Kościuszkę, a równocześnie dopiero rozpoczęto zabiegi dyplomatyczne. Czyż może być naturalniejszy odruch? Dla kontrastowego jednak oświecenia psychologii tego zjawiska dość będzie zestawieć je z innem, sąsiedniem, które nastąpiło zaledwie w 12 lat później. Prusy po Jenie nie wywołały wojny narodowej, mając nawet wzór Hiszpanii i Tyrolu przed sobą i ludność odpowiednio usposobioną, ale równocześnie korpusy sprzymierzonej z Napoleonem Rosyi nad granicą, za to przystąpiły gorączkowo do reorganizacji swego przestarzałego ustroju, armię zaś, ograniczoną do 40 000 ludzi, zamieniły na kadry wojenne. Po siedmiu już latach

wzięły swój odwet. Tu kierowano się polityką państwową, tam — uczuciem narodowym.

Odtąd staje się ono coraz wyraźniej osią, około której obracają się aspiracye narodu, podnoszące się i opadające rytmicznie w miarę wzrostu lub upadku jego sił, ale coraz bardziej niezależne od stosunku tych sił do potęg, z którymi mierzyć się miały. Społeczeństwo staje wobec dylematu bez wyjścia: z jednej strony, według silnie zakorzenionej, chociaż nie sformułowanej opinii, naród polityki prowadzić nie może, — może tylko czuć się narodem, stwierdzać swoje istnienie, wyrażać możliwie głośno swoje pragnienia i dążyć bezpośrednio do wcielenia ich w życie; z drugiej strony — party instynktem samozachowawczym i siłą warunków swego istnienia, naród musi prowadzić politykę, jeżeli chce żyć a nie cofać się i nie rozkładać stopniowo, jeżeli chce osiągać zdobycze i budować swoją przyszłość, a nie tylko marzyć o niej. Tego opinia nasza nie uświadamiała sobie i nie uznawała. Podkreślić to należy wyraźnie, że wobec podobnego dylematu stanąć mógł tylko naród tak wyzuty z tradycyi planowej i ciągłej polityki państwowej, jak polski.

Nie zanikł jednak zupełnie typ mężów stanu, z bożej łaski raczej niż z jądra narodowego wyrosłych, którzy zrozumieli drugą stronę dylematu i w jej myśl przystąpili do pracy; ale rozpocząć musieli politykę interesów narodowych na swoją rękę i na własne ryzyko, bez mandatu społeczeństwa, bez poparcia z jego strony, bez organicznego z niem związku. Takimi byli Czartoryski i Lubecki. Opinia narodowa, ta, która znaczyła swój pochod na kartach historyi, stała poza nimi, przyglądała się ich usiłowaniom, przyjmowała nawet ich twórczą inicjatywę i realizowała osiągnięte przez nich zdobycze, ale patrzyła z najwyższem niedowierzaniem na ich działalność, jako na domniemany wyraz polityki całego narodu, i wietrzyła na każdym kroku abdykację, likwidację swych dążeń, a tam, gdzie ta polityka próbowała hamować wyraz uczuciowych prądów — wprost zdradę. Przychodziła jednak

chwila, gdy prądy te brały górę, podnosiły pierwszą tezę dylematu do wysokości jedyne go wskazania narodowego, zrywały wszelkie więzy krępujących względów politycznych, stawiały wszystko na kartę i w katastrofie dziejowej topiły osiągnięte na drodze polityki zdobycze.

Po roku 1831 oba kierunki myśli publicznej rozbiegły się na emigracyi jeszcze bardziej, wylały się w dwa wrogie sobie stronictwa i w jednostronnej krańcowej wyłączności rozbudzonego między nimi antagonizmu oba zwyrodniały. Wypadki siódmego dziesięciolecia dowiodły, że w przebytych smutnych doświadczeniach naród nietylko się nie zbliżył do wybrnięcia z dziejowego dylematu, ale go jeszcze pogłębił. Wielopolski, przedstawiciel rozumu stanu oderwanego od duszy narodu, był w swych zamierzeniach bardziej jeszcze społeczeństwu obcy niż Czartoryski i Lubecki. Pamiętne jego słowa: „Dla Polaków można jeszcze cośkolwiek zrobić, z Polakami—nie”, znamionowały zupełny rozbrat między dążeniami narodu, zawartemi w jego uczuciach i pragnieniach, a polityką, mającą zaspakajać jego najżywotniejsze potrzeby. Społeczeństwo czuło, że myśl polityczna tego męża stanu wzrosła tylko na dziejach spółczesnego mu stulecia, że nie obejmuje całości losów narodu, to też nietylko odpłacało mu nieufnością, nietylko nie wciągało osiągniętych przez niego zdobyczy do bilansu dorobku narodowego, lecz widziało w nich symptomat abdykacyi, a w nim samym—przeniewiercę dążeń narodu. I znowu fala porywu uczuciowego zaniósła protest dziejowy i zmiotła w swych skutkach wszystko, co się jeszcze pozostało ze zdobyczy, osiągniętych dzięki wysiłkom politycznym ostatnich lat pięćdziesięciu.

\*                      \*

Wyrosły na tradycyi nieoskoordynowanych masowych rządów szlacheckich apolityczny stan społeczeństwa, który zapanował nad całym jego charakterem, nazwałem stanem uczuciowym. Wobec niezmiernej złożoności zjawisk duchow-

wych w życiu społecznem, twierdzenie to wymaga mocniejszego uzasadnienia. A może była to specyficznie polska myśl narodowa, która w ten sposób przejawiała się w dziejach, myśl płynąca z demokratyzacji patryotyzmu, z jego bezpośredniości i niezdolności do połowicznych rozwiązań? — Od jasnego postawienia tej kwestyi zależy znalezienie drogi wyjścia z dziejowego dylematu, który rozwiązany być musi pod grozą niechybnego staczania się w przepaść.

Myśl narodowa, jak każda myśl, opiera się nietylko na pamięci swego „ja” dziejowego, ale i na pamięci całego szeregu przebytych doświadczeń, wyprowadza z nich wnioski, ciągnie nauki i doskonali się wśród prób i przeciwności. Niczego podobnego w apolitycznej postawie naszego społeczeństwa nie było, przeciwnie, mamy tu przed sobą jedyny fakt w historii, że naród raz po raz nietylko te same popełnia błędy, nietylko traci przez nie stopniowo wszystko co posiadał, ale popełnia te błędy w warunkach corazto jaskrawiej uwydatniających niechybną konieczność fatalnych następstw, a z corazto mniejszem prawdopodobieństwem urzeczywistnienia swych pragnień. Tak reagować na fakty i warunki życia może tylko uczucie w swej czystej postaci, nie usystematyzowane i nie ujęte w karby przez żadną pracę myśli, wzmagające się tylko okresami w miarę piętrzących się coraz bardziej trudności i przeciwieństw, ale w przerwach swego napięcia opadające corazto niżej, niedostępne dla żadnych rozumowań, ani dla żadnej refleksyi, tłumaczące wszystko na swoje usprawiedliwienie, a przeradzające się w końcu w ślepy popęd, w namiętność, przeplataną okresami zupełnej bezmyślności.

A dalej — myśl narodowa jest integralna i niepodzielna, sięga ona tak głęboko w przeszłość, że nie jest zdolna rozbić się na części, stosownie do tego, w jakich warunkach losy dziejowe różne odłamy narodu postawiły, a sięgając w przyszłość, nie będzie wyobrażała jej sobie symbolicznie — w formie nieziszczalnego w praktyce, i pozbawionego wszelkiej żywotności cząstkowego bytu. Uczucie w społeczeństwie

przeciwnie — reaguje tam, gdzie jest wystawione na próbę, przeszłość dla niego jest raczej wytworem wyobraźni oderwanej, niż organicznym związkiem jedności życia w czasie i przestrzeni, a przyszłość—pragnieniem, nie dającym się nawet ubrać w kształty realne. Tem się tylko tłumaczą pozbawione wszelkiego szerszego ogólnonarodowego planu, nie przez mężów stanu, lecz przez bezimienną rzeszę dyktowane wystąpienia jednej dzielnicy. Uczucie samo w sobie wylewa się tam, gdzie może, a nie tam, gdzie powinno dla osiągnięcia pewnego celu. Uwydatnienie tej jego roli w niedawnej przeszłości jest o tyle zarzutem, o ile też usprawiedliwieniem bankructwa stuletniej naszej polityki w najważniejszej, najsilniejszej i z początku najlepiej postawionej dzielnicy polskiej.

Wreszcie tylko uczucie jest samo sobie celem, nie szuka go bowiem poza sobą, lecz w sobie, w swem własnem zadowoleniu. Polityka w jego oświeceniu będzie tem lepsza, im bardziej odbija w sobie możliwie silne napięcie uczuć, pozbawiona zaś tych superlatywnych przejawów uchodzić będzie za kompromisową, ugodową, niemal za objaw narodowego zaprzaństwa. Licytacja uczuć kończy się zawsze pustym frazesem w słowie, który pcha do absurdu w czynie. Chłodna rachuba, zestawienie możliwych zysków i strat, znoszenie cierpliwe nawet upokorzeń, gdy się nie ma siły do skutecznego ich odparcia, przygotowywanie kroków na długą metę, zmiana postawy wraz ze zmianą układu sił, gra w zakryte karty, gdy przezorność nie nakazuje ich odsłaniać, przeprowadzenie stopniowe i wytrwałe swych zamierzeń, słowem wszystko to, co stanowi elementarz polityki największych nawet i najsilniejszych mocarstw, dla polityki uczuć jest czemś obcem, niepojętem, niegodnem narodu, omal że niemoralnem. Ale wyśrubowane napięcie uczuć jest najmniej wytrzymałym materiałem duchowym. Tylko myśl polityczna trwać może wieki całe w jednostajnem nateżeniu, uczucia się wyczerpują, opadają, ulegają depresji; wtedy z głębin duchowości narodu wzruszenia osiadają na powierzchni, przejawy ich zewnętrzne wyzbywają się swej istotnej treści, przechodzą w odruchy

czysto fizyczne, a zamiast uczuć grać zaczynają nerwy. Tak zapał czysto uczuciowy w bitwie, sparaliżowany nagle i odbity ciosem, zamienia się w popłoch i małoduszną ucieczkę, w „ratuj się kto może“ (ileż przykładów podobnych zna nasza historia!), tak przeciągnięty nastrój duchowego podniecenia nerwami tylko nadrabia zamierający popęd, aby wkrótce pod wpływem tychże nerwów zadać wyraźny kłam swemu poprzedniemu postępowaniu i, nie czując tego nawet, przerzucić się w drugą ostateczność. Obraz podobny przedstawiają nasze apolityczne porywy i depresye ostatniego stulecia. Jeżeli niektóre z tych momentów tej lub innej natury były nawet politycznie celowe, to nie z politycznych bynajmniej rachub i przewidywań płynęły. Nie były to niewątpliwie znamiona myśli narodowej, lecz samopas idących narodowych nczuć, a częściej jeszcze ogólnoludzkich nerwów.

Popełniłby niewątpliwie wielki błąd, ktoby zapoznawał znaczenie uczuć nietylko w życiu, ale nawet w polityce narodu. Tylko że w społeczeństwie normalnem, jak i w osobniku normalnym, powinny one grać rolę elementarnego podścieliska życia duchowego, nie zaś jego korony, powinny być ujętym w karby bodźcem, nie zaś kierownikiem czynów, współczynnikiem płynącej z władz umysłowych woli, a nie jej surogatem, składową częścią, a nie wyłącznym władcą charakteru. Społeczeństwo, pozbawione żywych uczuć, byłoby tylko mechanizmem, poruszonym siłą zewnętrzną, ale społeczeństwo, w którym inne władze zamierają a uczucia kierują jego postępowaniem, jest społeczeństwem pozbawionem mózgu i niezdolnem do czynów dyktowanych wolą.

Uczucie jest z istoty swej funkcją duchową rozlewną, niezorganizowaną, nie znającą ani uwspółrzednienia, ani hierarchii, polegającą na jednobrzmiącym drganiu przebiegających i udzielających się prądów; może ono co najwyżej składać się, jak muzyka, na modulacye i akordy, ale budowy duchowej stworzyć nie jest w stanie. Nie znaczy to wszakże, żeby pod wpływem uczucia, aczkolwiek nie z niego, nie mogła powstać organizacja społeczna, zmierzająca bezpośrednio do

czynu, do akcji, do wylania w funkcyje zewnętrzne tego, co stanowi treść wypływających z uczuć popędów. Organizacya taka tem się różni od tej, którą stale działająca myśl i wola do bytu powołuje, że żyje wyłącznie chwilą bieżącą, nie patrzy ani za siebie, ani przed siebie, nie rozumuje i nie myśli na dłuższą metę, ale zmierza bezpośrednio do czynu, mającego wtedy wszystkie cechy odruchu, a z chwilą opadnięcia uczuć, które ją wytworzyły, rozprzega się i zanika.

Do tego rodzaju organizacyi społeczeństwo nasze przez ciąg swego pozapaństwowego życia okazało się wysoce uzdolnionem i doprowadzało ją chwilami do znacznego stopnia technicznej doskonałości. Ale były to formacye, przemijające z chwilą upadku podnieconego nastroju. Istniało w życiu duchowem narodu tylko górujące nad wszystkim uczucie i występująca sporadycznie organizacya czynu, nie było stałej i ciągle funcyonującej organizacyi myśli narodowej. Dlatego ruch ówczesny nie wydał, bo nie mógł wydać polityków, dlatego nie zostawił po sobie tradycyi polityki narodowej, ujętej w plan i przeprowadzanej w sposób systematyczny, dlatego wreszcie ci, co ją tworzyć i rozwijać chcieli, pozostawali niejako poza ogniskiem życia duchowego narodu, odosobnieni, zdani na własne siły, darzeni nieufnością ogólną, podejrzeniami, częstokroć nienawiścią.

Nieufność ta i podejrzliwość społeczeństwa apolitycznego względem jednostek, pragnących bez niego prowadzić politykę dla jego dobra, była nie tylko naturalna, ale i uzasadniona. Instynkt narodu odczuwał niebezpieczeństwo. Istniało ono rzeczywiście i tkwiło w tem, że jednostki wybitne, obdarzone zdolnościami mężów stanu, jeżeli nie są bezpośrednim wytworem najgłębszego życia narodu, jego wychowawcami i twórcami zarazem, kwiatem zasilanym jego sokami, stają się z natury rzeczy tworem duchowo egzotycznym, czerpiącym natchnienia z obcych ognisk; nie wrośnięci korzeniami we własne społeczeństwo, odrywają się od jego przeszłości, nie wiążą z nią ogranicznie jego dążeń na przyszłość, a w teraźniejszości zatracają uczuciową wspólność z narodem. Gdzie



niema wspólności uczuć, tam nie może być i wspólności myśli, to też myśl ich polityczna z łatwością przestaje być myślą narodową. Tem piętnem wykorzenienia się narodowego w naj-słabszym stopniu dotknięta była polityka Czartoryskiego, w silniejszym—Lubeckiego, w jeszcze w jaskrawszym—Wielopolskiego, a w rażących już formach — jego nieudolnych epigonów z dziewiątego i dziesiątego dziesięciolecia wieku ubiegłego. Wśród tej ewolucyi słabła—i nie bez powodu—coraz bardziej wiara społeczeństwa, że „polityka“, którą widziało przed sobą, posiada zasadnicze założenia zgodne z jego własnymi celami i uczuciami, przeciwnie, wydawała mu się ona ich przeciwstawieniem i negacją, a jako strona życia z tradycyi mu obca, straciła w jego oczach resztę kredytu. W ten sposób nierozwiązalny dotychczas dylemat dziejowy nie tylko się zaostrzył i pogłębił, ale przybrał wprost groźną dla przyszłości narodu formę.

\*                      \*

Dylematy dziejowe niekoniecznie są dylematami logicznymi. To, o co jedne społeczeństwa, jak nasze np., potykają się w ciągu swej historii jako o stały kamień obraży, inne rozwiązują prosto i naturalnie. Aczkolwiek logika jest jedna, jednakże ludzie różnych charakterów i temperamentów nie tylko nie zgadzają się z sobą, ale mogą nawet nie rozumieć się wzajemnie, tak samo logika dziejów jest jedna, ale narody w swem postępowaniu mogą daleko od niej odbiegać. Spróbujmy nie w sposób oderwany i teoretyczny, lecz praktycznie i realnie, w zastosowanie do naszego gruntu, rozwiązać tę rzekomą sprzeczność między dwiema tezami, nie dającimi się pozornie z sobą pogodzić.

Naród jako całość może prowadzić politykę, jak o tem świadczy przykład wszystkich narodów nowożytnych, pozbawionych własnych organów państwowych; pole tej polityki może być mniej lub więcej zacieśnione, rozwinięcie jej mniej lub więcej skrępowane, ale sama postawa jego, zachowanie się indywidualne jego członków, wystąpienia zbiorowe



wszelkiego rodzaju, akcja przedsięwzięta na jakimkolwiek polu, wszystko to będą przejawy tej polityki, ale pod jednym warunkiem: że będzie temu przewodniczyła myśl polityczna i że zmierzać będą one koncentrycznie do jednego celu. Polityki nie ma tam, gdzie nie ma myśli politycznej i wyraźnego celu politycznego. Cały jednak tragizm apolityczności pewnego społeczeństwa leży w tem, że—niezależnie od tego, jakimi pobudkami ono samo się kieruje—nazewnątrz, wobec sił, z którymi ma do czynienia, postawa jego, zachowanie się i czyny posiadają zawsze wyraz i znaczenie stanowiska politycznego, a przejawy jego życia będą same przez się polityką. Będzie ona złą lub dobrą, zrozumiałą lub niepojętą, celową lub bezmyślną, osiągnięciem zamierzonym lub wręcz przeciwny skutek, ale zawsze wywoła odpowiednie następstwa polityczne. Otóż ze wszystkich możliwych postaw narodu najmniej celową i politycznie najbezmyślniejszą jest ta, w której stan protestu i walki bezwzględnej przeplata się chronicznie ze stanem bierności, uległości zupełnej, chwilami upodlenia.

Naród może prowadzić politykę, o ile jest tak kulturalny i tak wyszkolony — jak np. w Wielkopolsce, — że potrafi się zdobyć na jednolite, zgodne z powziętym planem postępowanie. Z chwilą jednak gdy otwiera się przed nim pole do poruszeń bardziej złożonych, do akcji skoordynowanej, słowem gdy czynnik myśli zbiorowej w grę wchodzi, konieczną już jest pewna systematyzacja opinii, a nawet organizacja duchowa społeczeństwa, wyrażająca się w formalnem lub nieformalnem, osobistem lub nieosobistem przedstawicielstwie, które obejmuje rolę kierowniczą, a jest zarazem pracownią myśli politycznej. Mandat niemy lub wyraźny, oparty na zaufaniu i pewnym kredycie moralnym, którym społeczeństwo obdarza ludzi wybitnych w rzeczach publicznych, jest niezbędny do tego, ażeby ono mogło rozwijać jakąkolwiek akcję bardziej złożoną, wymagającą gruntownej znajomości warunków, objęcia ich całości, przewidywania następstw, planu działalności i szybkiej decyzji. O ten właśnie mandat moralny w Polsce najtrudniej, gdyż pod wpływem apolitycz-

nych tradycji ogół jest skłonny obdarzać nim swych rzeczników i przedstawicieli z tem jedynie zastrzeżeniem, że będzie sam nimi kierował na podstawie swych uczuć i nastrojów, że będzie krytykował każdy ich krok, brany sam w sobie, niezależnie od całości akcji, że będzie ich ustawicznie podejrzewał o sprzeniewierzenie się swoim zasadom, dopóki nie sprowadzi ich na swoje apolityczne, czysto uczuciowe stanowisko i tem samem uczyni niezdolnymi do prowadzenia jakiegokolwiek polityki. Czysto uczuciowy podkład tego krytycyzmu zdradza się tem, że nie polega na przeciwstawieniu pewnej polityce—innej, lecz na dyskredytowaniu jej z punktu widzenia uczuć, jakoby niedość narodowych, które się rzekomo w niej wyrażają. W zdaniu owem, że naród prowadzić polityki nie może, zawiera się ukryte potępienie jego samego, jego kultury, jego zdolności do organizacji i polityki, a więc tem samem zaprzeczenie całej jego przyszłości.

Ale polityka mas, nawet umiejętnie kierowanych i sfornie postępujących, nie wyczerpuje zakresu polityki narodowej. Gdziekolwiek otwiera się pole już nietylko do akcji wewnątrz społeczeństwa, ale do akcji nazewnątrz jego, zmierzającej do wywarcia pożądanego wpływu na siły obce, do umiejętnej pracy nad zmianą ich układu, do zapewnienia sprawie, której się służy, należytego stanowiska, do odegrania wreszcie należytej roli na szerszej arenie stosunków międzynarodowych,—tam naród pole to wyzyskać i zużytkować musi, i to nietylko dlatego, że bierność i absencja nie da mu tych zysków, które zapewnia stanowisko czynne, że jest to *lucrum cessans*, wyrażając się językiem prawników, ale dlatego również, że jest to pozytywne *damnum emergens*, strata bezpośrednia, zadana jego stanowisku politycznemu, którą ponosi każdy, kto, mogąc to uczynić, nie zabiega około swych spraw i interesów. Wewnętrzna gra uczuć i pobudek nie jest żadnym czynnikiem w polityce, chociażby nie wiem jak głośno ją proklamowano, bierność w niej zawsze będzie oznaką bezsilności i bezradności, absencja—sposobną okazyą do rozstrzygania losu strony interesowanej bez jej współudziału.

Otwarcie podobnego pola dla polityki (w ściślejszem tego słowa znaczeniu) wymaga już nietylko pewnej organizacji opinii, lecz i przedstawicielstwa osób, jako organu myśli politycznej, zdolnego do kroków niezmiernie złożonych, a więc obdarzonego szerokimi pełnomocnictwami. Zazwyczaj wkroczenie w tę szerszą sferę działań idzie w parze z powołaniem przedstawicieli kraju do czynności ustawodawczych lub administracyjnych. Czy powołanie to następuje z wyborów, czy z urzędu — to gra w danym przypadku rolę drugorzędną, zwłaszcza wobec apolitycznego stanowiska takiej jak nasza opinii, która w przedstawicielu swoim widzi nie pełnomocnika, posiadającego w pewnym zakresie swobodę działania i takiej lub innej obrony powierzonych mu spraw, lecz wyraziciela swych uczuć, któremu gotowa w każdej chwili odebrać mandat moralny, jeżeli nie odzwierciedla należycie wszystkich odcieni i przemian tych uczuć, pozostawiając mu zresztą nadal mandat materyalny \*).

Bez mandatu moralnego dla jakiegokolwiek przedstawicielstwa nie może być mowy o polityce narodowej; tam, gdzie — jak u nas — trudno o pierwszy, trudno i o drugą. Niewątpliwie, na to, żeby prowadzić politykę narodową, któraby przez swoich i obcych za taką uznana została, i pozyskać mandat moralny swego społeczeństwa, trzeba być duszą z narodem zrośniętym, obejmować całość jego roli dziejowej, żyć jego przyszłością, nietylko teraźniejszością, słowem — brać za punkt wyjścia polityki ten sam horyzont, który naród wzrokiem przyszłości ogarnia, a więc też nie przyjmować w jego imieniu zobowiązań, których on ratyfikować ani wypełnić nie może, dalej — trzeba nie dać się sprowadzić z drogi żadnymi ubocznymi względami, oprócz wskazań dobra publicz-

---

\*) Rzecz wysoce charakterystyczna, że wystąpienia posłów polskich w Petersburgu, nacechowane rozumem stanu i trafnością polityczną spotykały się zazwyczaj z ostrą krytyką opinii, ogólnym natomiast poklaskiem darzono te, które były prostym wyrazem panujących w społeczeństwie uczuć i nastrojów.

nego, wreszcie — posiadać odpowiednie zdolności polityczne. To wystarcza wszędzie na świecie i u nas wystarczać powinno. Ale nie trzeba się łudzić, że polityka pełnomocnika, ze wszech miar godnego zaufania swych mocodawców, będzie z konieczności przez to samo odmienna, niż polityka kogo innego, obejmującego nie tak daleko sięgające aspiracje, skoro jedna i druga, mając ograniczony zakres działania, jest d o b r a na chwilę obecną. Polityka iść musi etapami, każdy etap jest zależny od takich lub innych warunków, a w jego granicach jedna tylko polityka może być prawdziwie skuteczną i prowadzącą do celu. Na tym właśnie punkcie zachodzące nieporozumienia między myślą polityczną a uczuciem, pragnącem dostrajać do siebie wystąpienia w polityce, są u nas zawsze głębokie i trudne do usunięcia.

Polityka narodowa jeszcze jednemu odpowiadać musi warunkowi, jeżeli ma zasługiwać na swą nazwę: musi być jednolitą i koncentryczną. Nie można — jak tego chcą u nas niektórzy — wyznaczać w polityce ogólnonarodowej jednemu odłamowi lub stronnictwu robienia tego, co rozum polityczny ze względów praktycznych wskazuje, drugiemu zaś — obowiązku pielęgnowania w społeczeństwie uczuć narodowych i manifestowania ich, nawet w sposób sprzeczny z prowadzoną równocześnie polityką. Nie może być dwóch krzyżujących się i wykluczających wzajemnie mandatów narodowych i dwóch wzajemnie paraliżujących się polityk; mogą być dwie odrębne polityki zwalczających się stronnictw, ale wtedy nie będzie polityki narodowej. Dziwoląg podobny może powstać tylko na gruncie społeczeństwa wzrosłego — jak nasze — w tradycji dualizmu dwóch sprzecznych z sobą też dylematu. Można jedną z nich negować, można je godzić w syntezie, usuwającej ich sprzeczności, ale nie można praktykować obu równocześnie, zachowując całą ich siłę. Niema chyba w polityce gorszego oportunizmu, aniżeli ten, co pod przymusem liczenia się z istniejącymi warunkami posuwa się aż do rozdwojenia narodowej osobowości, do prowadzenia dwóch polityk, z których jedna będzie psuła to, co robi druga, a obie razem

wzięte bałamucić będą myśl publiczną i demoralizować charakter narodu stokroć gorzej, niż najdalej idące rachowanie się z rzeczywistością w polityce jednolitej, występującej w imieniu narodu i obejmującej całość jego zadań. System *divide et impera* był dotychczas zawsze uważany za najgroźniejszy dla narodów uzależnionych: trudno byłoby szersze otworzyć mu wrota, niż wysuwając w roli pełnomocników narodowych dwa stronnictwa, z których jedno z natury rzeczy musiałoby być wygrywane przeciwko drugiemu.

Pojęcie jednolitości polityki narodowej najtrudniej przenika do naszej opinii, gdyż jest negacją dualizmu, z którym, jak chory ze swem organicznem cierpieniem, tradycyjnie się zrosła. „Polityka z natury rzeczy polega na kompromisach, naród zaś kompromisów zawierać nie może”. Niewątpliwie — o ile jest narodem apolitycznym z charakteru i z własnej woli, o ile politykę sprowadza do uczuć i utożsamia ją z niemi. Uczucie nie może znać kompromisów bez rozkładu samego siebie i zatury swych podstaw moralnych. Ale polityka nie jest grą uczuć, lecz grą sił, interesów i celów. Najpotężniejsze państwa poruszają się w sferze kompromisów, ponoszą straty, doznają zniewag i upokorzeń, ustępują z dążeń w danej chwili nieziszczalnych, umieją czekać, obliczają ściśle swoje i obce siły, zawierają przymierza bez uczuciowych porywów i szukają niejednokrotnie zbliżenia ze swymi wczorajszymi wrogami. Polityka ich prowadzona jest w imieniu narodu, a przecież naród w żadnym z tych przypadków nie czuje się zachwianym w swych podstawach uczuciowych i nie rozdziera szat nad strasznymi kompromisami, przez które dusza jego musi przechodzić. Bo narody takie żyją a nie tylko czują, bo chcą wywierać wpływ na losy swoje i cudze, wiedzą zaś, że żyć i wywierać wpływ—to nie znaczy zamykać się w sobie ze swymi stanami i nastrojami duchowymi, bądź dawać im nieokiełznany upust, lecz stosować swą postawę i czyny do otoczenia i warunków i wśród nich, bez szarpań wewnętrznych, iść z zimnym spokojem do swych celów.

Falszem jest zresztą, że życie wypełnione treścią uczuciową, chroni od kompromisów. Zdarzyć się to może chwilowo, w czasie najwyższej egzaltacji uczuć, i to kosztem celowości czynów, ale z chwilą upadku podniecenia zaczynają się najgorsze, bo ślepe, nieświadome, pozbawione samowiedzy moralnej kompromisy uczuciowe, w których nie tylko godność wewnętrzna narodu, ale i jego sumienie stacza się do poziomego oportunistu. Najbardziej kompromisowa polityka, z samowiedzą i chłodną rozwagą podjęta, nie zdoła obniżyć duszy narodu, obniża ją dopiero uczuciowy kompromis sumienia, bezwzględność i zadzierzystość słowa obok małodusznej uległości w życiu, przerzucanie się od nastroju do nastroju, żałowanie dziś tego, co się wczoraj zrobiło. A przecie tamta kompromisowa polityka zabezpiecza duszę narodu właśnie przed tem wszystkim, bo sferę uczuć zachowuje nie tkniętą, zawsze opanowaną, ale zawsze świeżą i pozostającą w zgodzie z samą sobą.

Naród politykę prowadzić może, powinien i musi. Jasne zdanie sobie sprawy z tej konieczności jest zdobyczą dość świeżej daty.

\*                      \*

Wyrosły na tradycjach narodowych, ale otrząśnięty skutek ostatniej katastrofy narodowej z przygniatającego dotychczas umysły wszechwładnego panowania uczuć, powstał kierunek t. zw. wszechpolski i z początku instynktownie, a następnie z całą świadomością, zaczął dążyć do wybrnięcia z dylematu, który — co stawało się rzeczą jasną dla wszystkich — od stu lat spychał naród, stopień po stopniu, w przepaść bez jutra. Prąd nowy poszedł nie — jak to opinia bierna początkowo przypuszczała — w tradycyjnym kierunku najmniejszego oporu, a więc w kierunku budzenia przygasłych uczuć, rozniecenia ich z czasem do stopnia namiętności i przygotowania na tem podłożu organizacji jednorazowego i doraźnego czynu, lecz poszedł raczej w kierunku największego oporu, mianowicie wytworzenia stałego ognis-

k a myśli narodowej i organizacji sił, któraby ją stopniowo, ale bez przerwy, w życie wcielała. Unikanie popełnianych w przeszłości błędów, leczenie społeczeństwa z wad narodowych, wychowanie nowego pokolenia o mocnym charakterze, umiejącego zapanować zarówno nad sobą, jak i nad okolicznościami, odrodzenie narodu przez powołanie do życia obywatelskiego warstw dotychczas ugorujących, ale rdzennie polskich, zdrowych i nie przenerwowanych, a nadewszystko—rozbudzenie myśli politycznej, obejmującej całość życia narodowego w czasie i przestrzeni, i to myśli współczesnej, rozumiejącej charakter i mechanizm najnowszych dziejów,—taka była rzeczywista treść kierunku, który wszechstronną syntezę postawił za główne swe założenie. W usiłowaniach, zmierzających do zsyntetyzowania istniejących przeciwieństw i jednostronności, nowy kierunek polityczny spotkał się przede wszystkim z owym dylematem, dotychczas hamującym normalny rozwój narodu, i usiłował rozwiązać go tak, jak się rozwiązują dziejowe nieporozumienia: pracą myśli, krzewieniem jej w społeczeństwie, wychowaniem nowych warstw politycznych w duchu z nią zgodnym, wreszcie oparciem przyszłości narodu na ludzie wiejskim, posiadającym normalne instynkty i zdrowy rozsądek, a nietkniętym przez nowoczesne wpływy obce i zzewnątrz idącą anarchią duchową. Misja ta mogła być uwieńczona rzeczywistym skutkiem głównie dlatego, że społeczeństwo nasze, instynktem samozachowawczym wiedzione, było już samo na drodze do faktycznego wyłamania się z pod ciężającej nad jego najnowszymi dziejami sprzeczności wewnętrznej, aczkolwiek równocześnie pozostały w całej swej sile dawne nałogi myśli i dawna uczuciowość, a niektóre władze duchowe, w życiu politycznym niezbędne, niemal zanikły. Brakło społeczeństwu przede wszystkim samowiedzy i charakteru nowoczesnego narodu.

Niemający wpływ w tej dziedzinie narodowego samowychowania wywarł przykład dwóch innych dzielnic. Nierozwiązalny problemat dziejowy zawisł całym swym ciężarem nad Królestwem, Galicyę zaś i Wielkopolskę dotknął zaledwie



swymi odgłosami, ale nie przeszkodził tym dzielnicom, z chwilą nastania ery konstytucyjnej w odpowiednich państwach, rozwinąć u siebie życie polityczne i obudzić—jednostronną wprawdzie—myśl polityczną. Dzięki tej zdobyczy rozwojowej i równoczesnemu odosobnieniu na wszystkich innych polach, trzy dzielnice Polski stały się nietylko trzema odrębnymi społeczeństwami, ale niemal trzema narodami. Kierunek wszechpolski, w swem dążeniu do zniwelowania tych przedziałów, nie przeciwstawiał się bynajmniej pracy politycznej, prowadzonej tam, gdzie prowadzona być mogła, pragnął tylko przywrócić jej myśl narodową, która była punktem wyjścia tej pracy, ale której ona z czasem się wyzbyła, chciał skierować ją ku energicznej obronie interesów narodowych i nawiązać w ten sposób zerwany jej związek z dziejowymi zadaniami narodu; zarazem kierunek ten korzystał szeroko z nabytych w pracy politycznej przez te dzielnice doświadczeń i usiłował je zaszczepić w umysły tego odłamu narodowego, który ich bezpośrednio naśladować nie mógł.

O istotnej roli nowego prądu politycznego w Królestwie panują do dziś dnia błędne pojęcia. Wielu sądzi, że rola jego ograniczała się do budzenia uczuć narodowych ze stanu depresji i utrzymywania ich na wyżynie tradycji dziejowych; w istocie rzeczy polegała ona na niecenieniu samowiedzy narodowej, obronie przed wynaradawianiem zarówno materalnem, jak i duchowem, a co najważniejsza—na krzewieniu myśli politycznej, podniesionej na wyżyny myśli narodowej. Pierwszem jej zastosowaniem było ustalenie pojęcia, że politykę narodową we wszelkim, choćby nader ograniczonym zakresie, prowadzić można i należy, stosując ją do granic przez realne warunki zakreslonych. Wychodząc z tego założenia, kierunek wszechpolski stanął na gruncie istniejących stosunków prawnopaństwowych, co więcej — na gruncie wyzyskania praw istniejących, skoro nie było żadnych widoków osiągnięcia zmiany w tym względzie. Rzucono hasło walki o prawo na wszystkich polach, od gminy począwszy, a hasło to zbiegło się ze wskazaniemi innego równoległego prą-



du, wychodzącego z założeń politycznych, nawiązanych do programu Wielopolskiego. Częściowa synteza rozbieżnych tradycji politycznych została faktycznie dokonana i uzyskała niewątpliwą sankcję opinii.

Natomiast nowy kierunek przeciwstawił się z całą mocą akcji na gruncie polityki zewnętrznej, przedsięwziętej przez obóz powyżej wzmiankowany, a to z tych względów, że uważał ją właśnie za przejaw polityki uczuć — tych, które się rodzą z depresji społeczeństwa, że widział w niej politykę złą i nierealną, nie usprawiedliwioną w najmniejszej mierze istniejącymi warunkami, że wreszcie była ona prowadzona bez udziału społeczeństwa, bez jego wiedzy i woli, nie mogła więc być pod żadnym względem uważana za etap dziejowej myśli narodu, ani za wyraz jego polityki. Przeciwstawił się równocześnie z niemniejszą siłą tym wszystkim prądom, które przez ślepe naśladownictwo wzorów obcych, służenie cudzym interesom i swą bezmyślność polityczną rozkładały samowiedzę narodową, a w jednym swym odłamie szczepiły całą tę destrukcyjną robotę na gruncie tradycyjnych, apolitycznych uczuć narodowych i prowadziły je przez to do ostatecznego zwyrodnienia.

Jest rzeczą znamionną, że w ciągu trzechletniego burzliwego okresu, pomimo rozbudzenia się w społeczeństwie daleko idących nadziei, pomimo wyzwolenia się najgorętszych uczuć, a nawet rozpętania najdzikszych namiętności, — zasady powyższe nie tylko zatryumfowały w opinii, lecz i doprowadziły do zupełnej niemal jedności polityki narodowej. Przeciwstawienie się dążeniom do wywołania wybuchu zbrojnego, próby rozszerzenia istniejących praw drogą zgodnych wysiłków samego społeczeństwa, rozpoczęcie akcji politycznej na gruncie społeczeństwa rosyjskiego, czynny udział w ogólnopanstwowym ciele prawodawczym, nacechowane myślą narodową wytknięcie w niem dróg, prowadzących do uregulowania kwestyi polskiej w państwie, wreszcie zgodny odpór żywiołów narodowych, dany szerzącej się anarchii wewnętrznej, — wszystko to było podejmowane i przepro-

wadzone siłami połączonych kierunków, ożywionych jedną wspólną myślą polityczną. Najwyższe podniecenie umysłów nie zdołało już wytrącić społeczeństwa przynajmniej z najbardziej zasadniczych podstaw równowagi, a w każdym razie nie dało się społeczeństwo wtrącić w tradycyjny dualizm — uczuć narodowych i myśli politycznej. Ważny krok w kierunku wyrównania dróg przyszłości został postawiony. Prawda, że uczucia grały jeszcze niepomierną rolę i zaćmiewały jasność sądu, prawda, że myśl polityczna błąkała się jeszcze i ulegała uczuciom niejednokrotnie, ale przynajmniej najtrudniejszy ten i najbardziej ryzykowny okres nie pozostawił po sobie bezpowrotnych, nieodwołalnych błędów i nie zepchnął myśli narodowej na manowce. Przeciwnie, wyszła ona z niego wzmocnioną, bardziej pogłębioną i rozszerzoną, niż kiedykolwiek.

Obecnie przeżywamy nowy okres — okres uczuciowej depresji. Wychodzi w nim na powierzchnię życia wszystko, co tkwiło w instynktach i w umysłach z dawnych narodów, a przez paroksyzm anarchii duchowej zostało wzmocnione i do reszty spaczone. Pewne koła opinii dziś, jak dawniej, biorą wyraz swych stanów uczuciowych za stanowisko polityczne, nie pytają o celowość kroków w polityce, lecz tylko o zgodność z ich własnymi nastrojami; w każdej zmianie taktyki widzą cyrograf, wystawiany na zmianę ich uczuć, w każdym posunięciu upatrują sprzeniewierzenie się zasadom narodowym, krytykują, podejrzewają, insynuują i potępiają. Wątle zaczątki myśli politycznej walczyć dopiero muszą o prawo istnienia i życia, a polityka narodowa musi mozolnie zdobywać tę swobodę ruchów, której gdzieindziej nikt jej nie kwestyonuje. Długiej jeszcze pracy wewnętrznej trzeba będzie, nim się te pozostałości tradycyjnych nałogów do reszty wykorzenia, ale jedno stanowczo dziś twierdzić można: że naród w zasadniczych podstawach swej polityki już wybrnął z dziejowego dylematu, który zamykał przed nim drogę do normalnej przyszłości, że wyszedł bezpowrotnie z okresu rozdwojenia wewnętrznego i do niego już nie

powróci. Czas wielki, by sobie to uświadomił, by wciągnął ten nowy pewnik do rejestru zdobyczy swej myśli politycznej.

Tym, którzy tego nie uznają, może on dziś rzucić w oczy słowa Wyspiańskiego: „Ja wiem, czego ty chcesz: że Polska ma być mitem, mitem narodów, państwem ponad państwa, prześcigajacem wszystkie, jakie są republiki i rządy; oczywiście niedościgłem, wymarzonem. Ma być marzeniem,—tak, ideałem. A nigdy ma się stać, nigdy być, nigdy się urzeczywistnić. A ja chcę tego, co jest wszędzie. I tego co jest, tak jak jest! tylko... tylko z usunięciem oszustwa narodowego”. Chciejmy tego, co jest wszędzie, bo tylko tą drogą możemy osiągnąć to, czego jeszcze niema gdzieindziej.

*Zygmunt Bałucki.*

---

Dr. IGNACY T. BARANOWSKI.

## WIEŚ POLSKA

W OKRESIE MIĘDZY UNIĄ LUBELSKĄ A KONSTYTUCYĄ 3 MAJA.

Historia włościan polskich niewiele odbiegła od schematu, pod który możnaby podciągnąć dzieje chłopów innych krajów Europejskich. A więc w Polsce—podobnie jak na Zachodzie—w zaraniu dziejów spotykamy wolnych kmieci, cieszących się pełnią praw obywatelskich; obok nich wzrasta stopniowo liczba ludności niewolnej, którą bogate, potężne rycerstwo, zajęte wojną i sprawami publicznymi, osadza na swych ziemiach, broni od nieprzyjaciół, a za to zobowiązuje do dostarczania sobie środków do życia. Powoli zaciera się różnica między kmieciami a niewolnymi rolnikami: tamci tracą prawa obywatelskie i wpadają w ekonomiczną i polityczną zależność od rycerstwa — szlachty; drudzy, zasiedziawszy się na wyznaczonej sobie ziemi, zaczynają zdobywać pewne rękojmie ze strony jej właścicieli; tamci spadają w hierarchii społecznej, drudzy podnoszą się na szczebel wyższy <sup>1)</sup>. Punktem kulminacyjnym tej stopniowej asymilacji chłopów wolnych i niewolnych jest w Polsce wiek XIII; na Zachodzie odpowiedni proces odbył się wcześniej <sup>2)</sup>. Ludność, powstała ze zlania się dwóch klas, tak różnych od siebie, nie ma praw politycznych, ale posiada warunki do pomyślnego i swobodnego prowadzenia gospodarstw, cieszy się szerokim samorządem gminnym. Dziedzice, w owej epoce pochłonięci wojną i rządami, nie mający wielkich potrzeb, nie prowadzą gospo-

<sup>1)</sup> Porównaj—Roscher „*National-Oekonomik des Ackerbaues*”, str. 187 i następne.

<sup>2)</sup> Np. w Niemczech w wieku IX.

darstwa folwarcznego, zadowolając się daninami i czynszami swych poddanych. Ale stopniowo położenie się zmienia: powstają w kraju miasta, podnoszące wartość zboża i służące dla niego za rynki zbytu; rycerstwo, starające się sprostać w przepychu patrycyuszom miejskim, odczuwa silnie potrzebę zwiększenia swych dochodów; jednocześnie wobec wzrastającego spokoju i ładu, wobec ustania drobnych a częstych wojen, wobec gruntownych zmian w sposobie wojowania, ma szlachta do rozporządzenia dużo czasu, który może poświęcić pracy około roli. W tym celu zakładają właściciele ziemi folwarki, początkowo bardzo małe, składające się z ról, z których usunięto chłopów, czasem zaś z pól świeżo wykarczowanych. Ponieważ najemnych robotników nie można dostać, więc prace rolne zwała się na barki chłopów poddanych, zmusza się ich do wykonywania pańszczyzny, obok dawania danin, które zresztą schodzą teraz na plan drugi. Przy ówczesnym stanie kultury chłopci nie widzą jeszcze korzyści z dziedziczenia ziemi, więc dziedzicowi grozi ciągle niebezpieczeństwo, że poddani opuszczą swe gospodarstwa i przeniosą się gdzieindziej, a on pozostanie bez robotników; przeto szlachta przeprowadza tak zwane *glebae adscriptio*, uniemożliwiające włościanom opuszczanie swych gospodarstw, lub pozwalające na to w pewnych tylko przypadkach. Ciągła obawa, by chłopci nie uciekli, zmusza panów do nieustannego dozoru poddanych, do mieszania się w ich życie prywatne, do ograniczania wewnętrznej autonomii gromady wiejskiej. Jednocześnie stale wzrastająca dążność do zwiększania dochodów, do zajęcia pod uprawę coraz nowych obszarów, zmienia stosunek między wielkością ról dworskich a chłopskich na niekorzyść drugich. Pan potrzebuje teraz więcej dni roboczych do uprawy powiększonego gospodarstwa i wymaga od chłopów większej pańszczyzny. W ten sposób polityczna i ekonomiczna niedola włościan dosięga zenitu.

Polska stale spóźniała się w stosunku do Zachodu w swym rozwoju ekonomicznym, to też doba największej pomysłowości pozbawionych praw politycznych chłopów przypada na wiek XIV, na okres panowania ostatnich Piastów. Stopniowy upadek włościaństwa, przy jednoczesnym rozwoju gospodarstwa folwarcznego, rozpoczyna się w wieku XV, a w drugiej połowie wieku następnego jest już bliski swego zenitu. Na czas właśnie, w którym Polska i złączona z nią Litwa jedno stanowiły państwo, na dwa stulecia poprzedzające rozbiory, przypadają najboleśniejse rozdziały w historii chłopów.

polskiego. Tą właśnie epoką zajmiemy się w niniejszej pracy.

---

Gdy w roku 1569 zawierano unię lubelską, istniał już cały szereg ustaw, które miały ustalić i uprawnić niedolę włościan polskich. Konstytucye z lat 1493, 1496, 1501, 1510, 1511 uniemożliwiły prawie włościanom opuszczanie roli, czyniąc je z jednej strony zależnem od pozwolenia dziedziców, z drugiej — ułatwiając tymże prowadzenie procesów o wydawanie zbiegłych kmięci <sup>1)</sup>. Nawet na Mazowszu zniesiono w drugiej połowie wieku XVI zachowane tam dotąd rękojemstwo, to jest zabezpieczenie, które dawał szlachcic za zbiegłego do niego kmięcia <sup>2)</sup>. Za czasów Zygmunta Starego (1519 r.) uzyskuje sankcyę prawną pańszczyzna, do której już od dość dawna zmuszano chłopów. W tym samym czasie udaje się szlachcie przeprowadzić pozbawienie chłopów reszty praw obywatelskich: więc zabrania się poddanym szlacheckim apelowania do króla w sprawach ze swymi dziedzicami i pozbawia się ich prawa samodzielnego stawania przed sądami grodzkimi i miejskimi <sup>3)</sup>. Chłopa ma sędzić jedynie sąd wiejski, ale ten, wskutek wykupienia przez dziedziców, sołtystw we wsiach, osadzonych na prawie niemieckiem, jest teraz we wszystkich wsiach szlacheckich w ręku panów. W ten sposób chłop odcięto zupełnie od bezpośredniego stosunku z władzami państwowemi i zdano na łaskę i niełaskę panów. Od wyroku dziedzica w dobrach prywatnych niema żadnej apelacyi; tylko w królewszczynach, w majątkach Wszechnicy Krakowskiej i dobrach duchownych mogli poddani u wyższych instancyi szukać obrony przed sądami wiejskimi. W dobrach duchownych wyższą instancyą dla chłopów były kapituły, od których wyroku można było jeszcze apelować do sądów arcybiskupich; w dobrach Wszechnicy Jagiellońskiej zanosili kmięcie skargi przed sąd kanclerski, złożony z rektora i dziekanów <sup>4)</sup>. Ale skargi na sądy patrymonialne, częste w wieku XV i XVI, stają się w wieku XVII coraz rzadszemi i coraz mniej skutecznemi, w wieku zaś XVIII ustają zupełnie. W królewszczynach mieli włościanie prawo apelowania do sądów asesorskich, od

---

<sup>1)</sup> Konstytucye z lat 1496 i 1538.

<sup>2)</sup> Konstytucye z lat 1563, 1565 i 1577.

<sup>3)</sup> Ustawy z lat 1496 i 1501.

<sup>4)</sup> Lubomirski „Rolnicza ludność w Polsce”.

czasów zaś Batorego przysądzono skargi poddanych sądom referendarskim, które opierały wyroki na lustracjach i oddałyby niewątpliwie usługi włościanom, gdyby nie to, że częstokroć umyślnie przewlekały sprawy na całe dziesiątki lat.

Wskutek odcięcia chłopów od bezpośredniego stosunku z wszelkimi władzami państwowymi, wskutek zdania ich na łaskę i niełaskę panów, wieś polska wyodrębnia się jakby w oddzielne państewko, złączone z ciałem Rzeczypospolitej tylko pośrednio, przez przynależność do niej swego dziedzica. Pan wsi, wolny od wszelkiej kontroli ze strony władzy państwowej w stosunku do swych włościan, doskonale czuje wielkość swej władzy i w omawianej przez nas epoce postępuje z ludnością wsi, jak ze swymi „poddanymi z Bożej łaski”, a na siebie zapatruje się jak na samowładnego monarchę. To *absolutum dominium* dziedziców, piętnowane już z taką siłą przez Skargę, doprowadza do tego, że w końcu ziemianie uważają się za uprawnionych nie tylko do bezwzględnego rządzenia swą ludnością, ale zaczynają ją traktować prawie jak swą osobistą własność, a bywają nawet jednostki, które poddanych „darowują, sprzedają, zamieniają, ze wsi do wsi przenoszą” <sup>1)</sup>. Ale jakkolwiek dziedzice teoretycznie mieli pełnić nieograniczoną władzę nad poddanymi, jakkolwiek niejednen z nich rzeczywiście bezwzględnie i po tyrańsku postępował z chłopami, nie należy jednak zapominać, że w praktyce bieg wypadków stawiał zwykle granice ich samowoli. Przede wszystkim chłopów, którzy mieli w pamięci swe prawa i obowiązki, którzy dobrze znali tak zwane „inwentarze”, zawierające wykaz ciężarów, a częstokroć też znali ustawę dominialną, nie było zbyt łatwo zmusić do ulegania zachciankom i wymaganiom, niezgodnym z inwentarzami. Dla każdego porządnego szlachcica postępowanie z chłopami wbrew inwentarzom było rzeczą niesprawiedliwą i niezgodną z sumieniem <sup>2)</sup>. Niezmiernie charakterystyczną pod tym względem

---

<sup>1)</sup> Skrzetuski „Prawo polityczne narodu polskiego”, tom II, str. 154. Rzeczywiście po archiwach można znaleźć czasem ślady darowania i sprzedawania poddanych; np. w roku 1767 W. Nakwaski daje H. Makowieckiemu poddanego Foryka wzamian za kilku ustąpionych mu ludzi; B. Mostowski ustępuje stolnikowi Nakwaskiemu poddanego Franciszka Gajkowiaka na wieczność (rękopis Akad. Umiejętności w Krakowie, № 1413, str. 157, 164.). W roku 1755 kasztelanic Przebendowski darowuje bratu zbiegłych poddanych (Archiwum Czartoryskich w Krakowie, № 3051, § 13).

<sup>2)</sup> Fredro „*Scriptorum Fragmenta*”, § XIV.

ustawę zredagował w roku 1657 dziedzic dóbr Gumnice i Straśniowa, w województwie Sandomierskiem, dla swoich poddanych<sup>1)</sup>: ustawodawca postanawia, że jeśli kto z jego następców samowolnie, wbrew inwentarzom, podniesie czynsze i ciężary, poddani mają prawo zażądać od chciwego pana, aby im „nie robił krzywdy”, ewentualnie wezwać do pomocy proboszcza. Gdyby perswazyje zarówno chłopskich delegatów, jak i proboszcza, pozostały bez skutku, „mają włościanie sami myśleć o sobie”. Oczywiście poczucie sprawiedliwości mogło mieć wpływ tylko na uczciwe jednostki, ogół zaś dziedziców od nadużywania władzy nad poddanymi powstrzymywała przede wszystkim obawa strat materialnych. Pan, który postępował bezwzględnie ze swymi poddanymi, narażał się na nieobliczalne straty, albowiem włościanie uciekali od niego, czy to do nowoosadzanych wsi wewnątrz kraju (w drugiej połowie wieku XVI kipi jeszcze praca kolonizacyjna w królewszczynach mazowieckich), czy na Ruś, czy — w wieku XVII — do wyludnionych wojną Trzydziestoletnią krajów rakuskich. Przy braku wszelkich władz policyjnych w kraju, przy słabym strzeżeniu granic, szlachcie niełatwo było robić użytek ze służącego jej prawa chwywania i wyproceśowania zbiegów. Jeszcze w początkach XVIII wieku ucieczki poddanych są na porządku dziennym; nawet królewszczyny wyludniały się, skoro się dostały w ręce niesumiennej dzierżawców<sup>2)</sup>. Dopiero gdy w uszczuplonej Rzeczypospolitej zapanował większy ład, gdy granice zaczęły podlegać ścisłszemu dozorowi, szlachta poczuła się bardziej zabezpieczoną od ucieczek chłopów i nie omieszkała wysnuć z tego faktu odpowiednich konsekwencji.

Bądź co bądź, jak widzieliśmy, do ostatnich dziesiątków lat istnienia państwa Polskiego szlachta nie mogła samowolnie pogarszać położenia swych poddanych bez narażenia się na straty materialne. Z drugiej jednak strony mamy wszelkie prawo przypuszczać, że dziedzice nie mieli również nieograniczonej swobody samowolnego polepszania doli swych

---

<sup>1)</sup> „Muzeum Konstantego Świdzińskiego”, tom II, str. 408.

<sup>2)</sup> Tak np. w starostwie Niepołomnickiem rewizye z lat 1710 i 1744 wykazują mnóstwo opuszczonych gospodarstw. W jednej wsi np. kazano zagrodnikom odrabiać na dwór po 3 dni tygodniowo i płacić podatki z własnych pieniędzy, ale ci „rozeszli się byll i grunta w pustki obrócili”. (Archiwum Popielów w Krakowie, №№ 27 i 35.)



włościan, dawania im w czynszach i pańszczyznach ulg, niezgodnych z miejscowymi zwyczajami. Jeszcze w roku 1501 ruchliwej szlachcie ziemi Bielskiej na Podlasiu udało się wykołatać u króla Aleksandra zatwierdzenie uchwały, której mocą skazywano na wysoką karę 100 kóp groszy dziedzica, ofiarującego swym chłopom warunki łżejsze od uświęconych miejscowym zwyczajem <sup>1)</sup>. Nie mamy śladu, żeby podobna uchwała istniała i w innych ziemiach etnograficznej Polski, atoli nie trudno się domyślić, że Bielszczanie nie należeli do wyjątków, że cała szlachta w polepszaniu doli poddanych przez pojedynczych dziedziców widziała chęć zwabienia do siebie jak największej liczby chłopów i nie dopuszczała do takiego nowatorstwa. Oczywiście magnaci nie potrzebowali się obawiać, żeby sąsiednia szlachta stawiała im przeszkody w wewnętrznym urządzeniu swych dóbr; było też to niewątpliwie jedną z przyczyn, że właśnie w wielkopańskich dobrach zawsze działo się poddanym lepiej, niż w drobnoziemiańskich wioskach.

Szlachcic, pan i władca swej wioski, jakkolwiek ugiął pod swą władzę sądową i administracyjną dotąd prawie samodzielna wiejską gromadę, pozostawiał jej jednak, przynajmniej pod względem zewnętrznym, ustrój zbliżony do dawnego. Więc i teraz na czele wsi stoi wójt, lub soltys, zwany gdzieniegdzie włodarzem. Ale teraz ci naczelnicy gromady mają zupełnie inny charakter. Nie są to już dziedziczy, niezależni prawie od dworu przewodnicy, lecz tylko mianowani przez pana oficjaliści, bądźto z pomiędzy przedstawionych sobie przez gromadę kandydatów <sup>2)</sup>, bądź też wybrani poprostu z pośród najzamożniejszych poddanych <sup>3)</sup>. Do obowiązków wójta należy pilnowanie we wsi porządku, doglądanie bezpieczeństwa od ognia, wybieranie podatków, pośredniczenie między dworem a gromadą i przewodniczenie na sądach wiejskich. Cała wieś jest, według starego zwyczaju, podzielona na dziesiątki, na których czele stoją dziesiętnicy, wybierani w podobny sposób, jak wójci, i mający nad swą dziesiątką podobną władzę, jak tamci nad całą wsią. Dziesiętnicy, a w niektórych okolicach ławnicy i przysiężnicy, należą

---

<sup>1)</sup> „Zbiór Praw Litewskich”, str. 89.

<sup>2)</sup> Ulanowski „Wieś Polska pod względem prawnym”

<sup>3)</sup> Gostomski „O ekonomia abo gospodarstwo ziemiańskie”.

razem z wójtem do sądów wiejskich; w niektórych wsiach, które zachowały więcej dawnej samodzielności, wójt z ławnikami wydają nawet uchwały, nabierające zresztą zupełnej prawomocności dopiero po zatwierdzeniu przez dwór. Wójt i jego pomocnicy są stróżami ksiąg wiejskich, przechowywanych w zamkniętych na klucz skrzynkach, a służących do zapisywania w nich wyroków sądów, uchwał dworskich, tudzież wszelkich tranzakcyi, zachodzących między poddanymi <sup>1)</sup>. Od wiejskich dygnitarzy, oprócz naturalnie wierności dworowi, wymagano sumienności i trzeźwości; z drugiej strony od poddanych żądano, by swym przewodnikom okazywali należny szacunek: w dobrach Suskich np. wymierzano karę 3 grzywien za wyrażenie się bez uszanowania o urzędzie i przysiężnych <sup>2)</sup>.

We wsi funkcyonują zwykle sądy dwojakiego rodzaju: sąd dworski, reprezentowany przez dziedzica lub jego przedstawiciela, który zasiada we dworze i sędzi doraźnie sprawy nie cierpiące zwłoki, tudzież sąd chłopski, noszący w różnych częściach kraju różne nazwy. W sądach chłopskich, zwanych w niektórych okolicach wielkimi sądami gajonymi, zasiada wójt i starszyzna gminy, ale i cała gromada bierze w nich udział. Sądy te odbywają się raz na rok; oprócz nich od czasu do czasu zbiera się starszyzna na tak zwane podsędki <sup>3)</sup>. Do kompetencji sądów wiejskich należały zwyczajnie sprawy cywilne; w sprawach karnych gromada i jej przedstawiciele mieli tylko władzę śledczą <sup>4)</sup>, wyroki zaś wydawali członkowie ławy z najbliższego miasteczka <sup>5)</sup>. Sądy wiejskie stosowały często tortury przy śledztwach, korzystając z odpowiednich narzędzi, znajdujących się zwykle w każdej wsi. Wyroki, wydawane przez sądy wiejskie, odznaczają się niezwykłą surowością. Szczególnie surowo karano występki przeciw moralności, skazując uwodziciela na śmierć, oszpe-

---

<sup>1)</sup> „Ustawa dóbr Suskich” (rkp. Akad. Um., № 1413, wydrukowany w „Muzeum Świdzińskich”, w tomie II).

<sup>2)</sup> Ibidem.

<sup>3)</sup> Ulanowski: „Wieś polska”.

<sup>4)</sup> Tak np. ława przeworska wydaje 1631 r. wyrok w sprawie wieśniaczki ze wsi Wólka Ostrowska, oskarżonej o zbrodnię otrucia. (Rkp. Archiwum Czartoryskich w Krakowie, № 3225.)

<sup>5)</sup> W niektórych latyfundiach magnackich jako najwyższa instancja sądowa istniał sąd komisarski. Tak np. w olbrzymich dobrach Sieniawskich istnieje sąd komisarski, składający się z kapelana i kasztelana sieradzkiego. (Lubomirski: „Roln. ludn. w Polsce”.)

cając niewierną żonę, a nawet zdradzonemu mężowi nie szczędząc plag za to, że nie umiał upilnować swojej połowicy. Nie można zaprzeczyć, że taka surowość przyczyniała się bardzo do umoralnienia włościan: w dawnej wsi polskiej rodziło się mniej nieślubnych dzieci, niż to się dzieje obecnie <sup>1)</sup>. Karę śmierci stosowano naturalnie nie tylko w sprawach, dotyczących się moralności: znakomity np. rolnik z końca XVI wieku, wojewoda Gostomski, zaleca w swej „Oekonomii” karanie śmiercią każdego chłopca, choćby nawet małoletniego, który w czasie posuchy rozpałił ogień w polu <sup>2)</sup>. Ustawa dóbr Suskich z roku 1696 nakazywała karać gardłem za zabranie cudzych snopów, za kupienie lub przechowywanie kradzionych rzeczy i t. d. Nawet w łagodnie rządzonej Kasinie, podkarpackiej wsi klasztornej, wydawano wyroki śmierci, zwykle jednak zamieniano je później na więzienie, plagi i pokutę kościelną. Oczywiście nie szczędziły sądy wiejskie i kar cielesnych, skazując winnych na razy lub puszczając ich na praszczęta (pręty, różgi do bicia); często też wsadzano winnych w dyby, lub zasądzano na zamknięcie w tak zwanym „gąsiorze”. Hojnie nakoniec szafowano karami pieniężnymi, które w niektórych wsiach przynosiły dziedzicowi wcale poważny zasilek <sup>3)</sup>. W sądownictwie posługiwano się, poza prawem zwyczajowym i ustawami panów, prawem magdeburskiem.

Śladem dawnej samodzielności wsi polskiej była w epoce, którą się zajmujemy, zbiorowa działalność gminy, groma-

---

<sup>1)</sup> Zob. Dr. Franc. Bujak: „Ż m i ą c a”.

<sup>2)</sup> Str. 7.

<sup>3)</sup> W dobrach Suskich, według ustawy z r. 1696, karano śmiercią: za łowienie ryb w cudzych sadzawkach, za wykradanie zboża i siana, za świadome kupowanie lub przechowywanie kradzionych rzeczy, za niestawienie się na gwałt; karę pieniężną 6 do 10 grzywien wymierzano: za worywanie się w cudze pola, rozkopywanie kopców granicznych, za niszczenie cudzego lasu, łapanie cudzej zwierzyny, robienie burd w karczmie; wreszcie na sołtysów, popełniających nadużycia nad robotnikiem pańszczyźnianym; 3 grzywny nakładano za wypasanie cudzych łąk, za kradzenie owoców, za psucie płotów sąsiedzkich lub pańskich, za nieoddanie znalezionej rzeczy, za wyrażanie się bez uszanowania o urzędzie i przysiężnych, za wykupywanie się od robót lub pracowanie na gruntach innego pana; 1 grzywnę — za nieodrobienie roboty kościelnej; 6 groszy — za opuszczenie mszy; plagi w liczbie 30 za kradzież zboża; więzienie jednodniowe w zamku było karą za znieważenie przysiężnych, 3-dniowe za kradzież zboża. („M u z e u m Ś w i d z i ń s k i c h”, tom II.)

dy, mająca w niektórych okolicach zakres dość duży. Wiemy już, że gromada jest obecna na wiecach sądowych; bierze ona również udział w wykonywaniu wyroków sądowych. W niektórych wsiach gromada ma prawo prezenty (przedstawiania kandydatów), w razie mianowania nowego wójta, wstawia się do pana, gdy zajdzie tego potrzeba; ma inicjatywę do postanowień, dotyczących się dobra ogólnego; na koniec obarczona jest obowiązkiem donoszenia panu o wszelkich nadużyciach, czynionych na jego szkodę przez oficjalistów dworskich<sup>1)</sup>. Zarówno surowy wojewoda Gostomski, jak i jego naśladowca z wieku XVII, pompatyczny Haur, radzą dziedzicom w swych „Oekonomiach” nie zaniedbywać zwoływania gromady. Haur namawia swych czytelników, by gromadę zwoływali regularnie co miesiąc, zarówno dla naradzenia się nad sprawami gospodarskimi, jak i osądzenia występków, któreby się zdarzyły „z obrazą boską i z bliźniego zgorszeniem”<sup>2)</sup>. Zbiorowa działalność gromady wiejskiej, jakkolwiek uszczuplona z biegiem czasu przez dziedziców, otwierała wszystkim chłopom drogę do udziału w kierowaniu sprawami wsi rodzinnej i w obrębie gminy czyniła ich faktycznymi, czynnymi obywatelami<sup>3)</sup>.

Zewnętrzny wygląd wsi nie uległ głębszym zmianom w ostatnich wiekach istnienia Rzeczypospolitej. Tak jak dawniej, ogromna większość wsi przedstawia długą ulicę, wzdłuż której stoją chałupy. Natomiast w miejscowościach, gdzie charakter powierzchni ziemi nie pozwalał na rozwinięcie się wsi tego rodzaju, a więc w okolicach górzystych i błotnistych, domy nie budują się w linie, lecz porozrzucane są po odpowiednich na budowę placach, a więc u stóp pagórków, na podgórzu, na szczytach bezpiecznych od zalewu, na wyniosłościach pośród lesistych moczarów<sup>4)</sup>. Ogniskiem zarówno towarzyskiem, jak i politycznym wsi jest po dawnemu karczma, gdzie zwykle zasiada sąd wiejski. Do pew-

---

<sup>1)</sup> Ulanowski: „Wieś Polska“.

<sup>2)</sup> Haur J. K. „Generalna Oekonomia“, str. 181. Kraków, 1679.

<sup>3)</sup> Poddani wsi Kasiny sami się nawet tytułują obywatelami kasińskimi (por. Ulanowski).

<sup>4)</sup> Taka wieś była np. w starostwie Osieckim nad Wisłą. (Rewizya dóbr królewskich na Mazowszu w roku 1584. Archiwum Czartoryskich.)

nego stopnia charakter publiczny ma oczywiście i dwór, w którym rezyduje pan lub jego zastępca, odbywają się sądy dworskie, znajdują się wszelkiego rodzaju narzędzia, potrzebne do wymierzania poddanym sprawiedliwości, a więc „gąsiory”, dyby, łańcuchy i t. d. Jedyną instytucją użyteczności publicznej, znajdującą się w niektórych wsiach, jest tak zwany szpital, w którym bądź to darmo, bądź za pewnem wynagrodzeniem, znajdują przytułek starzy, niezdolni do pracy kmiecie. Przytułki lepiej uposażone posiadają własne role, oprócz tego dostają zapomogi ze dworu zarówno w pieniądzu, jak i w naturze <sup>1)</sup>.

Wsie polskie nie są ani zbyt wielkie, ani ludne. Posiadające więcej niż 60 domów nie zdarzały się często, spotkać można było wioski, liczące zaledwie kilka gospodarstw. Na każdym gospodarstwie siedzi zwykle jeden tylko chłop z rodziną i czeladzią, jednakże w niektórych okolicach, np. w dobrach Niepołomnickich <sup>2)</sup>, jeszcze w wieku XVIII istnieje tak zwane „wspólnictwo”, polegające na tem, że dwie rodziny kmieci siedzą razem, mają wspólny inwentarz i na wspólne ryzyko gospodarują. Ludność wsi polskiej z omawianej epoki można podzielić na dwie grupy: 1) włościan, posiadających własne gospodarstwa, jako to: właściciwi kmiecie, zwani na Mazowszu gburami, w Lubelskiem i na Podgórzu rolnikami, odpowiadający niemieckim *Bauer*, dalej zagrodnicy, chałupnicy, w niektórych okolicach nadto zarębnicy; 2) komorników, odnajmujących „kąt”, czasem także kilka zagonów, od gospodarzy i trudniących się wyrobnictwem lub rzemiosłem. Chłopi, należący do grupy pierwszej, różnią się między sobą stopniem zamożności, mają niejednakowe zobowiązania względem dziedzica, ale wszyscy zarówno cieszą się prawami obywatelskimi w granicach ustawy wiejskiej. Przeciwnie komornicy, przynajmniej w niektórych okolicach, są w swych prawach ograniczeni i zależni od gospodarzy, u których sie-

---

<sup>1)</sup> Zarząd szpitali wiejskich, które powstały przy kościołach parafialnych, należał zwykle do opiekunów kościelnych, *vitrici*; w szpitalach, założonych przez szlachtę, każdorazowy dziedzic był opiekunem; w szpitalach, należących do fundacyi kasztelana Spytki Ligęzy, zarząd należał do „szpitalnego”, wybieranego w obecności administratora klucza przez faktora, wójta, przysiężników i całą gromadę. Porówn. Męczkowski: „Provizorowie szpitalni w dawnej Polsce” (*Przegląd Historyczny*, tom V, str. 92).

<sup>2)</sup> Archiwum Popielów w Krakowie, rękopis № 35.

dzą na komornem<sup>1)</sup>. Czoło wsi, niby patrycyat miejscowy, stanowią kmiecie-rolnicy, posiadający największe w początku naszej epoki, włókowe i półwłókowe gospodarstwa, utrzymujący obowiązkowo woły lub konie i odrabiający na folwarku tak zwaną ciągłą czyli sprzężajną pańszczyznę. Robotnika pieszego dostarczają dworowi tak zagrodnicy, których gospodarstwa równają się zwykle połowie miejscowego kmiectwa, jako też chałupnicy, posiadający drobne, czasem kilkopiętne poletka; nadto w czasie najgorętszych robót polnych wychodzili na pańszczyznę i komornicy. Kmiecie, z pomiędzy których, jako najzamożniejszych mieszkańców wsi, wyznaczano wiejską starszyznę, otaczani byli przez ludność szczególnem poszanowaniem. W niektórych okolicach kraju ludność dotąd wyróżnia potomków dawnych kmieci-rolników, uważając ich jakby za swą arystokrację<sup>2)</sup>.

Stosunek ilościowy poszczególnych warstw chłopskich jest we wsiach polskich bardzo rozmaity. Zwykle kmiecie stanowią większość gospodarzy, zdarzają się jednak wioski, gdzie siedzą prawie wyłącznie, lub nawet wyłącznie, zagrodnicy. Niełatwo jest określić, w jaki sposób wyrobił się podział chłopów na rolników i zagrodników. W ogólności można przypuszczać, że kmiecie pochodzą od chłopów, którzy przy osadzaniu wsi posiadali większy kapitał, czy to w gotówce, czy w narzędziach rolniczych i inwentarzu, czy wreszcie w postaci rąk zdolnych do pracy, i dlatego otrzymywali większe działki; spotkać się też można z faktem, że przy rozmierzaniu wsi na włóki miejscowi zbiedniałi chłopi zostawiali zagrodnikami, nowi zaś przybysze obejmowali kmiectwa. Oczywiście później, w wieku XVII i XVIII, gdy włościanie pod względem materialnym ostatecznie podupadli i nowi osadnicy przestali wносить kapitał do obejmowanych gospodarstw, zagospodarowując się jedynie przy pomocy otrzymanej od dworu pożyczki, zmniejszała się zaczęła różnica między zagrodnikami a kmieciami; zdarza się też, że nawet inwentarze mieszają obie grupy włościan, a panowie w razie potrzeby przenoszą zagrodników i nawet chałupników na wolne kmiectwa<sup>3)</sup>. Pod względem materialnym najniższą klasę

---

<sup>1)</sup> W roku 1605, w podgórskiej Kasinie, ukarano komornika za uchybienie swemu gospodarzowi. (Ulanowski.)

<sup>2)</sup> Fakt podobny napotykamy np. we wsi Jankówce, pod Wieliczką, w Galicyi.

<sup>3)</sup> Archiwum Popielów, rękopis № 35.

chłopów-gospodarzy stanowili chałupnicy, którzy znajdowali się nie w każdej wsi; zwykle bywało ich po kilku na jedną wioskę <sup>1)</sup>).

Chłopi wsi polskich w epoce, którą się zajmujemy, nie są właścicielami swych gruntów, lecz raczej dzierżawcami. Umowy, na mocy których siedzieli na gruntach, były dwójakiego rodzaju: 1) wola, to jest prawo do używalności w okresie z góry określonym; 2) zakupieństwo—prawo do używalności bez określonego czasu <sup>2)</sup>. Przy zakupieństwie dziedzic mógł wyrugować chłopą z warunkiem wypowiedzenia osiadłości w terminie, określonym przez zwyczaj miejscowy, spłacenia sumy wkupnej, jeśli była dana, i wynagrodzenia za wystawione przez chłopą budynki. Kmieć, który opuszczał grunt, zachowywał do niego prawo w ciągu roku i 6-u tygodni. Zwyczajnie prawo do roli przechodziło we wsi z ojca na syna, szlachta jednak, we własnym oczywiście interesie, starała się przeprowadzić zasadę niepodzielności gruntów, zmuszając włościan do przekazywania gospodarstwa jednemu tylko z synów. Praktyczny wojewoda Gostomski wspomina w swej „Oekonomii“, że kmieciowi, posiadającemu włókové gospodarstwo, wolno je rozdzielić między dwóch synów, natomiast chłop, siedzący na półwłóczku, musi go przekazać niepodzielnie jednemu tylko spadkobiercy. Zasada niepodzielności gruntów, lubo nie zawsze stosowano ją ściśle, tamowała zbyt pośpieszne rozdrabnianie gospodarstw włościańskich i w ten sposób usuwała jedną z przyczyn, sprowadzających nędzę do współczesnej wsi polskiej. Włościaninowi zwykle wolno było swoje gospodarstwo ustępować za wynagrodzeniem pieniężnym innemu chłopu, ale podobne transakcye mogły być czynione jedynie za wiedzą dziedzica lub jego zastępcy, poczem w dobrze zagospodarowanych dobrach zapisywano je do ksiąg wiejskich <sup>3)</sup>. I w użytkowaniu swej ziemi jest chłop polski skrępowany ścisłym nadzorem dworu: nie wolno mu w swem gospodarstwie robić żadnych zmian, ani nawet

---

<sup>1)</sup> Zdarzały się wprawdzie wsie, jak Włostowice pod Puławami, gdzie w wieku XVIII była większość chałupników (21 na 40 gospodarzy), ale takie wsie należały do wyjątków i miały charakter nawpół miasteczek.

<sup>2)</sup> Lubomirski „Rolnicza ludność w Polsce”.

<sup>3)</sup> „Ustawa dóbr Suskich” (rkps. Akademii Umiejętności, № 1413, str. 169).



wznosić budynków bez wiedzy dziedzica <sup>1)</sup>. Raz objawwszy ziemię, chłop musi swą rolę dobrze uprawiać; złe gospodarstwo pociąga za sobą wyrugowanie z roli. Według przyjętego zwyczaju, bydło robocze i narzędzia, konieczne do uprawy roli, stanowią nieodłączną część gospodarstwa, nie mogą więc być samowolnie sprzedane ani zapisane synowi, nie dziedziczącemu roli <sup>2)</sup>. Należy jednak pamiętać, że w ostatnich wiekach istnienia Rzeczypospolitej coraz trudniej było o kolonistów, którzyby własny kapitał wkładali w obejmowane gospodarstwa. To też w omawianej epoce dwór dawał chłopom tak zwaną „załogę“, zarówno w gotówce, jak w ziarnie i inwentarzu, która powinna być stopniowo spłacana. „Załoga“ miała dużą wartość, niekiedy wynosiła w samej gotówce trzydzieści kilka złp., to też chłopu nie łatwo było ją spłacić <sup>3)</sup>. Wojewoda Gostomski, piszący swą „O e k o n o m i ę“ w końcu wieku XVI, mógł jeszcze utrzymywać, że rządny i pracowity rolnik może spłacić dwór w ciągu 2 lat i stać się właścicielem swego inwentarza i narzędzi, ale już w wieku XVII i XVIII chłopci wycieńczeni wszelkiego rodzaju robociznami i daninami, wyniszczeni pańską wódką, rzadko mogli uiścić się z zobowiązań i pozostawali na zawsze dłużnikami dziedzica <sup>4)</sup>. Poza inwentarzem żywym i narzędziami rolnymi chłop jest panem swego ruchomego majątku i może go zapisać komu zechce, zarówno krewnym, jak i kościołowi <sup>5)</sup>. Niektórzy jednak dziedzice rościli sobie prawo do pobierania po śmierci kmiecia części jego majątku w postaci tak zwanego *dzielnego* <sup>6)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Gostomski „O e k o n o m i a“.

<sup>2)</sup> Ulanowski „Wieś polska“. W Kasinie włościanie za samowolne sprzedanie bydła i sprzętów gospodarskich byli karani plagami i 10 grzywnami. Gostomski uważa również „krowy, świnie, ptastwo wszelakie“ za nieodłączne od roli.

<sup>3)</sup> „Muzeum Świdzińskich“, tom II, str. 224.

<sup>4)</sup> W roku 1693, w dobrach Szreniawa Szczawińskiej, wszyscy kmiecie mają woły załogowe (rkps. Akad. Umiej., № 1413, str. 117). W końcu XVIII wieku w dobrach Puławskich książąt Czartoryskich na 1138 wołów, używanych przez kmieci, jest 459 sztuk wypożyczonych od dworu i niespłaconych (rkp. Archiwum Czartoryskich w Krakowie, Nr. 4004 i następne).

<sup>5)</sup> Np. kościół Przeworski otrzymuje w roku 1656 grzywien 40 od kmiecia Poleckiego, w roku 1675 grzywien 50 od kmiecia Jałowego. (Archiwum Czartoryskich w Krakowie, Nr. 3825, §§ 38 i 44.)

<sup>6)</sup> Wojewoda Gostomski uważa *dzielne* za rzecz zupełnie naturalną, natomiast jego naśladowca z wieku XVII, Haur, oburza się na pa-



W epoce zajmującej nas dziedzic patrzy na chłopą przede wszystkim jako na dostarczyciela siły roboczej. Dwór nie trzyma wcale własnej czeladzi, to też folwark nie mógłby istnieć, gdyby mu chłopci nie dostarczyli robotnika. Chcąc sobie zapewnić regularne dostarczanie robocizny, dziedzic otacza swego poddanego ścisłą kontrolą i pozbawia go prawa swobodnego rozporządzania swym czasem. To też chłopu ani jego dzieciom nie wolno iść na robotę do innego dominium bez pozwolenia dziedzica, nie wolno mu wynajmować gruntu w majątku innego pana, o ile są wolne pola w jego wsi rodzinnej.

Częściowe ograniczenie chłopą w użytkowaniu swego majątku i pozbawienie go swobody rozporządzania swą pracą, powodując ciągły nadzór nad życiem poddanych, wywołując nawet wnikanie w ich rodzinne stosunki, rozwijało we wsi polskiej tendencję do stopniowego przeistaczania się jej w miniaturowe państwo policyjne. Już wojewoda Gostomski radzi swym czytelnikom pilnować, by ich poddani nie wydawali zadużo, by synowie nie roztrwaniali majątku, zebranego przez rodziców, a nawet by dzieci słuchały swoich ojców, by gospodarze nie grali w karty, nie nocowali w miasteczkach, nie próżnowali, chociażby już nawet odrobili swą pańszczyznę. W lat 200 po ukazaniu się dziełka Gostomskiego księżna Jabłonowska, właścicielka dóbr Siemiatycze i Kock, stara się już zupełnie świadomie uregulować życie swych poddanych przy pomocy przepisów policyjnych i nie pozostawia im swobody nawet w najbardziej osobistych rzeczach: mają więc np. Koczczanie i Siemiatyczanie wyznaczoną godzinę wstawania, mają nawet przepisany ubiór, w którym chodzić powinni<sup>1)</sup>. Jeżeli w początku epoki, którą się zajmujemy, troska o to, by kmiecie uścili się ze swych zobowiązań, jest główną przyczyną, zniewalającą dziedziców do policyjnego nadzoru nad życiem poddanych, to później, w wieku XVII i XVIII, przybywają nowe powody do reglamentacji ich życia. Dwór konsekwentnie dąży do odcięcia wsi od okolicy, od miast, do wyodrębnienia jej w oddzielną całość ekonomicz-

---

nów, biorących „sukcesję” po zmarłych kmieciach i zaleca, by nawet majątki bezdzietnych kmieci nie przechodziły na dwór, lecz na kościół lub szpital. (Haur „Ziemiańska Generalna Oekonomia”, str. 178.)

<sup>1)</sup> Ks. Anna Jabłonowska: „Ustawa dla dóbr moich rząd-ców”.

na. W tym celu czynią się wysiłki, by wszystkie rzeczy naj-pierwszej potrzeby robić na miejscu lub sprowadzać je *en gros*, by je potem z dużym zyskiem odprzedawać poddanym, którym zabrania się zaopatrywać gdzieindziej w przedmioty, sprzedawane przez dwór. Powszechnie zagarnia on sobie monopol wyrobu i sprzedaży trunków: picie lub kupowanie trunków poza obrębem dóbr swego pana sprowadza na poddanego dotkliwie kary <sup>1)</sup>; natomiast gdzieindziej zmusza się kmieci do obowiązkowego kupna z góry wyznaczonej ilości piwa i gorzałki <sup>2)</sup>. Oprócz wódki, najczęściej dziedzic przy-swaja sobie wyłączne prawo zaopatrywania swych poddanych w śledzie i sól i ustanawia nawet minimum tych produktów, które musi kupić włościanin <sup>3)</sup>. Z drugiej strony dwór ma tendencję do zmonopolizowania w swych rękach handlu produktami wytwórczości włościańskiej—zbożem, lnem, drobiem i t. d. <sup>4)</sup>. W niektórych okolicach nie wolno np. chłopom sprzedawać obcym kupcom zboża, dopóki dwór nie nabędzie od nich potrzebnej mu ilości <sup>5)</sup>. Oprócz monopolu sprzedaży i kupna pewnych produktów, dwór zagarnia sobie wyłączne prawo mielenia mąki; odtąd chłop musi bądź mleć we młynie dworskim, bądź dawać dworowi oddzielne wynagrodzenie za pozwolenie mielenia zboża w domu na żarnach lub u młynarza sąsiedniego dominium.

Monopole dworskie przynosiły chłopom ogromne straty materialne, odbierały im chęć do natężonej pracy, a z drugiej strony, zmuszając ich do oszukiwania dworu, do szpiegowania się wzajemnie, obniżały moralność ludności wiejskiej. Dziwne, gorszące stosunki wytwarzał zwłaszcza monopol propinacyjny: z jednej strony dziedzice surowo zabraniają chłopom pić poza granicami swego dominium, z drugiej strony robią wszelkie możliwe wysiłki, by przynęcić do swych karcz-chem poddanych z sąsiedzkich wiosek i w ten sposób zwięk-

<sup>2)</sup> Książd Śmiglecki: „O lichwie, o wyderkach, czynszach, spółnych zarobkach, najmach, arendach i osamokupstwie”.

<sup>3)</sup> Krzysztof Opaliński: „Satyra III”.

<sup>5)</sup> W Szklowie w Mohylowskim (czerpiemy przykład z poza granic etnograficznej Polski) poddani ks. Czartoryskich płacili dworowi za sól o 105 gr. wyżej cen targowych. (Rkps. Archiwum Czartoryskich w Krakowie, Nr. 4514.)

<sup>6)</sup> Instrukcja Kozienskiemu z roku 1699. (Przypisek w Lubomirskiego „Rolniczej ludności w Polsce”, także Haur, str. 178.)

<sup>1)</sup> Dr. Bocheński „*Herrschaft Kock*”, str. 136.

szyć konsumpcję swej gorzałki. W uganianiu się za konsumentami wódki okazała też szlachta niezwykle dużo pomysłowości: dość powiedzieć, że tak popularny pisarz rolniczy, Haur, radzi swym czytelnikom, by pozyskiwali sobie dobrych rzemieślników, „albowiem do nich postronni zjeżdżają ludzie, którzy karczmię do wyszynku pomagają” <sup>1)</sup>.

Wspominaliśmy już, że w epoce, która nas zajmuje, dziedzic patrzy na poddanych przedewszystkiem jako na dostarczycieli pańszczyzny do obrobienia folwarku. Pańszczyzna była trojakięgo rodzaju: ciągła, piesza męska i piesza kobieca. Pierwsza jest dwa razy więcej warta niż druga i 4 razy niż trzecia <sup>2)</sup>. Każdy dziedzic zapewniał sobie naturalnie pańszczyznę wszystkich trzech rodzajów. Ogólnej normy, regulującej wysokość pańszczyzny, trudno się doszukać, niewątpliwie jednak była ona mniej więcej jednakowa w pewnej okolicy, przynajmniej na folwarkach drobnych i średniej wielkości; w dobrach wielkich panów, posiadających więcej kapitału i dość potężnych, by móżd się nie stosować do miejscowych zwyczajów, chłopci zwykle byli obciążeni mniejszymi ciężarami. Jeszcze Statut Toruński z roku 1519 postanawiał, że chłop powinien dawać jeden dzień pańszczyzny z łanu, zarówno w dobrach prywatnych, jak królewskich i kościelnych, ale już wtedy w wielu majątkach pańszczyzna była wyższa. Rewizya dóbr królewskich na Mazowszu z roku 1584 wykazuje jako zwykłą pańszczyznę w królewskich 4 dni na tydzień z włóki <sup>3)</sup>; w tym samym mniej więcej czasie wojewoda Gostomski wspomina o pańszczyźni, wynoszącej średnio 2 dni sprzężajne tygodniowo z półwłóczka. W wieku XVII i XVIII za zwykłą pańszczyznę uważano 5 dni z gospodarstwa kmiećego średniej wielkości, zdarzały się jednak dwory, wymagające wyższych robocizn. Ciężar pańszczyzny zwiększa jeszcze ta okoliczność, że nie jest ona zwykle rozłożona równomiernie na cały rok, lecz w czasie robót polnych chłopci muszą więcej dni odrabiać niż jesienią i zimą. Gostomski <sup>4)</sup> wymaga, by kmiecie pracowali po dwa dni w tygodniach, w których przypadają Gody (Boże Narodzenie) i Mięsopesty, w środ-

---

<sup>1)</sup> Haur „Oekonomia”, str. 175.

<sup>2)</sup> Dr. Bocheński „Herrschaft Kock”, str. 135.

<sup>3)</sup> Rękopis w Archiwum Czartoryskich w Krakowie, pod tytułem: „Rewizya dóbr królewskich na Mazowszu”.

<sup>4)</sup> „Oekonomia”, str. 108.

ku lata (podczas żniw) po 6 dni przez dwa tygodnie i przez 2 tygodnie po 5 dni, przez resztę roku po 4 dni tygodniowo. W dobrach Międzyrzeckich ks. Czatoryskich<sup>1)</sup>, w dzisiejszej gubernii Siedleckiej położonych, poddani odrabiali w wieku XVIII z każdej włóki po dni 16 od św. Wojciecha do św. Marcina, od św. Marcina do św. Wojciecha po 12 dni na tydzień<sup>2)</sup>.

Normalnie liczba dni pańszczyznianych, przypadająca na każdego kmiecia, była proporcjonalna do wielkości posiadanego przezeń gruntu<sup>3)</sup>. Atoli w praktyce pod tym względem panował częstokroć kompletny chaos, wychodzący na szkodę zarówno chłopów, jak i dworu, a będący zwykle wynikiem tej okoliczności, że chłop, dziedzicząc części gospodarstw swych krewnych, lub nabywając je od sąsiadów, nie zawsze przenosił na siebie przywiązane do gruntu ciężary, lecz czasem pozostawiali je dawnym właścicielom<sup>4)</sup>. Pisarze rolniczy omawianej przez nas epoki wzywają stale dziedziców do pilnowania, aby pańszczyzna była sprawiedliwie rozdzielona, ale osiągnąć to można było jedynie, od czasu do czasu, na nowo rozdzielając grunta między poddanych<sup>5)</sup>.

Na pańszczyźnie, czyli tak zwanych dniach, nie ograniczały się robocizny poddanych; byli oni jeszcze obowiązani do wykonywania dla dworu różnych prac specjalnych, do których należały przedewszystkiem drogi czyli podróże, polegające na dostarczaniu dworowi corocznie podwód do przewiezienia zboża do portów rzecznych, lub zwiezienia drzewa z lasu; potem idą szarwarki, wynoszące zwykle 12 dni rocznie z półwłóczka; dalej—stróże, to jest obowiązek poddanych pilnowania kolejno dworu; nakoniec trzydniowa zwykle, ale bardzo uciążliwa tłoka czyli gwałt, obowiązująca do przysyłania robotników w czasie najpilniejszych robót pol-

---

<sup>1)</sup> Rękopis Archiwum Czartoryskich, Nr. 4009.

<sup>2)</sup> W dobrach Mrokowskich, również ks. Czartoryskich, odrabiają kobiety zimą po dni 3, latem po dni 4.

<sup>3)</sup> Np. w dobrach Międzyrzeckich odrabia się przez cieplejsze półrocz z włóki 16 dni, z półwłóczka 8 dni, z  $\frac{1}{4}$  włóki—4 dni, z  $\frac{1}{8}$ —2 dni. (Rkps. Arch. Czart., Nr. 4009.)

<sup>4)</sup> „Stan miasta JK M. Wschowy”. Leszno, 1783.

<sup>5)</sup> Przy pomocy nowego rozdziału gruntów osiągnięto np. sprawiedliwe rozdzielenie pańszczyzn w dobrach Puławskich, w końcu wieku XVIII.

nych<sup>1)</sup>. Nadto zmusza się poddanych do wykonywania u siebie w domu z materiału dworskiego corażto nowych robót. Najdawniejsze z nich są, zdaje się, motki i oprawa, to jest obowiązek uprzedzenia pewnej ilości lnu i utkania oznaczonej długości płótna; później przybywa obowiązek wyrąbania oznaczonej ilości drew, wyrobienia jagieł z dworskiego prosa, gdzie-niegdzie plectenie słomianek i t. d.<sup>2)</sup>. Niektórzy dziedzice, nie poprzestając na dniach i robotach dodatkowych, wymagali jeszcze od poddanych przysyłania do dworu najemnika na każde żądanie, gwarantując za to wynagrodzenie, ale w wysokości przez siebie oznaczonej<sup>3)</sup>. Dodać musimy jeszcze, że chłopci wszystkie roboty, zarówno objęte „dniami“, jak i poza „dniami“, musieli wykonywać własnymi narzędziami, własnym sprzężajem, a przynajmniej oddanym im przez dziedzica na sploty (na „załogę“), gdyż sam dwór, oprócz koni wierzchowych i cugowych, nie trzymał inwentarza pociągowego i nie posiadał zwykle nawet bron, ani pługów<sup>4)</sup>. W ten sposób cały ciężar kupna i konserwacji inwentarza żywego i martwego, potrzebnego do obrobienia dworskiego pola, spadał na poddanych. Nadto poddany, chcąc wykonać robocizny dworskie i obrobić swe własne pole, zmuszony był do utrzymywania czeladzi, zarówno męskiej, jak żeńskiej, składającej się zwykle z braci i sióstr, czasem z ciotek i stryjów gospodarza. Utrzymanie czeladzi, pociągające za sobą znaczne koszty, czyniło pańszczyznę jeszcze bardziej dla chłopów uciążliwą, jeszcze bardziej rujnującą<sup>5)</sup>; to też niewiele chyba było przesady w słowach Staszyc, iż chłop, wycieńcony i zdemoralizowany nadmiernymi robociznami, pracując na pańskim, „na to tylko swoją uwagę obraca, w tem tylko swój rozum ćwiczy, jakby w pracowaniu oszukać dozorcę”<sup>6)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Bocheński „*Herrschaft Kock*”. str. 135 i następne (Archiwum Czartoryskich, № 4009.)

<sup>2)</sup> „Museum Świdzińskich”, tom II, str. 408

<sup>3)</sup> Anonim „O poddanych polskich”, str. 28.

<sup>4)</sup> Nawet w dobrach Puławskich, jeszcze w końcu wieku XVIII, nie trzyma dwór własnych sprzężajów, nie ma prawie narzędzi rolniczych (Archiwum Czartoryskich, rkps. №№ 4000—4012).

<sup>5)</sup> Już Gostomski mówi o utrzymywaniu przez chłopów czeladzi, jako o zwykłym zjawisku, ale nie należy przypuszczać, by wszyscy chłopci bez wyjątku posiadali stale parobków i dziewczki; przeciwnie, bez nich obchodzą się drobni gospodarze, mający mało „dni”, a w niektórych wielkopańskich dobrach, gdzie pańszczyzna była liczna, np. w dobrach Puławskich — nawet chłopci, siedzący na większych działkach.

<sup>6)</sup> Staszyc „Przestroga dla Polski”, str. 28.

Jakkolwiek panowie w ostatnich wiekach istnienia Rzeczypospolitej podnieśli robocizny chłopskie o ile to było możliwe, nie zrzekli się bynajmniej starożytnych czynszów i danin, stanowiących niegdyś najważniejsze obowiązki poddanego, najgłówniejszy dochód dziedzica. Wysokość czynszów, a zwłaszcza danin, stanowiących w omawianej przez nas epoce poboczny już tylko dochód dziedzica, nie ulegała tak szybkim zmianom, jak ilość dni pańszczyźnianych. Daniny, jak przed wiekami, składały się z drobiu, a więc z kapłonów, kur, czasem gęsi, dalej z jaj, zbóż, zwłaszcza owsa i żyta, niekiedy z chmielu i grzybów. Zresztą w daninach panuje wielka różnorodność: w jednych dobrach dają chłopci np. po 4 kapłony i 30 jaj, w innych po 6 kapłonów, 6 kur, 30 jaj; jeszcze w innych (np. w Parchatce w Lubelskiem) dają z każdej roli po 1 korcu i 2 garnce owsa, 1 kapłona i 15 kur; są i takie wsie, gdzie zamiast owsa dostarczają poddani od 1 garnca do 1 korca chmielu <sup>1)</sup>. W tej samej epoce daniny w niektórych wsiach, zwłaszcza w tych, w których dziedzic osobiście nie przebywa, były uiszczane nie w naturze, lecz w pieniądzu: np. w wieku XVIII, w dobrach Puławskich, dają chłopci zamiast kapłona 15 gr., za kurę 10 gr., za kopę jaj groszy 20. Równa różnorodność jak w daninach panowała i w wysokości czynszów: gdzieindziej wynoszą one zaledwie kilkanaście groszy, gdzieinziej wznoszą się ponad 10 zł. Ogólnie rzecz można, że czynsze są proporcjonalne do ilości trzymanej przez chłopów ziemi i odwrotnie-proporcjonalne do odrabianych przez nich pańszczyzn; ale od tej ogólnej reguły nie brakło wyjątków.

Znając wartość dnia roboczego w pewnej okolicy i ceny produktów miejscowych, można łatwo określić w pieniądzu ogólną wartość ciężarów, ponoszonych przez chłopów na rzecz dziedzica. W ten sposób obliczyć możemy, że nawet we wsiach, znajdujących się w dobrych stosunkowo warunkach, ciężary włościan są bardzo wielkie; w takich np. dobrach Puławskich, cieszących się wyjątkową opieką swych dziedziców Czartoryskich, ogólna wartość wszystkich robocizn, danin i czynszów dochodzi w końcu wieku XVIII do 90 złp. z włóki. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że chłopci zastępują jeszcze dziedzica w płaceniu podatków państwowych, że dają kościołowi

---

<sup>1)</sup> „Muzeum Świdzińskich”, tom II, str. 408; Archiwum Czartoryskich, rękopisy №№ 4000—4012 i dalsze.

dziesięcinę, że w niektórych dobrach płacą dworowi kary sądowe, że mu dają wzamian za wódkę znaczną część swej krwawicy, to nie będziemy się dziwili, że pomimo ścisłego nadzoru chłopci uciekają często ze wsi w wieku XVII i XVIII, nie mogąc walczyć z nieustannie grożącym niedostatkiem, że jak mówi współczesny poeta, we wsiach „nietylko się chałupy nadół pochyliły, ale drugich już nie znać, kędy która stała... pustek pełno”<sup>1)</sup>.

Nadzwyczaj niekorzystne położenie materialne chłop polskiego w dwóch ostatnich wiekach istnienia Rzeczypospolitej dosadnie charakteryzuje budżet włościanina, siedzącego w połowie wieku XVIII w Talczyńcu, wiosce, należącej do dóbr Kockich, na gospodarstwie, składającym się z 12 morgów roli, 2 morgów łąki, 1 do 2 morgów ogrodu, ułożony przez d-ra A. Bocheńskiego, autora cennej monografii, poświęconej historii dominium Kockiego<sup>2)</sup>. Otóż według zdania tego autora, kmieć taki zasiewał 4 morgi żyta, 2 morgi gryki, 1½ morga owsa, ½ morga grochu, 4 zaś morgi pozostawiał pod ugor. Przy pomyślnych warunkach zbiory z tych 8 morgów, po odtrąceniu daniny, dziesięciny i rezerwy na zasiew w roku następnym, mogły wynosić: 4,49 korca żyta, 0,77 owsa, 0,9 gryki, 0,75 grochu, nadto z ogrodu mógł chłop zebrać trochę chmielu, 0,85 korca jęczmienia, 0,35 korca gryki, 20 cetnarów jarzyn. Gdyby mógł cały zbiór obrócić na wyżywienie siebie z rodziną, położenie jego pod względem żywienia się możnaby uważać za zupełnie pomyślne. Ale chłop potrzebował 43 złp. gotówki, z czego wypadało 2 złote na podatki, 5 złp. na czynsze, 4 złp. na sól, 8 złp. na słoninę, 24 złp. na ubranie, obuwie i wódkę. Ze sprzedaży chmielu i drobiu można było dostać 5 złp., resztę, to jest 38 złp., trzeba było otrzymać ze sprzedaży 4 korcy żyta. W ten sposób na wyżywienie całej, składającej się minimalnie z 4 osób rodziny, miał chłop 0,49 korca żyta, 0,76 jęczmienia, 0,76 owsa, 1,22 gryki, 20 cetn. jarzyn, nieco słoniny, na koniec 400 kwart mleka w ciągu roku od jedynej krowy, którą mógł obok 2 wołów wykarmić na swoim gospodarstwie. Oczywiście pożywienie takie było niedostateczne, a cóż dopiero dźiać się musiało we wsi—zapytuje dr. Bocheński — gdy urodzaje nie

<sup>1)</sup> Piotr Zbylitowski „Schadzka ziemiańska”. Kraków, 1605.

<sup>2)</sup> Bocheński „Herrschaft Kock”, str. 167; zobacz także str. 138.



dopisały i nawet  $\frac{1}{2}$  korca żyta nie wypadło na rodzinę gospodarską?

Jak łatwo się domyślać, chłop polski z małymi wyjątkami prowadził gospodarstwo trójpolowe, które zresztą pawało wszechwładnie i w folwarkach i, rzecz można, do końca wieku XVIII, to jest do wielkich odkryć w rolnictwie, wywołanych rozwojem nauk przyrodniczych, było systemem gospodarczym Europy. Każdy kmieć-rolnik był obowiązany utrzymywać przynajmniej jeden sprzężaj, składający się zwykle z 2 wołów, którymi obrabiał pole swoje, swego pana i nie posiadających zwykle ciąгла sąsiadów-zagrodników. W majątkach lepiej zagospodarowanych mają chłopi oprócz wołów konie, którymi odbywają dla dworu „podróże” <sup>1)</sup>.

Ponieważ dwór nie posiadał narzędzi rolniczych, przeto pilnował, aby się one znajdowały u chłopów. Wykaz narzędzi, które—według Gostomskiego <sup>2)</sup>—powinien mieć każdy poddany, nie jest mały; obejmuje on: wóz, sanie, chomąta, szleje, widły, pomosty do gnoju, drabiny do żyta i siana, siekiery, sierpy, kosy, grabie, nożyce do strzyżenia owiec, cepy, stępy, przetaki, świdry, na koniec łopaty, pługi, radła, brony i sieczkarnie. Ten duży zapas różnorodnych narzędzi rolniczych, które jeszcze w końcu wieku XVI posiadały chłopskie gospodarstwa, świadczy, że kultura rolna wśród włościan polskich nie była niska. Nasz wojewoda Gostomski z uznaniem mówi o doświadczeniu rolniczem chłopów i radzi nawet szlachcie u nich uczyć się gospodarstwa, ale niestety, wiek XVII i XVIII, kiedyto chłopów systematycznie rozpajano i wyzyskiwano, spowodowały obniżenie poziomu kulturalnego chłopskiej gospodarki <sup>3)</sup>.

Byłoby rzeczą niezmiernie ciekawą i pouczającą odchylić zasłonę, zakrywającą przed nami życie domowe polskiego chłopów w przeszłości, wnikać w jego duszę i zbadać jego

---

<sup>1)</sup> Oto kilka przykładów ilości żywego inwentarza, znajdującego się w posiadaniu chłopów: We wsi Czermnie (dzisiejsza gubernia Płocka), w środku wieku XVII, siedmiu gospodarzy posiada razem 24 woły i 8 koni. W dobrach Puławskich (dzisiejsza gubernia Lubelska), w końcu wieku XVIII, jest na 818 gospodarzy 1138 wołów, 65 koni, 1511 krów. 1246 cieląt; zdarzają się chłopcy, którzy posiadają po 2 woły, 3 krowy, 2 nieuki (młody byczek), 6 owiec, 3 świnie, lub po 2 woły, 1 konia, 2 krowy, 1 jałowicę, 3 świnie.

<sup>2)</sup> „O e k o n o m i a”, str. 22.

<sup>3)</sup> „O e k o n o m i a”, str. 46.



umysł. Niestety, współcześni historycy i pamiętnikarze mało, a raczej prawie wcale nie zajmowali się chłopem, jeżeli zaś który z poetów czy pisarzy politycznych zniżył się do włościańskiej chaty, to dawał nam zawsze tylko obraz powierzchowny i zwykle tendencyjny. Chłopi nie umieli ani pisać, ani czytać, nie mogli więc własnem piórem utrwalić śladów przeszłości, jedynie więc zachowane gdzieś w wiejskich księgach sądowe, gdy się staną dostępnymi dla badaczy, będą mogły dać dużo charakterystycznego, lecz oczywiście jednostronnego materiału. Niestety, te nieliczne dane, które dotychczas posiadamy o życiu chłopu polskiemu w omawianej przez nas epoce, nie są pocieszające. Piętno wyzysku wywarło wpływ nadzwyczaj ujemny na wieś polską. Chłop, zwłaszcza w drugiej połowie wieku XVII i w w. XVIII, jest ciemny, zabobonny, mało przedsiębiorczy. Za sprawą pańskiej gorzelni jest on najczęściej pijakiem, pod względem etycznym nie stoi wysoko, złodziejstwo, oszukaństwo jest na porządku dziennym. Solidarności we wsi jest mało: włościanin, podejrzliwy względem dworu, zawistnem okiem patrzy na swego sąsiada i we własnym interesie szpieguje go, czy nie pije wódki poza granicami dominium, czy dobrze wykonywa pańszczyźnianą robotę. Niemniej przeto chłop jest pobożny. Wśród nielicznych wyjątków, którym mimo wszystko udało się zebrać nieco grosza, zapisy na rzecz kościoła nie należą do rzadkości. W stosunku rodzinnym był włościanin moralniejszy, niż współcześni nam mieszkańcy wsi polskiej, do czego niewątpliwie przyczyniała się surowość ustaw wiejskich. Ojciec rodziny posiadał ogromną władzę nawet nad dorosłymi dziećmi, której często nadużywał dla osobistych celów. Zdarza się naprzykład, że rodzice „dla swojej prywaty, wygody i usługiwania“ nie chcą wydawać za mąż córki, chociaż się jej dobry trafia konkurent<sup>1)</sup>. Pomimo biedy i niedoli, chłop nie tracił fantazyi, w niedzielę po karczmach bawiono się wesoło przy dźwiękach muzyki, o którą dba, przez troskliwość o gorzelnię, dziedzic; często też ku rozpacz dworu hulała kmicie w pobliskich miasteczkach. Stosunek chłopu do pana, lubo nie często przechodzi w otwartą wojnę, jest rzadko kiedy dobry; wystarczy się wczytać w „Oekonomię“ zarówno Gostomskiego, jak i Haura, by się przekonać, że między dworem a wsią toczy się walka podziemna, że niema

---

<sup>1)</sup> Haur „Ziemiańska Generalna Oekonomia“, str. 178.

ani cienia wzajemnego zaufania, że obie strony starają się wzajemnie wywieść w pole.

Ustrój wsi polskiej bynajmniej nie był zły, ani wadliwy; przeciwnie, nie dopuszczając szybkiego rozdrabniania gruntów chłopskich, zapewniając chłopom udział w samorządzie miejscowym, posiadając dobrą i praktyczną instytucję „załogi“, mógłby włościanstwu zapewnić warunki pomyślnego rozwoju, czego dowodem są niezbyt liczne, niestety, wsie, jak np. opisana przez prof. Ulanowskiego podkarpacka Kasina, której losów nie zwichnęło kilka pokoleń chciwych, krótkowidzących dziedziców. Niestety Polskę było, że w niej nie znalazła się żadna przeciwwaga dla egoizmu szlachty, która zresztą nie była bardziej egoistyczna, niż wszystkie klasy społeczne wszystkich narodów, że nie postanowiono żadnej tamy nadużyciom i samowoli dziedziców. Ustrój wsi polskiej, zupełnie dobrze funkcjonujący w wioskach, należących do prawych i mądrych obywateli, wydał rozpaczliwe skutki w dobrach ludzi nierozumnych i chciwych. Niezbyt humanitarnie dla chłopów usposobiony, ale logiczny i praktyczny wojewoda Gostomski przestrzegał czytelników w swej „Oekonomii“, by nie rozpajali swych chłopów, nie ubożyli, nie wyzyskiwali nadmiernie, bo wtedy i dla folwarku będą nieobliczalne straty; ale, niestety, większość szlachty nie zrozumiała tej przestrogi.

Nie należy jednak zapominać, że nigdy ucisk włościan nie był w Polsce zjawiskiem powszechnym. Przedewszystkiem w dobrach duchownych cieszą się chłopci opieką władz kościelnych, które szanują ich samorząd i nie rozpajają ich w karczmach; długo też cieszyły się względną pomyślnością wsie, należące do starostw; na koniec nigdy nie brakło w Polsce pojedynczych ziemian i magnatów, rozumiejących i swój własny interes, i swe obowiązki względem poddanych. Skrzetuski<sup>1)</sup> twierdzi, że wielu dobrych panów zastępowało chłopów w płaceniu podatków państwowych; wiemy o dziedzicach, którzy w XVII w. przekazywali winy sądowe miejscowym szpitalom<sup>2)</sup>; *Volumina legum* przechowały pamięć sandomierskiego dziedzica, niejakiego Lipnickiego, który, chcąc ulżyć doli włościanom, zapisał na wieczne czasy kapitał 15 000 złp., by za procent od tej sumy opłacać podatki za włościan powiatu San-

<sup>1)</sup> Skrzetuski „Prawo polityczne narodu polskiego“, tom II, str. 190.

<sup>2)</sup> *Volumina legum*, t. IV, p. 111.

domierskiego. Gdybyśmy się zwrócili do historyi wieku XVIII, zwłaszcza pamiętnej epoki międzyrozbiorowej, przed oczami naszymi stanęłyby nieśmiertelne postacie Brzostowskich, Zamojskich, Chreptowiczów, którzy rzeczywiście byli ojcami swych poddanych i pragnęli z nich zrobić wolnych obywateli kraju. Polska poezya i publicystyka, jakkolwiek spoczywająca wyłącznie na barkach szlachty, nigdy nie przestała bronić uciemnionych poddanych, prośbami i groźbami nawoływać dziedziców do opamiętania się, do postępowania sprawiedliwego z włościanami. Przypomnijmy sobie choćby „Schadzkę” Zbylitowskiego, w której poeta z taką siłą się skarży, że gdy szlachta się stroi i żyje wystawnie, wieś zagrożona jest prawie w nędzy; odczytajmy potężną „Satyrę III” Krzysztofa Opalińskiego, w której autor odmalowuje wyzysk chłopów i woła, że „za nic Bóg tak Polski nie karze, jak za poddanych opresyę”. W odmalowaniu doli chłopów Opaliński — jak wiadomo — nie szczędził czarnych kolorów, niemało użył przesady, to też lubo ryzykownie byłoby uważać jego satyrę za bezpośrednie źródło do poznania położenia wsi polskiej, jednakże świadczy ona, że wśród szlachty byli ludzie, umiejący się w czasie największego zaślepienia wznieść ponad interesy klasowe. I wśród polskiego duchowieństwa w omawianej przez nas epoce nie brakło ludzi, którzy nie dbając o popularność wśród szlachty, słowem i piórem bronią włościan. Powszechnie znane jest VIII kazanie sejmowe Skargi, w którym genialny mówca rzuca gromy na szlachtę, „bez żadnej prawnej przeszkody” zmuszając „poddanych i oraczy” do ulegania „swemu absolutnemu dominium”. Współczesny Skardze ksiądz Śmiglecki, w swej pracy „O lichwie i o wyderkach, czynszach, spółnych zarobkach, najmach, arendach i samokupstwie”, skarży się, że stosunku szlachty do poddanych nie można inaczej nazwać, „jedno okrucieństwem wielkim nad poddanymi, od którego do strasznego sądu Bożego apelacya. Bo nigdy tu rola nędzna nie stoi za to, czego ci niebożęta. w tak ciężkich i w niezmiernych drogach się nacierpią”. Podobną myśl do Skargi wypowiedział i inny pisarz XVII wieku, Starowolski, który żąda stanowczo, by ustawy sejmowe określiły wysokość pańszczyzn, by „Rzeczpospolita w to wejrzała, przykładem innych narodów, aby poddanych swoich panowie *pro libitu suo* nie zabijali, nie łupili i majątności ich comają, ani gruntów, które sobie uprawiają, nie odejmowali, ani ich też gwałtownymi robocznymi nie obciążali jako bydło

nieme, ale się z nimi jako z ludźmi po ludzku obchodzili". Nawet tam, gdzieby się tego najmniej można spodziewać, u popularnego agronoma Haura, znajdziemy nie tylko słowa współczucia dla chłopów, ale i potępienie tych ziemian, którzy „z boską i z bliźniego krzywdą” posyłają poddanych w podróże w święta i w święta urządzają jarmarki i kupiectwa, „aby poddanych od powszedniego dnia nie odrywać”. W wieku XVIII, a zwłaszcza w pamiętnej dobie konstytucyi 3 maja, jeszcze częściej można się spotkać z głosami, broniącymi z siłą i odwagą włościan; nie mamy niestety możliwości streszczać na tem miejscu licznych broszur i pism ulotnych, poświęconych wówczas tej sprawie.

Musimy jeszcze powrócić do idei o konieczności interwencji państwa w sprawach włościańskich, do idei prawnego uregulowania praw i obowiązków poddanych, którą spotykaliśmy już w kazaniach Skargi i u Starowolskiego, a której wyrazem były pamiętne a niespełnione śluby Jana Kazimierza. Idea ta, z początku bardzo niepopularna, czyni postępy w wieku XVIII. Jest ona nicią przewodnią pisarzy tego stulecia, zajmujących się kwestyą włościańską; słaby jej oddźwięk znajdujemy nawet w prawach kardynalnych z roku 1768, które wprowadzie gwarantują „całość *dominii et proprietatis* dziedziców”, odbierają jednak panom prawo karania swych poddanych śmiercią. Daleko śmielszy był projekt kodeksu, który na rozkaz Sejmu opracował w roku 1776 kanclerz Zamojski. Projekt ten gwarantował ochronę prawną umowom, zawartym między panem a poddanymi, i pozwalał niewykonanie umowy zaskarżać do sądu. Poddani krzywdzeni i uciemiężeni przez pana mieli otrzymywać wolność, wolnymi też mieli być drugi i czwarty syn każdego kmiecia. Projekt Zamojskiego wprowadzał nową klasę ludzi wolnych, osiadających na gruntach za kontraktem, określającym ich ciężary. Projekt Zamojskiego nie był przyjęty przez Sejm z roku 1780 i dopiero konstytucya 3 maja wcielała w życie ideę Skargi i najlepszych synów narodu, biorąc chłopów „pod opiekę prawa i rządu krajowego” i zapewniając ważność umów, zawieranych przez dwór z chłopami, zabraniając je zmieniać bez zobopólnej zgody. Nadto konstytucya gwarantowała wolność powracającym z zagranicy chłopom-zbiegom, zarówno jak osiadającym w kraju cudzoziemskim wieśniakom, i uznawała za wolnych tych włościan, którzy odsłużyli w wojsku lat 12.

Oczywiście reformy konstytucyi były bardzo nieśmiałe, ale też miały one być pierwszym ogniwem w łańcuchu ustaw,

mających doprowadzić do uwłaszczenia i wyswobodzenia kmięcia polskiego. Drugi i trzeci rozbiór Polski przecięły u samego początku ów łańcuch reform tak koniecznych, i państwo Polskie zeszło do grobu, nie rozwiązawszy kwestyi włościańskiej. Czyż mamy się z tego powodu wstydzić naszej przeszłości, czyż mamy uważać polską szlachtę za jakichś niesłychanych krwiożerczych barbarzyńców? Bynajmniej. Nie w samej tylko Polsce szlachta uciskała poddanych, bo u naszych wschodnich, a nawet i zachodnich sąsiadów włościanom w swoim czasie działało się nie lepiej; fakt zaś, że do Polski więcej niż z Polski uciekało kmięci, nie przestanie być wymowną obroną naszej przeszłości. Nie zapominajmy, że państwo Polskie nie dożyło do skutków Wielkiej Rewolucyi francuskiej, nie ujrzało już XIX wieku, który w większej części Europy przywrócił chłopom prawa obywatelskie. Księstwo Warszawskie i Królestwo kongresowe miały już w swych granicach włościan, posiadających wolność osobistą; niewątpliwie, gdyby dłużej istniały, potrafiłyby bez obcej pomocy uregulować stosunek chłopów do ziemi, dokonać ich uwłaszczenia. Uwłaszczenie zresztą w wieku XIX było koniecznością dziejową, zniesienia pańszczyzny wymagały naówczas najżywotniejsze interesy wszystkich klas narodu. Można nawet przypuszczać, że gdyby samo społeczeństwo miało możność dokonania reformy włościańskiej, zastosowałoby ją lepiej do warunków miejscowych i zachowałoby z dawnego ustroju wsi polskiej to, co w nim było najlepszego, np. niepodzielność gruntów, szpitale wiejskie, przytułki i t. d., chroniąc ją od wielu nieszczęść i ciosów.

---

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI.

INDYWIDUALIZM ROSYJSKI I JEGO ODBICIE  
W LITERATURZE.

(Dokończenie.)

II.

„Literatura powinna ze wszystkich sił dążyć do uwolnienia jednostki ludzkiej od tych rozmaitych więzów, które na nią nakładają: bojaźliwość jej własnej myśli, przesady kastowe, powaga tradycji, dążenie do wspólnego ideału“. Tak pojmował zadanie literatury wogóle, rosyjskiej zaś w szczególności, słynny krytyk siódmego lat dziesiątku XIX w., Pisarew (ob. szkic jego p. n. „Scholastyka XIX wieku“), jeden z typowych przedstawicieli — że tak powiem — chamstwa myślowego w dziejach umysłowości rosyjskiej. Nie mówię już o tem, jak sam Pisarew uwalniał jednostkę ludzką od „rozmaitych więzów“, — dzisiaj z pogardą mówi się w Rosyi o „pisarewszczyźnie“ w sferach indywidualistów subtelniejszego gatunku\*) — faktem jest jednak, że literatura rosyjska, zwłaszcza drugiej połowy XIX w., zadaniem powyższem wciąż była przejęta i powołanie swoje widziała przede wszystkim w wyzwaniu „ja“ ludzkiego. Nigdzie nie spotykamy tyle troski o jednostkę ludzką, nigdzie tyle nie spierają się ludzie o to, czem ona być powinna, jakie ma prawa, co jej wolno, czego zaś nie wolno, ile w literaturze rosyjskiej. Miało to bardzo dodatni wpływ na nią, zwiększało jej żywotność, podnosiło znaczenie w życiu społecznem. Nigdzie jednak nie było może tak mało istotnego pożytku, jak ze wszystkich tych sporów, z całego tego przejęcia się sprawą wyzwolenia jednostki ludzkiej. Jeżeli mamy sądzić z dzisiejszych objawów literackich życia jednostki (z utworów np. Andreje-

\*) Patrz między innemi: A. L. Wołyńskiego „Krytycy rosyjscy“; Iwanowa-Razumnika „Historia rosyjskiej myśli społecznej“ (2 tomy, 1907 r.) i t. d.

wa, Arcybaszewa i w. innych), to, doprawdy, ta wyzwalamana nieustannie jednostka ludzka albo już zupełnie straciła poczucie samej siebie, albo chce je odzyskać na drogach niezmiernie pierwotnych.

Nikt więcej od pisarzy rosyjskich nie mówi o swobodzie jednostki, o życiu, o tem jak żyć, o rozkoszy, żądzy życia i t. p., ale też nikt chyba nie chwieje się tak na tych wszystkich punktach, nie załamuje się tak głęboko na tych wszystkich sprawach, jak oni.

Nic dziwnego, są to zagadnienia bardzo złożone, budzące ogrom wątpliwości wszelkich. No, tak, — ale poza tem wszystkim czuje się brak czegoś zasadniczego, brak istotnego zmysłu życia, należytego poczucia wolności ludzkiego „ja”. W utworze swoim „Czytelnik” Gorkij wyznaje: „Odkryłem w sobie sporo dobrych uczuć i pragnień, wiele tego, co zazwyczaj nazywamy dobrem, uczucia atoli jednoczącego to wszystko, myśli jasnej i harmonijnej, obejmującej wszelkie zjawiska, nie znalazłem w sobie” (str. 247, I. III). Przychodzi to na myśl przy zdawaniu sobie sprawy z dążenia literatury rosyjskiej do uwolnienia jednostki ludzkiej od „rozmaitych więzów”, do wyrozumienia życia, stosunku jednostki do całości i t. p. Jest tu sporo dobrych uczuć i pragnień, silnych żądz i namiętnych dążeń, niema uczucia jednoczącego to wszystko, niema myśli harmonijnej, ogarniającej wszystkie zjawiska.

Gdy przeglądam różne literackie rojenia o wyzwolonej jednostce ludzkiej, wszelkie pomysły twórców rosyjskich, dotyczące pięknego, „prawdziwego” życia, — doznaję wrażenia, że im wciąż przeszkadza do stworzenia czegoś istotnie żywotnego w tej mierze — brak zaufania do człowieka, słaba wiara w jego poczucie godności. Poza tem doznaje się wrażenia, iż oni wciąż się obawiają, że im tę całą wymarzoną swobodę „wyzwolonej” jednostki może w każdej chwili odebrać byle stójkowy, — dla tego wymagają dla jednostki swobody absolutnej, by trudniej było ją odebrać, by coś z niej zostało. Okazuje się jednak, że łatwiej jest odebrać całą swobodę, niż część jej: przychodzi stójkowy, żąda oddania swobody, — oddaje się wszystko.

Pomysły i miotania się ludzi w czasie powodzi, bądź pożaru, najszlachetniejsze nieraz popędy i postanowienia, ale też i czyny takiej rozpacz, która nie różni się od szaleństwa albo nikczemności! W rezultacie gwałt — na początku i na końcu. Gwałcenie jednostki i życia, by wydały z sie-



bie *maximum* wolności, — gwałcenie obojga, by się jej wyrzekły i wyparły.

„Karamazowowie nie są łotrami, jeno filozofami, albowiem wszyscy prawdziwie rosyjscy ludzie są filozofami” — powiada Dymitr Karamazow (patrz powieść Dostojewskiego „Bracia Karamazowy”). Dajmy na to, że tak jest, w każdym razie jednak są to filozofowie osobliwego rodzaju. Każdy z takich filozofów wyznaje albo filozofię „człowiekoboga”, albo filozofię „bogoczłowieka”, właściwie naprzód „człowiekoboga”, a następnie „bogoczłowieka”. Umysł prawdziwie rosyjskiego filozofa rozumie i uznaje powyższe biegunowe sytuacje ludzkie, niema tu miejsca na pojęcie człowieka, tylko człowieka. Zaczyna się od przyznania jednostce wszelkich praw, władzy nieograniczonej nad ziemią i niebem, a trwa to dopóty, dopóki władza tego rodzaju nie doprowadzi jednostki ludzkiej do jakiejś „katorgi” duchowej, do zgubienia się w ciemności bytu i wykolejenia się duszy na jego zdradzieckich drogach. Wówczas filozofia „człowiekoboga” bankrutuje zupełnie w oczach jednostki ludzkiej, która nagle uświadamia sobie wręcz przeciwną prawdę, mianowicie, że „katorżnik nie może istnieć bez Boga”, — a zatem: „Niech żyje Bóg i Jego radość! kocham Go!” (patrz „Bracia Karamazowy”). Nie dość, że jednostka taka krzyknie: Niech żyje Bóg, — tak jak krzyczą dusze w rozpacz, poszukujące ratunku; nie dość, że poczuje w sobie nagle, po uderzeniu piorunu, „nowego” człowieka, — ale ona wnet czuje się powołaną do głoszenia „nowej” nauki, nowej Ewangelii — filozofii „bogoczłowieka”. Na początku była „demoniczność”, pozwalanie jednostce na wszystko, pochłonięcie całości przez atom; teraz będzie „anielskość” niezrównana, roztopienie się jednostki w całości, zapomnienie i wyrzeczenie się jej praw ziemskich. Ani jedno ani drugie nie może się obejść bez gwałtu względem jednostki ludzkiej i życia wogóle.

Raskolnikow (patrz Dostojewskiego „Zbrodnia i kara”) pragnie zostać „człowiekobogiem”, marzy o tem, by stać się Napoleonem, słowem — jednostką wyjątkowo uposażoną pod względem praw i władzy nad ludźmi; chce sobie przekonać o swojej mocy, dumie, demonizmie. Potrzeba przekonania siebie, że się nie jest „nędznym robakiem, jak wszyscy”, poparta rozumowaniem, zmusza Raskolnikowa do popełnienia zbrodni. Po jej spełnieniu oblegają go wątpliwości, budzi się w nim skrucza, odzywa się tkwiący w nim żywioł „boski”; Raskolnikow dochodzi do przekonania, że



jest „nędznym robakiem, jak inni“, i myśli tylko o „przyjęciu cierpienia“, o zdeptaniu ostatecznem „robaka nędznego“. Cóż tu zaszło? Nic, prócz podwójnego gwałtu, dokonanego na spragnionej wyzwolenia jednostce. Tkwił w duchu jego żywioł „boski“, więc go pogwałcił rojeniem o demonizmie i władzy nad życiem innych; jeśli w istocie odczuwał głęboko potrzebę czegoś podobnego, więc również ją pogwałcił, dokonał gwałtu na sobie samym, spychając siebie na poziom nędznego robaka. Filozofia „demonizmu“, zarówno jak i filozofia „anielskości“ — okazały się jednakowo szkodliwymi dla jednostki ludzkiej, nie odpowiadały pełni życia. Kto chce pełni tej zadośćuczynić, życia nie pogwałcić, jednostce ludzkiej dopomódz w zrzucaniu tych lub owych więzów, ten, układając filozofię „człowiekoboga“, powinien nie zapominać o „boskim“ żywiole, tkwiącym w naturze ludzkiej, a który nie w porę może się odezwać; tak samo, gdy układa filozofię „bogoczłowieka“, powinien uwzględnić żywioł „demoniczny“, jeśli stanu „anielskości“ nie chce wyzuć z godności ludzkiej i t. p. uczuć. Innej rady niema! Ależ to „mieszczkańska“ filozofia! — powiedzą, — coś, co nie odpowiada wcale ekstazom i porywom jednostki ludzkiej! Bardzo być może; kto jednak gorszy się tego rodzaju „mieszcząństwem“ wyobrażeń o życiu, niech się zdecyduje na coś jednego: na „demonizm“, albo na „anielskość“, niech się trzyma wytrwale, od początku do końca, pierwszego lub drugiego wyznania; niech pierwszemu podda „boski“ żywioł swej natury, drugim — niech okiełzna wszelkie jej „napoleońskie“ rojenia.

Bez takiego postanowienia nie można myśleć o istotnem wyzwoleniu jednostki. Chwianie się między dwoma biegunami, przechodzenie z jednego na drugi, kuszenie się „demonizmem“, gdy nosi się w sobie „anielskość“ i *vice versa*, może prowadzić tylko do jednego wyniku: do wymuszania na jednostce ludzkiej zarówno „zbrodni“, jak i „świętości“, słowem do takiego lub innego gwałcenia „ja“ ludzkiego i życia wogóle. Jeśli życie składa się z żywiołów „człowiekobozych“ i „bogoczłowieczych“, z dążeń dośrodkowych i odśrodkowych, jeśli w świadomości jednostki ludzkiej tkwi z jednej strony pragnienie niezależności absolutnej, z drugiej zaś — tęsknota do zlania się z bytem wiecznym, w takim razie istotne wyzwolenie jednostki może się dokonać tylko przez syntetyzowanie jej zasadniczych potrzeb i dążeń. Zwalczanie ustawiczne jednych przez drugie, zwalczanie „człowiekobo-

ga" przez „bogoczłowieka” daje niewątpliwie bardzo niezwykły obraz życia, wypełnia je wrzeniem i niepokojem, rozdwojeniem i rozpaczą, nie posuwa go jednak naprzód, nie pozwala mu osiągnąć pełni, wcielić się w wyższą postać. Raz „człowiekobóg” zabija „bogoczłowieka”, drugi raz znów ten zabija tamtego, rezultaty walki nie prawdziwie nowego nie dają jednostce ludzkiej, wykonywa ona tylko pracę Syzyfową uwalniania się od samej siebie, od tego co będzie zawsze nią, pomimo ten lub ów tryumf, raczej gwałt nad sobą. A jeśli siły przeciwne są sobie równe, jeśli „człowiekoboga” nie może zwyciężyć w świadomości jednostki ludzkiej „bogoczłowiek” i naodwrot, wówczas — jednostka ludzka unicestwia samą siebie. Gdzież tu, w tych wszystkich wypadkach, może być mowa o wyzwoleniu jednostki, o osiąganiu przez nią wyższych postaci życia? Unicestwienie nie jest wyzwoleniem, rozwiązuje ono zagadnienie życia zewnętrznie, jest objawem najwyższej jego niemocy.

Oto próbka podobnego wyzwolenia jednostki. „Bogoburca” Kirilow, w którym wrogie siły neutralizują się, rozmawia z innym „bogoburcą” (młody Wierchowieski), w którym najlichszego gatunku „człowiekobóg” przewyciężył ostatecznie „bogoczłowieka”.

— „Istnienie Boga jest niezbędne — powiada Kirilow: — więc Bóg musi istnieć.

— „Bardzo pięknie.

— „Ale ja wiem, że Bóg nie istnieje i nie może istnieć.

— „To jest bardzo zbliżone do prawdy.

— „I ty jeszcze nie rozumiesz, że z temi dwiema myślami dłużej żyć niepodobna?...

— „Trzy lata szukałem atrybutu boskości własnej — ciągnie Kirilow — i znalazłem go wreszcie: atrybutem mojej boskości jest Samowola! To jest jedyny środek, zapomocą którego będę mógł okazać swoją niepodległość i swoją nową, straszliwą wolność. Zabijam się po to, żeby okazać w ten sposób swoją niepodległość i swoją nową straszliwą wolność”. (Ob. powieść Dostojewskiego „Biesy”, przekład polski.)

„Z temi dwiema myślami dłużej żyć niepodobna” — oto jest prawda. Więc cóż? jak żyć? Nie wszyscy, po uświadomieniu sobie prawdy powyższej, zechcą stwierdzać swoją niepodległość i nową straszną wolność — zapomocą samounicestwienia. Więc albo zaczną żyć w dalszym ciągu z temi dwiema myślami, z którymi „dłużej żyć niepodobna”, nie

będzie to zatem życie, jeno martwota, coś bezpłodnego, u-niemożliwiającego wyzwolenie jednostki ludzkiej; albo zaczną żyć zgodnie z jedną tylko z dwóch danych myśli: jedni pój-dą w kierunku „człowiekoboga”, inni—w kierunku „bogoczło-wieka”. I tak się dzieje wciąż w życiu, które nie ma daru czy zmysłu syntetyzowania swoich zasadniczych pierwiast-ków, lub opiera się mu, wskutek tych lub owych doktryn i prawd połowicznych. W pierwszym przypadku jednostka nie wyzwala się, gnije, rozkłada się powoli; w następnych dwóch wyzwala się jednostronnie, doznaje złudzenia, że się wyzwala, a gdy złudzenie pierzchnie, zaprzecza samą siebie.

Literatura rosyjska ostatniego okresu przesuwając wciąż przed wzrokiem czytelnika miraż „człowiekobóstwa” i „bo-goczłowieczeństwa”. Mówię tu o literaturze wieszczącej, prawdziwie ideowej, tej, która nietylko odtwarza artystycz-nie życie, ale i daje zachętę do sprowadzenia go do wspólnego mianownika, która sama usiłuje stworzyć z niego je-dność.

Twórczość Gonczarowa, Turgieniewa, Czechowa i in. nie zna czegoś podobnego. Zajmuje się ona przedewszyst-kiem tylko człowiekiem, nie przebóstwia go, ani nie ucłowie-cza Boga. Odtwarza wysoce artystycznie życie człowieka, obrazuje byt rosyjski, nawet popiera te lub owe idee, takie bądź owakie tendencje społeczne, — ale nie wieszczy, nie zapowiada przyjscia królestwa bożego. Nie mówię już o wła-sciwej literaturze „bytopisarskiej”, o twórczości Grigorowicza, Gleba Uspienskiego, Rieszetnikowa, Lewitowa, Korolenki i. t. p. odtwórców rozmaitych stron i stanów społeczeństwa rosyj-skiego. Tego rodzaju literatura wydała arcydzieła artyzmu, nauczyła ogół wielu rzeczy, rozszerzyła w nim mnóstwo uży-tecznych myśli i poglądów, wszelako Apokalipsą dla naro-du nie była. Literaturę apokaliptyczną stwarzają Dostojew-ski i Tolstoj, z niej się wywodzą: Gorkij, Andrejew i inni *minorum gentium*, którzy, prócz odtwarzania bytu rosyjskie-go, układają, każdy na swój sposób, systematy światoburcze i bogoburcze, zapowiadają ostateczne wyzwolenie jednostki ludzkiej. Oni odtwarzają tę Rosję, która — podług określe-nia Gogola—pędzi kędys „trójką nieprześcignioną” i jest „na-tchniona duchem Bożym”. Oni nadto wytwarzają tego du-cha i „trójce” nadają rozpęd.

Twórczość Dostojewskiego jest nieustannie tem zajęta, odnajdujemy w niej najrozmaitsze stopnie i postaci — od najnędzniejszych do najwspanialszych i najtragiczniejszych —

„demonizmu” i „świętości”, „człowiekoboga” i „bogoczłowieka”. Tu już nietylko chodzi o odtworzenie ścierających się w człowieku pierwiastków „złego” i „dobrego”, walczących z sobą tych lub owych namiętności, dodatnich i ujemnych stron ducha ludzkiego, ale jeszcze i o wyszukanie doskonałej postaci bytu, absolutnej wartości „ja” człowieczego. Poszukuje gorliwie, niby już znajduje, im bardziej jednak przedmiot pogłębia, tem mniej pewną staje się wartość odszukiwana.

Przyjrzyjmy się szeregowi „człowiekobogów”, przedstawicieli bezwzględego indywidualizmu, zaczynając od bardzo pierwotnych, kończąc na strasznie oryginalnych. Oto Wałkowski z powieści „P o n i ż e n i i p o k r z y w d z e n i a”; oto bohater tytułowy z powieści „W y r o s t e k”; dalej Iwan Karamazow, a i brat jego Dymitr; Stawrogin, Szatow, Kirilow z „Bie-s ó w”, Raskolnikow ze „Z b r o d n i i k a r y” i cała niezliczona moc drobnych i olbrzymich biesów, pospolitych i niezwykłych „człowiekobogów”. Okazuje się, że pospolici mają przyszłość przed sobą, a z niezwykłych, o ile nie przecho-dzą w „bogoludzi”, nic nie zostaje. Tacy, co powiadają: „Ko-cham siebie samego, — oto jedyna zasada, którą uznaję” (książę Wałkowski), albo: „Osobista swoboda, t. j. moja włas-na—na pierwszym planie, co dalej—o tem wiedzieć nie chcę” („Wyrostek”),—tacy są bardzo żywotni, ród ich rozplenia się szybko na ziemi. Najgorzej jest z tymi, co u szczytów „czło-wiekobóstwa” stoją,—ci kończą samounicestwieniem, w prze-nośnem lub dosłownem znaczeniu. Tak kończy i Raskolnikow, i Kirilow. Pierwszy zabija w sobie „Napoleona” i sta-je się „nędznym robakiem”; drugi, znalazłszy atrybut swojej boskości—samowolę, stwierdza swoją „straszliwą nową wol-ność” — śmiercią. „Dla kogo będzie wszystko jedno żyć albo nie żyć, ten będzie nowym człowiekiem, — on przyj-dzie i imię jego będzie człowiekobóg” — powiada Kirilow. Cóż z tego, że „on” przyjdzie, skoro natychmiast, jeśli mu się podoba, odejdzie, gdyż dla niego wszystko jest jedno: żyć lub nie żyć. Co tu na jego przyjsciu zyskać może wyzwa-lająca się jednostka ludzka? — doprawdy, niełatwo wyrozu-mieć! A przecież mamy tu do czynienia z najwyższym stop-niem „człowiekobóstwa”! Są inne jeszcze. Iwan Karamazow np. — doskonale się zapowiada, pragnie swobody nieogra-niczonej dla swego „ja”, rozum ma nieubłagany, jak u „wiel-kiego inkwizytora”, zdaje się potrafi poradzić sobie nawet z Chrystusem. Ale i ten bogoburca ma tyleż powołania na

„człowiekoboga”, ile na „bogoczłowieka”: przyjdzie jaka katorga duszy, więc skapituluje na rzecz tego drugiego. Nie wiadomo czy stanie się „bogoczłowiekiem”, ale to wiadomo, że i on z „dwoma prawdami” nie będzie mógł żyć. Zresztą może się stać „bogoczłowiekiem”, bies bowiem Iwana Karamazowa, bies rosyjski, bardzo się w końcu nuży swoim nieokreślonem istnieniem. On, w szczerzej rozmowie z Iwanem, wyznaje bez ogródek: „Marzeniem mojem jest — powiada — wcielić się, ale już tak ostatecznie, bezpowrotnie — w jakąś grubą, siedmiopudową kupczychę i uwierzyć w to wszystko, w co ona wierzy. Ideałem jest moim — wejść do cerkwi i z czystego serca postawić świeczkę, — dalibóg prawda!” Oto są marzenia biesowskie. Bardzo często one się urzeczywistniają: bies wchodzi do cerkwi i zapala świeczkę. Nie wiadomo komu winszować takiego nawrócenia...

Trzeba dodać, że wszyscy ci przedstawiciele „demonizmu” są w gruncie rzeczy „trochę panteistami i romantykami”. Kirilow rozkoszuje się „listkiem zielonym, jaskrawym, pokrytym żyłkami”, wdzięczny jest „pająkowi za to, że łązi po ścianie”... Iwan Karamazow powiada: „Chce się żyć, więc żyję — choćby wbrew logice. Mogę nie wierzyć w porządek rzeczy. Jednakże drogie są dla mnie lepkie, rozwijające się na wiosnę, listki, drogie jest niebo błękitne, drogi ten lub ów człowiek, którego nieraz nie wiadomo za co kochasz, drogi jest ten lub ów czyn ludzki, w który oddawna może przestałeś wierzyć, a mimo to uwielbiasz go jeszcze!.. Otóż to! Kocha się życie, świat, Boga się nosi w sercu, a chce się go przezwyciężyć. Stąd też, gdy się jest „człowiekobogiem”, tęskni się do „bogoczłowieka”—i *vice versa*. I jedność życia bierze w łeb, „ja” się nie wyzwala, wartości absolutnych nie stwierdza się, dochodzi się albo do samounicestwienia, albo do wieczystej rozterki. O ile się nie było od początku drobnym, lichym biesem, zostaje się biesem znużonym, zamieszkującym w końcu w grubym ciele „siedmiopudowej kupczychy”, albo... emigruje się do dziedziny „bogoczłowieka”. Więc po cóż było tak się odgrażać, po co było grać w Antychrysta, kiedy się kochało listki zielone, ludzi, niebo, kiedy się modliło do tego wszystkiego?.. Czy nie lepiej było to wszystko odrazu uwzględnić, uznać bezwzględną wartość tego wszystkiego? Filozofia życia mogłaby nie tak „dumnie” i „demonicznie” wyglądać, mieściłaby w sobie nieco pierwiastków „mieszczkańskich”, byłaby jednak spójniejsza, całkowitsza i nie prowadziłaby do kompromitacji ustawicznych.

Szereg „bogoludzi“ w utworach Dostojewskiego rekrutuje się przeważnie z emigrantów, z niewytrzymujących próby „człowiekobogów“, albo z pośród tych, co po „zbrodni“ poszukują „kary“, tęsknią do „świętości“. Są to postaci o wiele mniej żywotne od postaci bogoburczych, albo bardzo mętne, niewyraźnie syntetyzujące pierwiastki „nowego“ człowieka. O wartości ich dla życia, dla istotnego wyzwolenia ludzkiego „ja“, można mówić bardzo nieśmiało domysłami, najpierw dlatego, że one albo już są wycofane z życia, stoją właściwie poza jego dobrem i złem, albo jeszcze w to życie nie weszły, sposobią się dopiero do niego. „Błogosławiony człowiek“, ojciec Zosima (powieść „Bracia Karamazowy“), jest najwyższym wykwitem „bogoczłowieczeństwa“. Ale on doszedł do niego także po katastrofach ducha, po „zbrodniach“, na drodze gwałtu, a skoro doszedł, skoro przerobił w sobie całą uciążliwą treść świata, całe życie z jego wszelkimi pokusami i zdradzieckimi sprawami — na coś „lekkiego“, czystego i wzniosłego, słowem, gdy się oparł na duchu wskrzeszonym, — wnet z całym tym skarbem zamknął się w celi zakonnej, strząsnął z obuwia swego pył ziemski, wycofał się z życia i z osiągniętej wysokości rozważał do brotliwie, przychylnie, wszelkie jego pogmatwane zagadnienia. W takich warunkach łatwiej dojść do syntezy, do jedności życia, niż wśród jego czynnych żywiołów, w wichrze i burzy świata. Tego rodzaju „bogoczłowieczeństwo“ na przód nie powstaje organicznie, na drodze naturalnego rozwoju, następnie — staje poza życiem, więc też nie może jego sprawom przewodniczyć. Ostatnia nadzieja spoczywa w Aloszy Karamazowie, który jest bardzo chwiejnie zarysowanym projektem „bogoczłowieka“ przyszłości, a powstaje organicznie z życia i zwraca się ku niemu. Może on dokona przymierza między światem a Bogiem, zjednoczy ciało z duchem, Ojca z Synem, i sprawi, że wszystko będzie stanowiło jedno, nie zaś dwa. Na to można poniekąd liczyć, ale można też i czego innego po nim się podziwiać. W Aloszy odzywają się głucho tego rodzaju tęsknoty, tego rodzaju ziemskość przebija się przez jego boskość, że z tego może wyniknąć znowa jakie bogoburstwo. Wszystko to się zaczyna bardzo niewinnie, — od miłości dla „listków zielonych“ i t. p., ale skończyć się może wśród wichru i burzy życiowej, na rozpętaniu zmysłowości, urwaniu się z uwięzi „Bestyi“, biorąc rzeczy szerzej i „apokaliptyczniej“. Alosza tak jakoś dwuznacznie, a przytem bardzo prędko załatwił się



z zagadnieniem świata, ze sprawą zmysłów, tak jakoś łatwo przeszedł nad tem wszystkim do porządku dziennego, że można mniemać, iż „Bestya“ przyczaiła się w nim umyślnie, żeby mu jeszcze kiedyś, w ekstazie „bogoczołwieczeństwa“, jakiego niedobrego figla spłatać... Budzi on wielkie nadzieje, ale i nie mniejsze obawy, — nie daje więc życiu rękojmi, nie ustala jego absolutnych wartości. Wogóle „bogołudzie“ Dostojewskiego, tak ci, co już zdobyli „prawdę Bożą“, jak i ci, co są na drodze do jej osiągnięcia, dają rękojmię, że w wyjątkowych sytuacjach, w jakiejś „katordze“ życiowej, albo w odosobnieniu od świata, potrafią prawdy zdobytej nie uронić; nie dają jednak pewności, co z nią się stanie, gdy sami znajdą się wśród pełni życia, wobec jego całości, jego krzyżujących się dróg.

Twórczość Lwa Tołstoja zajęta jest również wielką sprawą wyzwolenia jednostki ludzkiej, ustalenia dla niej absolutnych, uniwersalnych wartości. Homer życia rosyjskiego, ten niezrównany epik życia wogóle, może w sposób bezpośredniejszy styka się z jego prawdą, z „prawdą bożą“, i w wyjątkowo zindywidualizowanych zjawiskach jego nie szuka niezmiennych wartości życiowych, jednak to go nie chroni od rozrywania jedności życia, jego spójni wewnętrznej. Ludzie Tołstoja wyglądają bardziej po ludzku, nie mają charakteru apokaliptycznego ludzi Dostojewskiego, żyją niby jedną prawdą życia, nie są do tego stopnia, co ludzie Dostojewskiego, udręczeni „dwierema myślami, z którymi dłużej żyć niepodobna“. A jednakże z poza nich wygląda dusza ludzka, udręczona nieskończenie właśnie temi „dwierema myślami“, żyjąca wciąż niemi.

Tołstoj widzi również w jednostce największą wartość świata, coś, z czem nic innego mierzyć się nie może. Swojem potężnem poczuciem życia ukochał on, od początku twórczości swojej, całkowitą, zupełną indywidualność ludzką. W powieści „Kozacy“, wydanej 1852 roku, stwarza postać „wujka“ Jeroszki, który powiada: „Wszystko Bóg stworzył ku radości ludzkiej; wszystko jest wolne od grzechu“. Mamy więc „Królestwo Boże“ na ziemi, na zewnątrz nas. Mamy „jedną myśl“, jedyną prawdę. Ale już w „Wojnie i pokoju“ wszystko to, co Bóg stworzył ku radości człowieka, i sama radość jego — przyćmiewa się i zasłania tem, co Bóg stworzył ku pogwałceniu człowieka: obawą śmierci, obrazem niebytu. Więc mamy „dwie myśli“ — dwie prawdy, z którymi żyć nie sposób, albo jeśli się żyje, to bardzo

nieosobliwie, lub zupełnie „po mieszczańsku“, jak np. Lewin z „Anny Kareniny“, który stara się kojarzyć sprzeczności w taki sposób, żeby wilk był syty i koza cała.

Żal świata i jego radości! nie pozwala nią rozkoszować się straszne widmo śmierci,—trzeba coś radzić. I oto Pierre Bezuchij z „Wojny i pokoju“ już znajduje radę. „Pierre spojrzał na niebo, w głębinę oddalających się, migoczących gwiazd. Wszystko to moje, i wszystko to jest we mnie, i wszystkiem tem jestem ja“ — rozmyślał. Pierre nauczył się widzieć wszystko, co jest wielkie, wieczne i nieskończone, poczuł, że wszystko jest w nim. A więc „Królestwo Boże“ jest w nas, wewnątrz. Znowu mamy „jedną myśl“ — jedną prawdę. Zdawałoby się, że już teraz ma się jakąś realną podstawę dla jednostki ludzkiej, dla stwierdzenia jej niezależności. Okazuje się jednak, że takiej podstawy ona mieć nie może. Jednostka nie może być swobodną, gdyż, podług Tołstoja, jest ona poddana zupełnie woli Opatrzności, która z góry nakreśla przebieg zdarzeń wszechświatowych. W fatalizmie dziejowym, uznanym przez Tołstoja w „Wojnie i pokoju“ i t. d., ginie swoboda jednostki ludzkiej. Tołstoj protestuje często przeciwko owemu fatalizmowi, poszukuje wciąż swobody jednostki ludzkiej wewnątrz niej, ale to go stale kłóci z tem wszystkiem, co Bóg stworzył „ku radości człowieka“.

Jednostka ludzka wewnątrz siebie ma wszystko, wszystko może, wszystko powinna, na zewnątrz nic nie ma, nic nie może, nic nie powinna. Nic nie ma, gdyż wszystko na zewnątrz jest oszukaństwem, kłamstwem, nędzą i znikomością; nic nie może, gdyż wszędzie tam, gdzie się ona rusza, poddana jest niezmiennym prawom historycznym; nic nie powinna, gdyż wszelkie działanie na zewnątrz pociąga za sobą zwiększenie zła w rzeczywistości, nie należy więc sprzeciwiać się złemu gwałtem.

Ale bądź co bądź, jednostka wewnątrz jest wolna i wszystko może, więc chociaż niebędzie sprzeciwiała się złemu, jednakże wszystko się ułoży: ludzie jakoś tak się porozumieją wewnętrznie, na drodze jakiegoś *tacitus consensus*, że odrazu i jednomyślnie dojdą do upragnionej harmonii.

Oto mniej więcej jest ta sieć, w której wciąż się płacze myśl Tołstoja. Praktyczne tego wyniki są znane. Nauka, sztuka, piękno, wreszcie życie samo — są nonsensem, gdyż wszystko to nie odpowiada na pytanie: jak żyć prawdziwie, zgodnie z prawdą bożą? U nas, nie wiem dlaczego, pomija



się tę płataninę myślową wielkiego pisarza, jakby w obawie, żeby w ten sposób nie pokrzywdzić jego ducha. U nas powiada się wprost: Jest Tolstoj mistrzem życia i miłości, on kocha życie, prawdę, sprawiedliwość i t. d.,—i w ten sposób przecina się dyskusję nad tem wszystkim.

Mam najgłębszą cześć dla tytana myśli i życia, jakim jest Tolstoj, uwielbiam jego artyzm niezrównany, jego namiętne ukochanie sprawiedliwości i głębokie oburzenie na wszelkie nieprawości świata. Jego udręczenie, jak i męka Dostojewskiego, wzruszają mnie szczerze, ich dążenie do wyjścia z ciemności na światło budzi podziw. Ich etyzm jest w istocie czemś wspaniałem, ale to wszystko uznać—nie znaczy jeszcze przejść do porządku dziennego nad wszystkim, co w ich mistrzostwie „życia i miłości” jest wyłącznie negacją, stwarzającą człowiekowi położenie bez wyjścia. Tyle razy już o tem mówiłem i w niniejszej pracy podkreślałem, że nie widzę tu potrzeby dłużej nad tem się zastanawiać. Przypatrzam natomiast opinię dwóch wytrawnych krytyków rosyjskich, którzy przejęci są rzetelnem uwielbieniem dla Tolstoja.

Oto zdanie Sołowjowa-Andrejewicza, znanego krytyka i badacza rozwoju myśli rosyjskiej: „Poddając się przedewszystkiem uczuciu, Tolstoj nienawidzi wszystkiego, co stało się dobrem uprzywilejowanych, co im pomaga do utrwalenia swojej władzy nad innymi, nad ogromną, niezliczoną masą niewolników. On gromi naukę, technikę, sztukę, wszystko co jest wyrafinowane, oświecone, wszystko, czem się wypełnia życie próżniacze; on stwarza swoje państwo *jurodiwych*—świętych prostaków, widzi w cywilizacji źródło wszelkiego złego i niewoli, wszystkie zaś zagadnienia życia społecznego podporządkowuje głosowi sumienia. Jest on zupełnie pozbawiony juredycznej i politycznej świadomości, rządzi nim marzenie naczelne—kierujące wszystkim—o wspólnem życiu ludzi, spojenem tylko miłością, wzajemnem zaufaniem, nigdy zaś—umową. Posiada on żądzę pokutniczą wejścia w masę ludu, żądzę roztopienia namiętnych i samowolnych porywów życia osobistego—w jej życiu, całkowitego zniweczenia swego dumnego, zaufanego w siebie „ja” i oddania całego siebie we władzę żywiołu; i z tem wszystkim posiada on taką samą żywiołową świadomość, jak naród rosyjski, świadomość negującą moc oddzielnego „ja” i nawet jego prawo do egzystencji”. (Patrz „Zarysy” Sołowjowa-Andrejewicza.)

Inny badacz ewolucji umysłowości rosyjskiej, autor kapitalnej pracy „Historia rosyjskiej myśli społecz-

nej“, Iwanow-Razumnik, w ten sposób streszcza swój pogląd na Tolstoja: „Silna i jaskrawa indywidualność, mocą swą podbijająca wszystko, co ją otacza; przenikliwy, analityczny rozum, rozcinający wszelkie więzy, krępujące jednostkę—i jednocześnie zupełna niemoc w syntetyzowaniu swoich poglądów, dania oswobodzonej jednostce realnej podstawy. Stąd zupełny chaos, brak systematyzacji, sprzeczność w poglądach na jednostkę, beznadziejna płatanina indywidualizmu i antyindywidualizmu“ (patrz str. 238 tomu 2-go). Oto jak się zapatrują ludzie nieuprzedzeni, umiejący wielbić, ale zdolni do zdawania sobie jasno sprawy z beznadziejnych sprzeczności, tkwiących w nauce mistrzów. A u nas wciąż będą powtarzane komunały, jak ci mistrzowie kochają życie, jak namiętnie są oddani ludziom, miłości i t. d. Kochają bardzo—to pewna! ale tak kochają, że aż dochodzą z tą swoją miłością do otchłani niebytu, aż duszą to życie ukochane w gmatwaniu sprzeczności. Oni się trwożą o świat i człowieka—i tą trwożą swoją unicestwiają nieraz i jedno, i drugie. Próżną więc jest rzeczą mówić o ich radości osobliwej z powodu świata i człowieka. Jakaż może być radość istotna tam, gdzie nie ma jedności między człowiekiem a kosmosem? A mistrzowie chcą wprawdzie osiągnąć tę jedność, a przecież wciąż wykrywają dualizm. Z dualizmem zaś w parze idzie płacz i zgrzytanie zębów, giną złudzenia rozkoszy i radości. Mistrzowie czują całem swem jestestwem, że w świecie i człowieku toczy się odwieczna walka sprzecznych żywiołów, czują we wszystkim „demonizm“ i „świętość“ w nieustannem kombinowaniu się z sobą — i w bezpośrednim odtwarzaniu tych zmieszanych pierwiastków spoczywa potęga ich twórczości. Ale myśl ich, zmysł ich etyczny nie może się pogodzić z owym dualizmem, zaczynają więc stwarzać jedność, a przecież dualizm wciąż pozostaje, i wytwarza się tylko jednostronność, byt bowiem całkowity rozdziela się na dwie nieprzejednane istoty: z jednej strony staje swobodne i bezkresne „ja“ metafizyczne, z drugiej—subiektywne, zwierzęce i niewolnicze „ja“ człowieka. W tem tkwi nieprzewyciężona słabość nauki mistrzów, stąd błędy ich wyznawców, którzy myśl ich wulgaryzowali w życiu praktycznem.

Ci, którzy po Dostojewskim i Tolstoju zaczęli w Rosyi przemawiać do sumienia i wyobraźni czytelników, nic oryginalnego nie dorzucają do myśli swoich wielkich poprzedników. Najbardziej słuchani pisarze ostatnich czasów: Gorkij i Andrejew, pójdą drogami, utartymi przez tamtych. Gorkij potra-

fi, skoro mu wypadnie, snuć myśli Dostojewskiego i Tołstoja, zastępując ich głębię brawurą własnego temperamentu, gwałtownością i zniecierpliwieniem uczuć, wyzywającą, t. zw. „dumną” postawą. On czuje brak mocy w życiu współczesnem, czuje brak bodźców niezbędnych do wskrzeszenia ducha. „Gniew, nienawiść, męstwo, wstyd, odraza i w końcu zła rozpacz — powiada Gorkij, — oto dźwignie, zapomocą których można zburzyć wszystko na ziemi... Cóż jednak możecie zrobić dla obudzenia w nim żądz życia (chodzi tu o twórców i czytelników), kiedy wy tylko umiecie jęczeć, stękać, albo obojętnie przedstawiać jego rozkład”. (Patrz utwór p. t. „Czytelnik”). Odczuwa Gorkij nadmiar negatywnych pierwiastków w twórczości a brak pozytywnych, sam jednak umie się zdobyć tylko na mówienie o niepokoju i wzburzeniu ducha, oraz o konieczności jego wskrzeszenia. Zresztą głównie nadrabia miną, — rwie się, rozpędza, unosi się wśród błyskawic i grzmotów, stwarzając wciąż nastrój grozy, atmosferę taką, jak podczas trzęsienia ziemi.

Andrejew idzie śladami Dostojewskiego, pozbawiony jednak jego rojeń o „bogocześniku”; jest głębszy od Gorkiego, wciąż zaprzątnięty tematami ogólnoludzkimi, które wszelako coraz zacieśnia, coraz zewnętrzniej ujmuje, kreśląc monotonnie fatalistyczny, nieubłagany krąg przeznaczeń ludzkich. Ten miną wcale nie nadrabia.

Literatura wieszcząca uwstecznia się, przestaje właściwie wieszczyć. „Człowiek surowy i kochający, o płomiennem sercu i wszystko obejmującym rozumie”, którego wyczekuje „czytelnik” Gorkiego, — nie zjawia się; uderzenia dzwonu, przerywające milczenie, rozlegają się właściwie gdzieindziej: w obozie krytyków i myślicieli religijnych, wśród filozofów społecznych. Rzeczy stoją po dawnemu. Dostojewski proponuje indywidualizm wewnętrzny czynny, Tołstoj — indywidualizm wewnętrzny bierny, Gorkij — indywidualizm napastniczy, „śmiały i dumny”, a jak teraz — np. w utworze „Spowiedź” — mniej dumny i śmiały, za co urągają mu marksiści i zarzucają „mieszcząństwo”; Andrejew — trochę jak Dostojewski, zresztą mniema, że wszelki indywidualizm psuje człowiekowi „Ktoś Szary”, który czyha na niezależność jednostki już od kolebki.

A poza tymi wszelkimi indywidualizmami, przekrada się dość bezczelnie bardzo swojski indywidualizm, uosobiony choćby w postaci Sanina z powieści Arcybaszewa pod tymże tytułem, indywidualizm poszukujący jedności życia w wyuzda-

niu zmysłów i bezwstydnem machnięciu ręką na wszelkie ideały, na wszelkie sposoby—bądźto bogoburcze, bądź bogolubne—wyzwalania jednostki ludzkiej.

A gdy przyglądamy się tym rozmaitym indywidualizmom i uświadamiamy sobie wszystkie zawody, upadki, niemoce i rozdwójnia, na które narażają jednostkę ludzką, stęsknioną do siły i jedności, mimowoli wzrok nasz zwraca się ku tego rodzaju przedstawicielom indywidualizmu rosyjskiego z epoki ubiegłej, którzy nic wspólnego nie mieli ani z „człowiekobogiem“, ani z „bogoczłowiekiem“. Znajdujemy ich wśród surowych, ścisłych, gburowatych i ograniczonych pozytywistów siódmego lat dziesiątka. Oto jak wygląda ich indywidualizm, ich ideologia: „Bądź uczciwym, to znaczy wyrachowanym, nie przerachowuj się w rachunku, pamiętaj o sumie, pamiętaj, że jest ona większa od swojej części, to jest, że twoja ludzka natura jest dla ciebie silniejsza, ważniejsza, niż każda twoja oddzielna dążność, dawaj więc tej naturze pierwszeństwo przed każdą swoją poszczególną dążnością, jeśli między nimi zachodzi sprzeczność. Tyle tylko — i to się nazywa po prostu: być uczciwym — i wszystko będzie doskonale“. (Patrz słynną powieść Czernyszewskiego: „Co robić“?, str. 160, wydanie 1906 r.) Oto jak prosto osiągnęli jedność życia „nowi ludzie“ owych czasów. I to byli podówczas odrodziciele życia, wskrzesiciele ducha, ludzie „surowi i kochający, o płomieniem sercu i wszechobejmującym rozumie“, którzy przerywali haniebne milczenie słowami wieszczmi, jak uderzenia dzwo-  
nu, od których wstrząsały się nędzne dusze żywych trupów.

Czernyszewski był nawet zdania, że do tego typu odrodzicieli zwrócą się kiedyś ludzie z błagalnym okrzykiem: „Ratujcie nas!“ (Tamże, str. 133.) Obecnie nadeszły takie czasy, kiedy ludzie zwracają się na wszystkie strony ze słowami błagania o pomoc, o ratunek. Czyżby przepowiednia Czernyszewskiego mogła się sprawdzić w naszych czasach? czyżby „nowi ludzie“ epoki autora „Co robić?“ mogli zadośćuczynić wołaniom dusz współczesnych, wesprzeć wykołejone „ja“ ludzkie w jego dążeniu do wyzwolenia? O tem dzisiaj marzyć niepodobna. Ci ściśli rachmistrze życia, których wydała epoka Czernyszewskiego, Pisarewa i t. p., już w swoim czasie wykazali całą swoją nieudolność, gdy chodziło o rozstrzyganie zawiłych zagadnień świata i człowieka, o stworzenie absolutnych wartości „ja“ ludzkiego. Dla nich wszystko było jasne i pewne w stosunku jednostki do całości, człowieka do kosmosu; oni nie znali tajemnic, wszyst-

ko obejmowali swoim rozumem, gdyż niewiele mieli do objęcia, wymierzali wszystko i obliczali z góry, bo zajęci byli przede wszystkim rzeczami względnymi, ograniczonymi, skończonymi, nie doznając tęsknoty do tego, co jest absolutne, bezkresne i nieskończone. Oni nie borykali się z przeznaczeniem, z siłami przechodzącymi siłę atomu ludzkiego, nie stykali się z tem, co nieobjęte i niedościgłe, wierzyli w siły własne, bo trzymali się tego, co możliwe, dostępne zmysłom, dające się zorganizować, wydobyć z chaosu, zapomocą myśli i woli wcale nie nadludzkiej: „Wyłaźcie z nor waszych, przyjaciele — mówili, — wstawajcie, to nie tak trudno, wychodźcie na wolny, jasny świat, pięknie się żyje na nim, droga lekka i nęcąca, spróbujcie: rozwój, rozwój... Obserwujcie życie — jest to rzecz ciekawa; rozmyślajcie — myślenie jest ponętne. Oto wszystko“... („Co robić?“, str. 212.) Oto wszystko! Niewiele: rozwój, myślenie, przekonanie, że można być szczęśliwym na „jasnym“ świecie, że na to nie trzeba zbyt wielu ofiar i wyrzeczeń się. Rozkosz myślenia i rozwijania się wystarcza do szczęścia, łatwo i prosto osiąga się szczęśliwość, jednostka wyzwala się bez większych ofiar, przepaści przed sobą i za sobą nie widzi, odpędza od siebie wszelkie pokusy absolutu, zasłania pewnością swojej myśli wszelką tajemnicę, nie udręcza się tem, co nieprzeniknione — i wciąż myśli, i wciąż się rozwija, i wciąż jest zadowolona z siebie, ze swego stosunku do całości bytu...

Wiemy, do czego doprowadziły w Rosyi i gdzieindziej, do czego teraz jeszcze doprowadzają podobnie pewne sposoby osiągania szczęśliwości na ziemi... Myśl prędko dochodzi do nieprzebytej ściany i jeśli wobec niej po staremu wciąż się ćwiczy i „rozwija“, to kręci się na jednym miejscu w ramach wszelkich możliwości, przestaje być twórczą, rozwój i postęp zastępuje doktryną „wszechobejmującą“; zamiast rozkoszować się życiem pociągającym, bujnym, pełnym, rozkoszuje się jego surogatami, chybionymi wytworami zatechłego i ograniczonego ducha. Życie i myśl stają się czemś w istocie „mieszczańskim“, bezdusznym i bezindywidualnym. Już nieraz przekonywała się inteligencja rosyjska, że tego rodzaju sposoby wyzwalań jednostki ludzkiej, z jakimi występowała niechęć się „przerachowywać“ krytyczna myśl rosyjska, że ściśle i ograniczone sposoby *à la Bazarow* i t. p. (wszystkie prądy myśli, poczynając od płytkiego realizmu Pisarewa i in., kończąc na marksizmie) — narażały jednostkę ludzką na powstrzymanie jej rozwoju, zacieśnienie horyzontu

myśli i opustoszenie duszy, na zabicie życia i twórczości doktryną grubą i ciężką, uciskającą swobodę ludzkiego „ja”. Stąd więc ratunku spodziewać [się nie można, w naukach indywidualistów tego typu nie znajdzie jednostka ludzka, wykolejona na drogach „człowiekoboga” i „bogoczłowieka”, takiego całokształtu myśli i poglądów, któryby jej dawał rękojmię odrodzenia. Atoli jest coś w tem wszystkim, co mogłoby tu odegrać rolę dobroczynną: jest odwaga wobec życia, bez której nie można się kusić o ustalenie jedności między człowiekiem a światem, jest nawet gruby zarys tej jedności, wyrażony w myśli, że ludzka natura jest silniejsza i ważniejsza, niż każda oddzielnie wzięta jej dążność“.

Tego rodzaju usposobieniem i myślą podobną zaczynają w Rosyi współczesnej coraz wyraźniej się przejmować szerokie sfery inteligencji, które nie mogą dalej znosić tradycyjnego dualizmu i uświadamiają sobie należycie całą jałowość i okrucieństwo męczarni, płynących z podziału bytu na wolne „ja” metafizyczne i subiektywne niewolnicze „ja” człowieka. To zapowiada zmianę pojęć o indywidualizmie i zmianę sposobów wyzwalań „ja” ludzkiego. A czas już wielki!...

---

## PROGRAM SZYMONA KONARSKIEGO.

---

Ogłaszamy po raz pierwszy drukiem program działań narodowych, skreślony ręką Szymona Konarskiego, podczas wyprawy jego w charakterze emisariusza na Podole w r. 1838. Ciekawy ten dokument historyczny rzuca nowe światło na ówczesną działalność spiskową, świadczy bowiem, jak szerokie miejsce wyznaczał propagator „Stowarzyszenia Ludu Polskiego” pracom na polu kulturalnem, narodowo-wychowawczem i obyczajowem. Dokument ów przechował się w butelce, zakopanej w ziemi na gruntach folwarku wsi Werbka na Podolu, niegdyś własności rodziny Michalskich, która tak ważną w życiu Konarskiego odegrała rolę. Po latach kilkunastu butelka została przypadkowo wyorana, rękopis zaś przechowywany odtąd w rodzinie Michalskich, a w roku 1903 złożony przez Emilię Michalską, niegdyś narzeczoną Konarskiego, w Muzeum Narodowem w Rapperswilu. Autograf nie nosi ani tytułu, ani daty.

---

Przedmiotem działań naszych być powinno: 1) Narodowość utrzymać, 2) Ducha poświęcenia obudzić, 3) Oświatę rozkrzewiać, 4) Obyczaje poprawić, 5) Lud rolniczy na synów ojczyzny sposobić, 6) Opinie fałszywe prostować.

### 1. NARODOWOŚĆ UTRZYMAĆ.

Religia, język, zwyczaje, wspomnienia narodowe są jedynym składem narodowości, jedynym źródłem uczuć miłości ojczyzny, przejęci zatem czystą religią Chrystusa na Ewangelię opartą, jako religią ojców naszych, cześć jej należną w drugich obudzajmy okazywaniem świętości ich zasad, odrzucaniem przesądów przez interes i fanatyzm obudzonych i wprowadzonych, potępieniem rozszerzonego przez fałszywych mędrków niedowiarstwa i dawaniem z siebie przykładu.



du szczerzej pobożności i miłości bliźniego. Dla upowszechnienia i udoskonalenia języka polskiego, nakłaniajmy rodziców, aby dzieci swe w nim ćwiczyli, uczonych—aby go w pismach swych wyrabiali, kobiety—aby go po domach i towarzystwach swych używały. Aby duch narodowy w młode pokolenia zaszczepić, niech matka dzieci swe od kolebki nim napawa, niech je utuli pieśń narodowa i płacz ich koi opowiadanie wielkich czynów i szczęścia przodków naszych, niech każda matka, skoro tylko imię jej wymawia, wkłada w usta jego słodkie Polski nazwisko; skoro zgłoski składać poczyną, rozpoznawać obrazki, niech wyczytuje imiona Piasta, Bolesława, Kazimierza, Chodkiewicza, Sobieskiego, Kościuszki, niech na ich polskie pogląda twarze, niech oko jego polubi wieśniaczą odzież Piasta, sarmackie lice Chrobrego, zwycięskie czoło Sobieskiego, skromną czamarę Kościuszki. Niechaj obrazek kmiotka naszego z kosą, z którą i plon zbiera i wroga bić idzie, będzie najulubieńszą jego zabawką, jak tylko pamięci użyć zdoła niechaj powtarza: *Święta miłości kochanej Ojczyzny*. Jak tylko głosu dobyć potrafi, niech go zaprawia na naszych śpiewkach, jak tylko pojmować zdoła, niech mu ojciec opowiada powieści o Pradze i Oszmianie, niech go przeraża dziejami męczeńskimi narodu naszego, niech go wcześniej prowadzi na miejsce pamiątek naszych, by młodociane serce czuć je przyuczało się. Zachowajmy święcie w sercach, w pamięci i w domach naszych narodowe wspomnienia, zabytki i uroczystości i do ich zachowania drugich zachęcajmy. Niech nas zachwycają, uczą i dumą szlachetną przejmują obrazy Rejtana, Kościuszki, Dąbrowskiego i tylu innych wielkich mężów naszych.

Niech wstydem będzie nie znać ich dziejów, a celem żądz najwyższej wyrównać im, uczmy się sami i uczmy innych dziejów narodu naszego, niech każdy pozna jego wielkość, przygody i przyczyny nieszczęść, w zwyczajach domowych, w stroju, nawet i w muzyce narodowość naszą zachowajmy. Niechaj kobiety ożywiają serca nasze nutą narodowych pieśni. Niechaj nam grają polskie tańce, które i słuch i dusze mile zachwycają. Gdy teatr narodowy jest najwerniejszym i niejako żyjącym obrazem obyczajów i ducha ojców naszych, wspieranie go niech będzie także przedmiotem usiłowań naszych, w tym celu należy się porozumiewać z naczelnikami teatrów, lub artystami godnymi zaufania, i zbierane na ten cel składki im wręczać z warunkiem, aby kilka razy przynajmniej do roku sztuki narodowością tchnące, a ja-



kie im wskazane będą, przedstawiali; nie dopuszczajmy naśladownictwa cudzoziemszczyzny, a gdzie się wkrada, niszczy ją i wyśmiewajmy. Stare cnoty Polaków, miłość ojczyzny i wolności, prawość, otwartość, szlachetność, gościnność i tym podobne, utrzymujmy i rozkrzewiajmy, a wady, jakie były, rozszerzeniem światła poprawiajmy i niszczeniem przesądów wytępiajmy.

## 2. DUCHA POŚWIĘCENIA SIĘ OBUDZAĆ.

Taki jest los obecny ludzkości i Ojczyzny naszej, że sprawa ich wymaga poświęcenia się bez granic i krwawych ofiar; nie trwożmy się tem, iż wrogi i błędy nasze po tylekroć nam broń wytrącili, iż się ciemieży srodze pastwią nad nami, wzbudźmy raczej w sobie i w braciach naszych to przekonanie, że naród nasz przeznaczony jest na wybawienie z mąk rodu ludzkiego i ciężkiej niewoli. Nie lękajmy się zaguby naszej przez nieustanne ofiary, bo tem to właśnie niemylny znak życia dajemy, bo nie męczeństwem, ale otrętwiałością i upadkiem ducha zamierają narody. Naśladujmy przykłady męczenników wiary i bądźmy gotowi zawsze, jak oni byli, pokonywać najcięższe przeciwności, czynić z siebie wszelkie poświęcenia i najsroższe przetrwać katusze dla sprawy wolności, a krew wylana pomnoży mścicieli i obrońców, a prace i cierpienia nasze nie będą daremne. Idźmy za wielkimi przodków przykładami i drugich do nich zagrzewajmy. Niech duch narodu, który tylekroć na zagładę wymierzone ciosy i śmierć polityczną przeżył, obecnie się wzmaga i w przyszłe przeleje pokolenie. Wrażajmy to czucie, iż dla dokonania zbawienia rodu ludzkiego, dla tak szczęśliwej przyszłości, która ogół czeka, niczem są największe ofiary. Ale nie tylko życie, majątki nasze, ale i prawa historyczne, usługi, przywileje, przesady i namiętności, nawet drogie sercu uczucie, wszystko poświęcić mamy dla dobra ludzkości i ojczyzny. Niech każdy chętnie swoje oddaje bliźniemu, niech się wyrzeka wszystkiego, co jest przeciwne prawu natury, a następnie szczęściu drugich, niech śmierć za wolność i ojczyznę za najpiękniejszy kres życia uważa. Ożywiajmy serca ziomków męstwem, ukrzepiajmy wytrwałością, przejmujmy wiarą w blizkie odrodzenie nasze; odrywajmy się od materializmu, miejmy za niegodne nas bogactwa, zbytki, mniemane znaczenia, powierzchowne wystawy i osobiste widoki. Wznośmy się nad nie i żyjmy w przyszłości, cierpiąc dziś

odważnie, bo wyższe jest dziś przeznaczenie nasze.

Podniesienie ducha chrześcijańskiego, stawianie przykładów z tych ludzi, którzy nie wahali się dla dobrej sprawy ponieść wszystko, uczucie w sobie powinności poświęcenia siebie z pogardą wszystkiego, co jest niższem od celu, jaki nas zajmuje, i w tym duchu działanie i przemawianie obudzi niemylnie też uczucia w drugich. A gdy duch taki wszystkich ogarnie serca, gdy każdy z nas z wiarą i ufnością w świętość sprawy gotów będzie poświęcać wszystko i umrzeć, nic się nam oprzeć nie zdoła i cel nasz osiągniemy.

### 3. OŚWIATĘ ROZKRZEWIAĆ.

Do wyjarzmienia i uszczęśliwienia rodu ludzkiego, do zbawienia ojczyzny naszej potrzeba nam oświaty obywatelskiej; poznać ją, ocenić, odróżnić od salonowego poloru i szkolnictwa, rozszerzać i pielęgnować w narodzie jest naszą powinnością. W tym celu należy mieć pilną baczość na wychowanie młodzieży. Wskazujemy więc rodzicom całą ważność ich obowiązków, niech od kolebki wrażają w dzieci uczucie miłości ludzkiej i ojczyzny. Niech w nie wpajają prawdy wiary i moralności. Niech dzieci przejmują się zgrozą na każdy czyn fałszu, podstęp, przemocy i przewrotności. Niech w nich wzbudzają szacunek dla włościń, oddalają starannie wszelkie uprzedzenia wyższości, wszelkie zysków i interesowości widoki. Niech od dzieciństwa uczą się przestawać na małym, niech im nie dają przykładów zbytku i rozrzutności. Niech ich odwodzą od samochwalstwa i zarozumiałości, a zaszczipiają przyzwoitą skromność. Niech ich od gnuśnego strzegą życia i miękkości, a do sił fizycznych ćwiczenia, do niewygód, trudów i niedostatku przyzwyczajają. Słowem, tak wychowują, aby *religia, moralność i miłość ojczyzny stały się żywiołem ich duszy i serca*. Dla dzielniejszego wpływu na oświecenie młodzi, należy zabierać z nią przyjacielskie stosunki, poufałość, baczyć na jej postępowanie, nie dozwalając jej *łączyć się w towarzystwa rozpustą, arystokracją lub samolubstwem zarażone*. Wskazywać powab życia pocziwego i pracowitego, działać na jej serce i wyobraźnię przykładem i słowem, dawać poznać, na czem istotne dobro ludzi zależy, uczyć praw i obowiązków człowieka i że prawdziwa jego sława zależy na dopełnieniu cnoty. *Dzieci ubogich rodziców* bierzmy w miarę możności na wychowanie, a kształcąc ich umysł serce, sposobmy przyszłych synów ojczyzny. Starajmy się,

aby talenta ludzi światłych korzystnie użyte zostały i dopomagajmy, aby ci, zajmując ważniejsze stanowiska, więcej pozytywnego wywierać mogli wpływu. Po szkołach zawierajmy stosunki z nauczycielami, oświecajmy ich przez częste z nimi rozmowy i inne trafne sposoby i nakłaniajmy ich, aby przedmioty swe wyjaśniali w języku polskim, chociaż zmuszeni są wyklądać je dziś w językach obcych. Ludzi zdatnych zachęcajmy do zaprowadzenia prywatnych naukowych zakładów, do zajmowania się domowem dzieci wychowaniem, do wygrzebywania, opisywania i ogłaszania pamiątek i innych przedmiotów narodowych. Sprowadzajmy dzieła, mogące rozwinąć władze umysłowe, zaszczepić zasady wolności lub je przygotować, skłaniajmy do robienia składek na zakupienie dzieł takich, do zakładania prywatnych i publicznych księgozbiorów.

Obudzajmy smak do nauk pożytecznych, do czytania książek i drugim udzielania. Młodzian tym sposobem wychowany, ugruntowany w miłości kraju i swobód, obeznany z dziejami ojczyzny, przejęty zasadami czystej wiary, uczuciem cnoty, zamiłowany w prawdzie, poznawszy istotną godność i wartość człowieka, z pogardą poglądać będzie na zepsucie z potworności, ujrzy ją niezgodną z swym sercem i myślami, uczuje tęsknotę do lepszego bytu i zapragnie być użytecznym ludziom, a przeszłość Polski z dumą i łzami wspominając, świetną jej przyszłość w swem sercu przeczuje.

#### 4. OBYCZAJE POPRAWIAĆ.

Trudność w wyborze powołania, któremu bez ubliżenia sumieniu oddać się można, wstręt do zajęcia umysłowego i wszelkiej innej pracy, rodzą czczość życia, spadlają umysł człowieka i główną wadę jego stanowią przyczynę. Próżniak i nieoświecony puszcza się na rozpustę i złe wszelkiego rodzaju, a coraz bardziej oddalając się od życia moralnego i czynnego, wpada w otętwiałość, z której już go trudno obudzić, szlachetne czucia już nie ożywiają jego duszy, umysł nikczemnieje, a zepsucie, szeroko w kraju naszym rozszerzone, łatwo go ogarnia. Próżność, chęć błyszczenia i popisu, ubieganie się za tytułami, wystawność i dziwactwa mody, polor salonowego wychowania, ślepe naśladownictwo urojeń wyższego tonu, nikczemne nadskakiwanie mniemanym wyższemu a pomiatanie niższymi, nałóg gry i pijaństwa, zbytek wszel-

kiego rodzaju, życie nad miarę swego stanu, obojętność w sprawie ogólnego dobra a zakopanie się w osobistym, chciwość martwych zbiorów, lichwiarskie rachuby strat i zysków, tak w sprawie wolności, jak i w innych dobrych celach, wszelkie pieniactwa i intrygi, targanie się na cudzą sławę, spokojność i majątek, przekupstwo i stronność urzędnika z zwykłą ubogiego krzywdą, gorszące postępowanie w domowym życiu, nieludzkie i despotyczne władanie włościanami i t. p. Oto są wady i występki prawie powszechne. Gdy zaś one pochodzą z ciemnoty i próżniactwa, złych przykładów i oddania się materjalizmowi, wykorzeniać je będziemy szerząc oświatę, zachęcając do pracy, odwodząc od złych towarzystw i wznosząc myśl człowieka do poznania ważności jego powołania i przeznaczenia, wskazywanie wyższych celów, do jakich ludzie dążą.

Poprawę obyczajów urządza dobry przykład, więc każdy z nas święcie obowiązany jest poznać swe wady, oczyścić się z nich, siebie prowadzić i dom swój urządzić wszędzie podług zasad cnoty, skromności i moralności, powinien jednać sobie zaufanie, wchodzić we wszystkie towarzystwa, wszędzie stosowną zachowując powagę i przystępność, zniewalać serca młodzieży i własnym przykładem robić reformę obyczajów. Wrażajmy młodzieży znikające coraz bardziej z serc ludzkich czucie uczciwości, sumienności, surowej cnoty, sprawiedliwości, miłości dobra powszechnego, odwagi, mocy duszy, słowności, jedności, tych najpewniejszych posad szczęścia naszego, stawiać uderzającą z niemi sprzeczność krzewiących się występków, nikczemności, pozornego blasku, dumy i zacierającego duszę samolubstwa, ostrzegajmy się, że ciemiężcy nasi dla utrzymania niewoli szerzą między nami zepsucie, że każdy, miłością ojczyzny przejęty i jej wyjarzmięcia pragnący, z tych wad otrząść się zechce i stronić od nich powinien. Z tymi, na których działać mamy, postępujemy przyjacielsko, łagodnie, lecz obok tego nie upoważniajmy pobłażaniem przywar, a na uporczywych i od poprawy dalekich powstawajmy jawnie i śmiało. Czego zaś nie poprawimy mocą przekonania, namową i innemi skutecznemi środkami, wyszydźmy i wzgardą okryjmy.

##### 5. LUD ROLNICZY NA SYNÓW OJCZYZNY SPOSOBIĆ.

Sposobić lud rolniczy na przyszłych obrońców ojczyzny i prawych obywateli jest najwyższem usiłowaniem naszym,

zamiary bowiem nasze łatwo się spełnić dadzą, kiedy masa ludu do tego usposobiona będzie, iż uznawszy godność własną, wyrzecze się niewoli i przemocy, zamiłuje panowanie prawa i cnoty. W kraju naszym, rolniczym z natury ziemi, włościanin stanowi główną siłę narodu, zbliżmy się więc sercem i umysłem do tej poniżonej, a najszacowniejszej i najliczniejszej jego części, na której ciążyą wszystkie nasze i kraju potrzeby, a trafnie skierowaną do pojęcia rolnika rozmową wrażajmy mu przekonanie, jakim sami tchniemy, dowódźmy mu słowy i rzeczą, że widzimy w nim równego nam człowieka, brata, syna przyszłej ojczyzny, że do wspólnego i najwyższego dążymy na ziemi, do wspólnej nam wolności. Przekonywajmy go, żeśmy na wieczną skazali niepamięć i obrzydzenie przesady, które rolnika haniebnem piętnem niewoli, a tego, którego się panem jego mienił, znamieniem dzikiej dumy oznaczały, że uznając w tem niesprawiedliwość, wyrzekamy się jej i obalić ją pragniemy, i że tylko obecny rząd jedyną stanowi chęciom naszym zawadę. Wskazujmy włościanom mnogie korzyści rządu wolnego, dowódźmy im, że na odzyskaniu ojczyzny szczęście ich polega, że byt ich wtedy polepszonym zostanie przez posiadanie własności gruntowej, przez otwarcie swobodnego handlu, podniesienie przemysłu, zmniejszenie podatków publicznych, znoszenie ich zarówno z innemi mieszkańcami i przez wspólną wszystkim opiekę praw. Sposoby ugruntowania zasad miłości ludzi i dobra powszechnego, sposoby zbliżenia się i przemawiania do ludu znajdzie z nas każdy we własnych uczuciach, szczerych chęciach i rozsądku. Świąteczne zebranie się gminu, powszednie roboty, niepoliczone zdarzenia najkrótszej nawet z rolnikiem rozmowy, dostarczą czynnemu umysłowi i gorącemu sercu mnogich sposobów oświecania i naprowadzenia ludu na drogę prawnego rzeczy widzenia, na drogę przecucia szczęśliwej przyszłości. Każdy z nas ma świętą powinność z braterską miłością wchodzić pilnie we wszystkie potrzeby rolnika, biednych wspomagać, chorych leczyć, stroskanych cieszyć, w sprawy ich i stosunki po ojcowsku wglądać, zabawom ich wiejskim towarzyszyć, podłego uniżania się ich przed sobą, jako zabytku barbarzyńskich czasów bałwochwaltwa, nie dozwalać, a w poufałych z niemi rozmowach zaszczerpieć w ich sercu zasady moralne, uczucia szlachetnej ambicyi, zamiłowanie cnoty, przejmować zgrozą i wzgardą dla zbrodni i czynów ludzkość hańbiących.

Dawanie z siebie przykładu cnót społecznych i domo-

wych, wglądanie w obyczaje i postęпки włościan, nagroda dobrych, a kara moralna złych czynności, łagodne, ale sprawiedliwe z niemi obejście się, polepszenie ich bytu, zmniejszenie powinności, któremi dziś są obarczeni, wzniesie siły moralne tego cierpiącego ludu, powściągnie od występków, okaże nam dążenie nasze do uszczęśliwienia go, zjedna nam ufność i przychylność jego i współnikiem zamiarów naszych uczyni. Niech właściciele starają się jak najusilniej ochronić kmiotków swych od niedostatku i nędzy. Człowiek ciemny, nędzą i nieszczęściem znękany, z krwawej pracy otrzymać, wyciągnąć kawałka chleba w zysku dla siebie i swych dzieci zniechęca się, oddaje się próżniactwu, włóczędze, pijaństwu i na wszystko złe się puszcza. Nędzarz i niewolnik liże nikczemne stopy despotyzmu, które go dumnie i z urąganiem gniotą. Zaprowadzenie zapaśnych magazynów żywności i kasy pożyczalnej dla włościan, urządzenie pewnego rodzaju przemysłu, fabryk, w którychby włościanie mogli mieć korzystne zarobki, obmyślenie pewnych funduszy na spłaty podatków, a mianowicie zmniejszenie i ogólne zrównanie powinności dworskich, oto są środki ulepszenia ich bytu i za-  
możności, których przy rządnem gospodarstwie każdy gospodarz z korzyścią użyć może. Aby uniknąć powodów narażania się włościanom i aby podać wyobrażenie wolnych obrad i nieuległości sądownictwa, oraz nauczyć ich odróżniać prawdę od łgarstwa, dobre od złego, niech wybierają z pomiędzy siebie rozsądniejszych na sędziów, przy których prawo wyrokowania o przestępcach i wymierzanie kar cielesnych, jeśli na to występki zasłuży, zostanie; właściciele zaś tego prawa zupełnie wyrzec się mają. Duchowieństwo wielki ma wpływ na lud rolniczy, zniewalajmy je ku sobie i sposobmy w niem uczestników naszych uczuć i myśli. Duchownym niekatolikom ułatwiamy wychowanie dzieci i prowadzenie gospodarstwa, zaręczajmy im zupełną rządu polskiego tolerancję i opiekę i prawa obywatelstwa. Żydzi w kraju naszym, nie przypuszczeni do posiadania własności gruntowej, a stąd nie w pracy, lecz w szachrajstwie szukający sposobu utrzymania się, przyczyniają się niezmiernie do demoralizacji ludu, są powodem pijaństwa, a z niem kłamstwa i kradzieży, często połączonych; usuwać ich ile możliwości z wiosek naszych należy i wpływu ich na włościan zapobiegać. Wszakże i tej klasy zniechęcać nie powinniśmy, owszem dowódźmy im, że dziś pod despotycznym rządem bogatsi z nich wszelkie korzyści pobierają, a ubożsi dzwigają ciężary; wskazujmy im

zyski z odmianą rządu, udoskonalenie rzemiosł, stworzenie wolnego handlu i uczestnictwo obywatelstwa. Te same korzyści i opiekę prawa zaręczajmy mieszkańcom i innym mieszkańcom tej ziemi. Temi to środkami zdołamy masy ludu oświecać, od zepsucia ochraniać, z przesądów otrząsać, uczucie godności człeka podnieść i na prawdziwych synów wspólnej matki usposobić. Postępujemy podług podanych tu sposobów i do podobnego postępowania drugich nakłaniajmy, wrażając im konieczną tego potrzebę dla szczęścia ogółu i przejmując się ich uczuciem, jakim sami oddychamy.

#### 6. OPINIE FAŁSZYWE PROSTOWAĆ.

Opinie fałszywe, swobodnie po kraju szerzone, wielką stanowią zawadę wyjarzmieniu naszemu, zbijać więc je, a na ich miejsce prawdziwy i czysty sposób widzenia rzeczy wprowadzać, jest powinnością naszą. I tak utrzymujących, że obca tylko pomoc, i to gabinetowa, zbawić nas może, przekonywajmy, że narody nie przez gabinety, ale własną dźwigają się siłą, że gabinety, jako narzędzia królów, zupełnie z narodami sprzeczny interes mających, nic zdziałać ku zbawieniu naszemu nie mogą, a chociaż niekiedy jakiemu z wyjarzmiających się narodów napozór sprzyjają, zaraz jednakże po osiągnięciu w tem własnych swych celów opuszczają go. Wrażajmy to przekonanie, że działania gabinetów, będąc po większej części wypływem intryg, podstępów i oszukaństwa, w żaden sposób dopomódz nie mogą sprawie, której gruntem jest prawda i sprawiedliwość, a celem dobro ogólne i cnota. Że nawet ubliżalibyśmy świętej sprawie naszej, gdybyśmy potrzebę tak niegodnych środków do jej wsparcia uznawali, a gdyby nawet jakim gabinetom wypadało kiedy działać zgodnie z żądaniem naszym, zawsze jednak wewnętrznie tylko usposobienie naszego narodu i współdziałalność jego dobry skutek wydać mogą. Obudzajmy to przekonanie i uczucie, że naród do wolności dążący ufać koniecznie własnym siłom powinien. Dowódźmy z dziejów, że każdy z narodów, dawniej lub obecnie wolnych, nie obcą ale własną siłą tej się dobił wolności. A dla ustalenia tej opinii puszczajmy w obieg historyczne i inne pisma, tej prawdy dowodzące, wskazawszy ziomkom płonność szukania zbawienia po gabinetach, zwróćmy myśli ich do szukania środków w nas samych, przez co podniesiemy siłę moralną narodu i postawimy go w stanie uczucia własnej mocy. Okazujmy, że tylko narody los nasz po-



dzielające są sprzymierzeńcami naszymi, że ich rewolucyjne działania są częścią sprawy naszej, że gdzie walka za wolność, tam walka za nas.

Szkodliwy jest również przesąd w dziele oswobodzenia naszego, polegać na ludziach historycznych imion, bogatych, wielkiej a nie zawsze zasłużonej wziętości, którym na zdolnościach, a często i dobrych chęciach brakuje — albowiem oddzielną w narodzie stanowią kastę, będąc małą jego częścią, w innej żyjąc sferze, nie mogą znać ani potrzeb, ani ducha, ani środków jego. A napojeni fałszywymi wyobrażeniami o swej mniemanej wielkości, obłąkani sprzecznymi z prawem człowieka zasadami, przywykli do uważania innych niższymi, stępieni w czuciach przez wszystko co ich otacza, nie mogą wznieść się nad stan rzeczy obecny i są albo wbrew przeciwni, lub z niechęcią i przymusem przystępują do ducha czasu. Gdyż zwykle nie są z nim obeznani, a do pojęcia go zagrozoną mają sobie drogę przez uprzedzenia i przywiązanie do tytułów i przywilejów. Mogąc się zastawić od ucisku rządów bogactwami, a często ich dary i łaski odbierając, nie czują niewoli. Nie polegajmy więc na tego rodzaju ludziach. Waszyngton, Kościuszko, Wilhelm Tell, prawie wszyscy obrońcy wolności byli ludzie nie bogaci, nie wielkich imion, ale wielkiej duszy; są między nami tacy, co ufni w swą zarozumiałość, działania w sprawie ojczyzny chcą podciągnąć pod swe błędne teorie i pytają swego widzimisię tam, gdzie serca i powinności pytać należy — a tym sposobem płonnym rezonowaniem niweczą zbawienne rady i środki, przez energicznych podawane mężów. Nie pokładajmy ufności w magnatach, w mędrkach, w politykach, dygnitarzach, ale w tych, w których czyny zgodne z sercem, przejętem miłością dobra ogólnego, męstwem i duchem poświęcenia się. Ten albowiem tylko prawdziwie oświeconym jest, kto poznał prawa człowieka, a ten prawdziwie dobrym, kto dla wybawienia ludzi z pod przemocy na wszystko gotów jest. Ukrywają się jeszcze między nami zabytki dawnego francuskiego niedowiarstwa i fałszywe opinie, jakoby bez wiary i Boga sprawie wolności dobrze służyć można, przekonywajmy tych ludzi, że duch dzisiejszej filozofii—to płonne mędrkowanie, a zasady czystej wolności wskazujemy w prawidłach czystej religii. Dowódźmy, że dziś dopiero ludy pewne być mogą pomyślnego dążeń swych skutku, gdy się zwróciły na drogę św. wiary i w niej najpotężniejsze wsparcie sprawiedliwych żądań znajdują. Chociaż dziś despoci używają religii i du-

chowienstwa na utrzymanie przemocy, złe to atoli, przeciwne św. zasadom Chrystusa, w reformie społecznej upaść musi; zbijajmy także zdanie, iż bez królów obejść się nie może, wykrywając klęski, które oni na rodzaj ludzki ściągnęli i zbrodnicze środki, jakich do panowania używają. Rozszerzajmy zasady czystego republikanizmu, dowodząc, że najwyższa władza narodu przy nim samym zostaje i że ta tylko ustawa jest obowiązującym prawem, która z ogólnej woli wypływa, a kiedyśmy dotąd, z pohańbieniem praw natury i zagłuszeniem sumienia, najliczniejszej klasy narodu do praw i używania darów Boga, wspólnych ludziom, nie przypuszczali, dziś błąd ten poznać i dług przez przodków zaciągnięty święcie wypłacić winniśmy. Niegodny i ubliżający naturze jest przesąd dzielenia ludzi na klasy, czyli arystokratów z urodzenia. Okazujmy, ile on klęsk przyniósł narodom, a zasady równości i braterstwa, na wszechwładnem prawie natury oparte, rozkrzewiajmy. Nie masz ani pierwszej, ani ostatniej klasy, nie masz różnicy stanu w obliczu Boga, rozumu, ojczyzny i śmierci. Słowem, zasiewajmy nasiona wolności, usuwajmy wszystko, co jej na zawadzie, a mianowicie postępowaniem dowódźmy, żeśmy pojęli prawdziwą wolność i żeśmy jej godni. Niszczmy przykładem i słowem wszystko, co jest nieprawe, nienaturalne i fałszywe. A opinie z duchem czasu zgodne w serca ziomków wpajajmy. Tym sposobem sprawę wskrzeszenia naszego silnie wesprzemy, a gdy pora nadejdzie, ujrzymy działających skutecznie tych, w których z niewiedomości i krzywego widzenia rzeczy mielibyśmy przeszkodę niepokonaną do rozwinięcia naszej rewolucyi na własnej drodze.

---

## POMORZE PRZEDCHRZEŚCIJAŃSKIE.

(Prof. Dr. Sieniawski: „Die Missionsreisen des Bischofs Otto von Bamberg nach dem Lande der heidnischen Pommern, 1125 und 1127”.)

---

Barwny, żywy, z opowiadań świadków naocznych bezpośrednio spisany obraz życia tak mało znanych Słowian północno-zachodnich z czasów zaprowadzenia wśród nich wiary chrześcijańskiej — stanowi dokument wyjątkowo cenny dla historyków kultury, niezmiernie interesujący dla wszystkich, którym jest droga przeszłość tych naszych współplemieńców — jeżeli nie współrodaków, oderwanych przemocą od pnia narodowego. Łączyła nas z nimi nie tylko jedność plemienna, lecz i tożsamość kultury i języka, może nawet zupełna wspólność warstwy państwowotwórczej. Z rozdrobnionych, jak wszędzie wówczas, księstewek udzielnych — jedną zjednoczyła potężna dłoń piastowska, inne, dalej na zachód wysunięte, rozbite i zwaśnione, stały się kolejno i stopniowo łupem następującej wciąż nawały germańskiej. Losowi temu uległo Pomorze nadodrzańskie wkrótce potem, gdy po śmierci Bolesława Krzywoustego, w okresie podziału Polski na dzielnice, wyzwoliło się z pod jej zwierzchnictwa.

Z okresu poprzedzającego bezpośrednio upadek Pomorza zachodniego, który nastąpił wślad za wprowadzeniem wiary chrześcijańskiej, doszły do naszych czasów trzy „najpiękniejsze średniowieczne opisy podróży” — jak się prof. Sieniawski wyraża, — dotyczące wypraw misyjnych biskupa Ottona z Bambergu do tego kraju. Były one spisane przez Ebona i Herborda, obu zakonników z klasztoru bamberskiego, oraz przez nieznanego z nazwiska mnicha z Prieflinga, na podstawie opowiadań ustnych Uodalryka i Sefrida, obu duchownych, towarzyszy biskupa Ottona w jego dwukrotnej misji nawracania Pomorzan. Wszystkie wymienione osoby, współczesne wypadkom, pomarły zaledwie w 30—40 lat póź-

niej, opisy więc, pochodzące od nich, posiadają wszelkie cechy wrażeń świeżych i spostrzeżeń bezpośrednich <sup>1)</sup>).

Opowieść ma z natury rzeczy charakter jednostronny, zajmuje się bowiem wyłącznie losami wyprawy, przeszkodami i powodzeniami w misji krzewienia wiary chrześcijańskiej wśród pogan, bez zwracania szczególnej uwagi na obyczaje, tryb życia, opisy ludzi i miejscowości. Pomimo to przynosi ona mimochodem wiele rysów, malujących dosadnie typ charakteru ówczesnych Pomorzan, łagodność ich obyczajów i stosunkowo wysoki poziom kultury duchowej. Na tem tle zarysowuje się chwiejna, umkliwa postać Wracisława, księcia na Pomorzu, oraz ze wszech miar potężna postać Krzywoustego.

Mniej nas interesuje sama osoba biskupa Ottona, późniejszego świętego, która w całym opisie wysuwa się na plan pierwszy. Mąż to niewątpliwie wyższej miary, przeniknięty ideą krzewienia wiary i utrwalenia potęgi Kościoła, żądny palmy męczeńskiej, łączący wysoki rozum i przebiegłość z wielką dobrocią, nieugiętość z taktem i umiejętnością zniewalania sobie ludzi, mąż pełen uroku i powagi, zaparcia się siebie i ofiarności. Gdy Władysław Herman, dzięki właśnie pośrednictwu Ottona, wszedł w powtórne związki małżeńskie z Judytą, siostrą cesarza Henryka IV, świątobliwy kapłan stał się spowiednikiem królowej i spędził kilka lat na dworze polskim, z którym odtąd stałe i zażyłe utrzymywał stosunki.

Bolesław Krzywousty zakończył szereg wypraw na Pomorze zwycięską bitwą pod Nakłem, zdobył Szczecin i stał się w r. 1122 panem całego kraju z częścią ziemi Lutyków między Odrą a Elbą. Wracisław uznał się jego hołdownikiem, Pomorze płaciło daninę.

Inicjatywa nawrócenia Pomorza na wiarę chrześcijańską wyszła od Bolesława. Pierwszą próbę w tym celu przedsięwziął on jeszcze przed zdobyciem kraju. Mianowicie zjawił się na jego dworze biskup Bernard, Hiszpan rodem, i wyjednał sobie u niego dodanie tłumaczów i przewodników, mających towarzyszyć tej pierwszej wyprawie misyjnej. Z nimi dotarł Bernard do pomorskiego miasta Julina (Wollin)—przy

---

<sup>1)</sup> Ukazały się one świeżo w XII tomie „*Monumenta Germaniae-Scriptores*”, wydawanych przez R. Köpkego; osobno opracował je krytycznie prof. Sieniawski.

ujściu Odry, poniżej Szczecina, a chcąc postępować w duchu nauki Chrystusa, zjawił się bosko, w ubogiej odzieży i rozpoczął kazania do ludu. Mieszczanie Julina, uprzedzeni do przybyścia jego niepozorną powierzchownością, zapytali go: kim jest i kto go przysłał? Odpowiedział na to, że jest sługą prawdziwego Boga, Stwórcy nieba i ziemi, i został przez Niego przysłany, aby ich odwrócić od czci dla bałwanów i sprowadzić na drogę prawdy. Mieszczanie odparli z niechęcią: „Jakże możemy wierzyć, żeś został wysłany przez najwyższego Boga, skoro ten jest potężny i posiada wszelkie bogactwa? Jesteś przecie tak niepozorny i biedny, że nie mogłeś nawet sprawić sobie obuwia. Gdyby najwyższy Bóg rzeczywiście pragnął naszego nawrócenia, przysłałby do nas odpowiedniego i godnego swej potęgi sługę. Wracaj więc jak najprędzej tam, skąd przybyłeś, jeżeli ci życie miłe, i nie wydawaj się z obrazą najwyższego Boga za jego sługę, gdyż przybyłeś tu jedynie dla zebrania”.

Bernard nie uląkł się pogroźek i odpowiedział z mocą: „Zapalcie jakikolwiek opuszczony i niezdatny do niczego dom i wrzucie mnie w ogień; jeżeli płomień pochłona budynek, a ja wyjdę z niego bez szwanku, będziecie mieli dowód, że zostałem przysłany przez tego, którego władzy ulega ogień i wszelkie żywioły”. Wtedy kapłani i najstarsi z ludu odbyli długą naradę, poczem oświadczyli: „Człowiek ten jest obłąkany i zrozpaczony; pod zbyt ciężarem nędzy szuka śmierci i skazuje się na nią dobrowolnie. Ale w swej podstępnej złośliwości pragnie zemścić się na nas za to, żeśmy go odepchnęli, i nie chce zejść z tego świata, nie zniszczywszy nas zarazem; gdy bowiem jeden dom stanie w płomieniach, całe miasto zgorzeć musi. Strzeżmy się przeto dawać posłuch człowiekowi o tak zapalanej głowie. Również na nic nam się nie przyda, gdybyśmy zabili bosonogiego obcego przybysza, jak nasi bracia Prusacy zabili przed laty niejakiego Wojciecha, który podobne głosił im kazania. Przyszedł na nich ucisk i nieszczęścia wszelkiego rodzaju, i cały ich dostatek został zniszczony. Jeżeli jednak chcemy się ochronić, przeprawmy go, nie czyniąc mu krzywdy, przez granicę, wsadźmy na okręt, — niech jedzie do innych krajów”.

Tu Bernard chwycił siekierę i porwał się, aby porąbać słup nadzwyczajnej wielkości, poświęcony Juliuszowi Cezarowi, od którego miasto Julin wzięło swą nazwę. Wyczerpała się cierpliwość mieszczan: rzucili się na niego, pobili ciężko

i pozostawili nawpół martwego. Gdy przyszedł nieco do siebie, chciał znowu głos zabrać, ale go odciągnięto i wsadzono razem z towarzyszami na mały statek, mówiąc: „Jeżeli jeszcze raz przyjdzie ci podobna ochota prawienia kazań, zwracaj się do ryb w morzu, albo do ptaków na niebie, ale strzeż się stanąć kiedykolwiek stopą na naszej ziemi, bo nikt cię tu nie przyjmie, nikt, aż do ostatniego człowieka”.

Bernard wrócił na dwór Bolesława z niczem, ale zachęcał go bardzo do dalszych prób, lepiej zorganizowanych; on to również zapalił starego już wówczas Ottona do podjęcia nowej wyprawy. Doszła ona do skutku już po dokonanych podboju Pomorza, dzięki wystosowanemu przez Bolesława III listowi do biskupa bamberskiego, w którym uprasza go o „podjęcie tego ciężaru na chwałę Bożą” i obiecuje wszelką pomoc oraz stosowne zaopatrzenie całej wyprawy.

Otton rozpoczął swe przygotowania od należytego wyequipowania misyi, nietylko we wspaniałe przybory kościelne, lecz i w bogaty zapas tkanin i szat, wysoce na Pomorzu cenionych, i wogóle we wszelkiego rodzaju kosztowności, nadające się do podarunków dla możnych i wpływowych osób. Chciał wystąpić nie tak mizernie, po chudopacholsku, jak Bernard, lecz z całym przepychem, godnym księcia Kościoła i zdolnym zaimponować poganom. Podczas tygodniowego pobytu w Gnieźnie wyprawa została hojnie wyposażona przez Bolesława: dano jej poczet z 60 zbrojnych ludzi, pod dowództwem dzielnego Paulicyusza, hrabiego na Santoku, dano tłumaczów, władających zarówno niemieckim, jak i słowiańskim językiem, trzech kapłanów dworskich, dalej wozy ładowne i obfity zapas pieniędzy pomorskich. Dnia 2 czerwca 1124 r. pochód stanął nad pograniczną rzeką (Dragą?) Polski i Pomorza.

Za czasów Ottona, a więc blisko 800 lat temu, Łaba stanowiła wschodnią granicę państwa i żywiołu niemieckiego, rozległe zaś równiny po prawej stronie rzeki zamieszkiwały plemiona słowiańskie. Pojedyncze ich szczepy miały swe siedziby po lewej również stronie Łaby, zwłaszcza między Łabą a Saalą i ich dopływami, daleko aż do Turynгии, jak również aż do tak zwanego hanowerskiego kraju Wendów. Więc w południowo-wschodniej Holsztynii, wzdłuż wybrzeża morskiego, zamieszkiwali Wagrowie — aż poza Lubekę; z nimi sąsiadowali Obotryci, graniczący na wschód z 4-ma sprzymierzonymi z sobą plemionami Lutyków, władającymi całym

obszarem kraju aż do Peny i sąsiadującymi z Pomorzem. Środkową Łabę zajmowali Hewelowie albo Stoderanie, ze stolicą Braniborem (Brandenburg), na południe zaś od nich, między Saalą a Łabą, siedziały plemiona Sorbów, których potomków zważ dziś pospolicie Wendami. Wszystkie te ludy zostały zmuszone przez cesarzów saskich do płacenia daniny, większość zaś z nich — do przyjęcia chrześcijaństwa. Po śmierci cesarza Ottona II Słowianie prawego brzegu Łaby podnieśli ogólne powstanie, odzyskali niezależność i powrócili do pogaństwa. W tym stanie znajdowali się za czasów biskupa Ottona.

Herbord opisuje położenie geograficzne Pomorza, a o mieszkańcach jego tak się wyraża: „Jest to lud doświadczony w wojnie na lądzie i morzu i nawykły do życia z rabunku i zdobyczy. Wskutek wrodzonej dzikości pozostawał zawsze nieujarzmionym i całkowicie opornym na chrześcijańską wiarę i służbę bożą. Kraj odznacza się wielką obfitością ryb i zwierzyny i jest nadzwyczaj żyzny ze zboża, jarzyn i wszelkiego rodzaju płodów: żaden inny nie dorównywa mu bogactwem miodu, ani nie jest równie obdarzony łąkami i roślinnością trawiastą. Wina jednak nie posiadają i nie troszczą się o nie, ale pułkami pełnymi miodu lub piwa, które najtroskliwiej przyrządzają, zakasowują falerneńskie wina”.

Sefridus, zapytany, czy mogłyby się tam utrzymać klasztory, odpowiada: „Klasztory? O tak! a zwłaszcza klasztory dla świętych mężów naszych czasów, którzy, dla braku sił, woleliby zamieszkiwać kraj żyzny, niż jałowe wzgórza lub surowe równiny piaszczyste. Obfitość ryb, jak również wód morskich i słodkich, jezior i stawów, jest wprost nieprawdopodobna, a za denara (moneta miedziana) dostaniesz cały wóz świeżych śledzi; mógłbym być posądzony o łakomstwo, gdybym się rozwodził nad tem, jak są tłuste i smaczne. Ilość zwierzyny, jeleni i bawołów, dzikich koni i niedźwiedzi, dzików i świń i wszelkich innych zwierząt jest w całym kraju olbrzymia. Jest tam i masło krowie i mleko owcze; są tłuste jagnięta i kozłeta, obfitość miodu i pszenicy obok konopi i maku, jak również wszelkiego gatunku jarzyn, i gdyby kraj ten posiadał jeszcze wino, oliwki i figi, mógłbyś go uważać za ziemię obiecaną, — taka tam obfitość drzew owocowych. Biskup nie chciał jednak, żeby w nim brakło winnic, przywiózł więc z sobą — za drugą wyprawą — pełną kadz szcepionek, które polecił zasadzić, żeby kraj mógł się sam zaopatrywać przynajmniej w wino mszalne. — Śród ludności pa-



nuje takie zaufanie wzajemne w stosunkach towarzyskich, że nie wie ona, co to kradzież lub oszustwo: skrzynie ich i szafy nie są wcale zamykane. Ani zamków, ani kluczy nie widzieliśmy tam zupełnie. Natomiast ludzie tamtejsi dziwili się mocno, kiedy spostrzegli, że nasze juczne siodła i paki są zamykane. Odzież swą, pieniądze i wszelkie kosztowności przechowują w skrzyniach i statkach, które poprostu nakrywają, nie obawiając się żadnej szkody ani krzywdy, gdyż niczego podobnego nie znają. A teraz przychodzi rzecz najdziwniejsza: stołu u nich nigdy się nie sprząta, nie stoi on nigdy bez nakrycia. Każdy gospodarz posiada osobno położony budynek, czysty i porządkowy, przeznaczony wyłącznie na wypoczynek. Tam stoi stół, zastawiony jadłem i napojem, a gdy cokolwiek będzie spożyte, nowe wnosi się na to miejsce. Olśniewającej białości obrus pokrywa potrawy, żeby jaka myszka lub łasica nie miały do nich dostępu, i tak czeka zastawa na tego, kto pragnie się pożywić. Tak więc o każdej porze, ktokolwiek chciałby się posilić, ma wolny przystęp do stołu, czy to będzie obcy przybysz, czy też miejscowy. To powinno wystarczyć!”

Na granicy polskiej nastąpiło spotkanie biskupa Ottona z Wracisławem pomorskim, który, zawiadomiony przez wysłanników Paulicyusza o przybyciu misyi, pospieszył z orszakiem 500 zbrojnych na jej spotkanie i powitał Ottona serdecznie, „przyczem więcej mówiło serce, niż usta“. Wracisław, więziony za młodu w Merseburgu i tam ochrzczony, był chrześcijanem, ale potajemnie, w obawie przed poganami. Podczas narad jego z Ottonem i Paulicyuszem w asystencji tłumacza (był nim nadworny kapelan polski, Wojciech, późniejszy pierwszy biskup Polak na zachodnim Pomorzu), kilku rycerzy z orszaku księcia, którzy się z nim przeprawili przez rzekę, urządziło sobie żart z młodych kleryków. Dzika leśna okolica, zapadająca noc, niepewność co do zamiarów księcia—podnieciły ich wyobraźnię. Gdy nadto dziwni i straszni przybysze wydobyli noże i zaczęli grozić klerykom obłupieniem ich ze skóry i innemi mękami, ci poczęli się modlić i spowiadać, gotując się na śmierć męczeńską. Przybycie Wracisława, który ich dobrotliwie powitał, położyło kres nieporozumieniu, i wszyscy razem śmieli się i żartowali z ich strachu. Okazało się, że owi mężowie z orszaku również wyznawali potajemnie wiarę chrześcijańską. Dwóch z nich razem ze służbą księżę na wyjeździe pozostawił przy wyprawie misyjnej w charakterze przewodników.

wydał przytem polecenie, aby na całym obszarze jego posiadłości udzielano jej pomocy i gościny.

Wyprawa skierowała się na Pyrzyce (Pyritz) i przybyła późnym wieczorem na wzgórze przed miastem. Tu ukazał się jej zadziwiający widok. Mieszkańcy obchodzili jakąś uroczystość ze śpiewami, zabawami i hulanką, zapewne święto Gërowita, boga płodności i wojny. Ludu napłynęło ze 4000. Przybysze nie odważyli się rozpocząć swej misji w takich warunkach, pozostali na miejscu, nie rozkładając ognisk, i przeczekali do rana. Nazajutrz dopiero posłał Otton Paulicyusza i dwóch wysłanników Wracisława, którzy powitali starszyzną miejską imieniem obu książąt (Bolesława i Wracisława) i przedstawili powód przybycia misji. Nadmienili przytem, że biskup Otton jest dostojnym panem, bogatym w swej ojczyźnie i tu również podróżującym na własny koszt: niczego nie żąda i niczego nie potrzebuje, przybywa jedynie dla zbawienia ich dusz, nie dla zysków. Oni natomiast powinni pamiętać o grożącej im karze boskiej i niedawnym strasznym przelewie krwi (1121 r.) i nie stawać przeciw całemu światu, który uznał przykazania chrześcijańskie. Starszyzna wahała się długo, jednak pod naciskiem, dowiedziawszy się, że Otton stoi u wrót miasta, postanowiła poddać się dobrowolnie temu, czego uniknąć nie mogła, i na poufnej naradzie zgodziła się przyjąć wiarę chrześcijańską, co stwierdziła w obecności posłów. Następnie, razem z nimi wystąpiła wobec zgromadzonego ludu, który się był po odbytej uroczystości jeszcze nie rozjechał. Starsi przemówili do niego w słodkich, pochlebiających słowach i zawiadomili o swem postanowieniu. Skutek był zadziwiający. Cała masa ludu przyklasnęła natychmiast propozycji i zapragnęła zobaczyć biskupa. Gdy orszak wjechał do miasta, wśród tłumu, podejrzewającego podstęp wojenny, wszczął się popłoch. Uspokojony łatwo, lud pomógł wyprawie rozbić namioty na placu i okazywał jej wszelkimi sposobami swą przychylność. Podczas siedmiodniowych przygotowań do chrztu, Otton wspólnie ze swymi pomocnikami pouczał ludność o zasadach nowej wiary, nawróconym przeznaczili trzydniowy post, polecieli im oczyścić ciało kąpielą, włożyć białe szaty, poczem dopiero przystąpili do chrztu świętego.

Sposób przeprowadzenia tego obrzędu świadczy o wysokim takcie Ottona i jego umiejętności przystosowywania się do okoliczności. Na rozkaz biskupa przygotowano odpowiednio trzy place. Na jednym chrzczył on sam — wyłącznie

dzieci, na drugim pomocnicy jego — mężczyzn, na trzecim — kobiety. Przestrzegał przytem, aby nic nie obrażało pocucia wstydlivosti i nie raziło nawróconych. Polecil więc zakopać dość głęboko w ziemię ogromne kadzie do wysokości kolan, napelnić je wodą i otoczyć zaslonami z płótna, rozpostartego na słupach. Nadto przed księdzem, dopełniającym obrzędu, zawieszono osobną zaslonę, chrzestny zaś wprowadzał nowochrzczeniça, każdego z osobna, odbierał od niego odzież i świecę woskową, poczem ksiądz z poza zaslony, kierując się raczej słuchem niż wzrokiem, zanurzał trzykrotnie głowę jego w wodzie, namaszczał czoło chryzmą i polecał przywdziać białą szatę, na którą dopiero chrzestny wkładał mu zwykłą odzież. Tryb ten zachowywany był wszędzie, a w porze zimowej obrząd odbywał się w ogrzanych izbach, przy użyciu letniej wody, wśród dymu i zapachu kadzideł.

W Pyrzycach przebył Otton 20 dni, polecil zbudować tymczasowy kościół i osadził w nim księdza. Istniejące do dziś dnia pod miastem, wśród cieniatego parku, t. zw. „źródło Ottona“, ocembrowane, otoczone kamienną kolumnadą, z drzwiami z brązu i tablicami pamiątkowymi, wzniesionymi z polecenia królów pruskich, nie ma w sobie nic historycznego i nie wiąże się niczem z nawracaniem Pomorzan. Zapewne było to stare uroczysko pogańskie, czczone przez ludność, która nawiązała tradycyjny swój kult do osoby apostoła.

Z Pyrzyc udał się Otton nie do Szczecina, tej „macierzy i głowy miast pomorskich“, jak należało oczekiwać, lecz pozostawiając go po lewej ręce, pociągnął daleko na północ, do Kamienia, rezydencji księcia Wracisława. Krok ten był niezawodnie wywołany niewyraźnem zachowaniem się księcia podczas pierwszego ich spotkania. Jakoż Otton nie zastał księcia w domu, był natomiast nader serdecznie przyjęty przez księżnę, jego prawną małżonkę (Wracisław miał nadto 24 żony poboczne), która była już w młodości chrześcijanką i żyjąc wśród pogan, zachowała w sercu dawną wiarę. Po wiadomiona o powodzeniu misji w Pyrzycach, przygotowała zawczasu grunt w Kamieniu, tak, iż biskup nie napotkał tam żadnego oporu i przystąpił natychmaist do udzielania chrztu.

Po 40 dniach dopiero zjawił się książę Wracisław ze swym orszakiem, „rzucił się biskupowi na szyję i usprawiedliwiał swą długą nieobecność pilnemi sprawami państwowemi“, na czym one jednakże polegały i gdzie wogóle dotąd przebywał — pozostało rzeczą niewyjaśnioną. Prosił uprzej-

mie Ottona, żeby rozporządzał jego domem i mieniem, duchownych i „znaczniejszych“ z jego orszaku ścisnął za ręce i całował, nazywając ich braćmi i synami, i dziękował Bogu, że mu pozwolił podejmować tak drogich gości.

Tym razem starał się Wracisław złożyć dowody, że bierze rzeczy na seryo. Ponieważ był już niegdyś chrzczony a następnie odpadł od wiary, poddał się pokucie kościelnej, publicznie w obecności biskupa i ludu, z ręką na relikwiach wyprzysiągł się 24-ch żon pobocznych i został ponownie przyjęty na łono Kościoła. Za jego przykładem poszli inni rycerze z orszaku.

Pomimo to Wracisław widocznie unikał dłuższego przebywania w towarzystwie biskupa i po 10 dniach wyprawił go w dalszą drogę, dając mu w charakterze posłów i przewodników jedynie dwóch poważnych obywateli stolicy, Domyśława i jego syna, którzy widocznie z własnej woli przyłączyli się do misyi. Obecność wśród niej Paulicyusza, hrabiego na Santoku, w otoczeniu rycerstwa polskiego, nie musiała być miła Wracisławowi, przypominała mu bowiem żywo jego zależność od Polski. Nadto obawiał się niewątpliwie zbyt wyraźnie i głośno stwierdzać swą chrześcijańską barwę wobec potężnego związku przedodrzańskich miast pomorskich (będącego czemś w rodzaju późniejszej Hanzy), mocno przywiązanych do wiary przodków, a do których właśnie Otton udać się zamierzał.

Pozostawiwszy na zaproszenie Wracisława konie i juczne zwierzęta w Kamieniu, misya dotarła drogą wodną do Julina, położonego przy ujściu Odry, na nadbrzeżnej wyspie, oblanej z trzech stron wodą. Przewodnicy nie radzili Ottonowi wkraczać do miasta za dnia, zalecali natomiast dostać się nocą do dworca książęcego. Książę posiadał bowiem w każdym mieście podobny dworzec z podwórzami i zabudowaniami gospodarczymi: kto się w nim schronił był, według prawa, zabezpieczony przed napadem jakiegokolwiek nieprzyjaciela i mógł tam pozostać, nie napastowany przez nikogo, aż do sądowego rozpoznania sprawy. Tak się też stało, jak radzili przewodnicy. Gdy atoli nazajutrz tłum spostrzegł obecność przybyszów, począł się dopytywać, kim są i po co przybyli, burzył się corazto hałaśliwiej, wrzeszcze wtargnął na dworzec i groził im śmiercią, jeżeli bezzwłocznie nie opuszczą miasta.

Według zwyczaju, wśród budowli dworca znajdowała się jedna, szczególnie mocna, wzniesiona z potężnych bali, a zwana, jak mówi kronikarz, *stupa vel pirale* (stępa albo zapiera-

dło), coś w rodzaju śpichrza i lamusa zarazem. Tam zniesiono wszystkie skrzynie, paki, kosztowności i kaplicę polową misyi, tam również schronił się sam biskup i towarzyszący mu duchowni. Tłum uzbrojony obległ budynek i wśród wzmagających się groźnych okrzyków żądał, aby się natychmiast z niego wynosili, a gdy się wahano, rzucił się na stępę i począł rozbierać dach i ściany. Wtedy Paulicyusz i dwaj wysłannicy uciekli się do innego sposobu: rzucili się w tłum, wszczęli ogromny hałas, jak gdyby sami wpadli w gniew, a ściągawszy na siebie uwagę całego tłumu, wzniesli ręce do góry i nakazali mu spokój. „Co to znaczy!—wołali.—Jeżeli na dworze naszego księcia i pana nie dajecie nam pokoju, pozwólcie nam przynajmniej odejść stąd swobodnie! Co macie przeciwko nam? komuśmy jaką krzywdę wyrządzili?” Odezwały się głosy: „Tego oszusta, biskupa, przyszliśmy zabić, i innych chrześcijan z nim razem, co bluźnią przeciwko naszym bogom. Jeżeli jednak chcecie bezpiecznie ich stąd wyprowadzić, dobrze, zrobimy miejsce, ale zabierzcie ich jak najprędzej z miasta!”

Ulice pełne były grzęzkiego błota, to też leżały na nich pomosty i kładki. Paulicyusz ujął biskupa za rękę i pomagał mu na przejściach, nagłąc do pośpiechu. W miejscu szczególnie błotnistem mijali „dzikiego i mocnego chłopca“, który wioził drzewo z lasu. Zagrodzenie drogi wprawiło go w taką pasję, że porwał drąg i chciał nim uderzyć biskupa w głowę, cios jednak chybił i trafił go w plecy, tak, iż Otton stoczył się z kładki w błoto. Paulicyusz, sam brnąc po pas, pośpieszył mu na ratunek i zasłaniając go własnem ciałem, wyprowadził za miasto. Z orszaku również wielu było poszwankowanych, tabor jednak zdołano uratować w całości.

Mnich z Prieflinga, podaje przytem pewien ciekawy epizod, o którym Sefridus nie wspomina. Według niego Otton, zagrożony przez lud, nie mogąc nic wskórać perswazją, próbował go pozyskać złotem. „Mianowicie mieszkańcy Julina, których miasto zostało założone przez Juliusza Cezara i od niego otrzymało nazwę, przechowywali z wielką czcią jego lancę, chociaż żelazo było tak przez rdzę zjedzone, że do niego już nie było zdatne. Tęto lancę zamyślił biskup kupić od nich za 50 talentów (=funtów) srebra, jako mądry kupiec, któremu idzie o zbawienie dusz. Poganie atoli, bezbożni i niewierni, oburzyli się mocno na to: lanca jest pochodzenia boskiego, nic znikomego i nietrwałego nie da się z nią po-

równać, to też za żadną cenę nie pozwoli nikomu jej sobie wydrzeć, jest bowiem ich obroną, ostoją ojczyzny, znakiem zwycięstwa" <sup>1)</sup>).

Według słów Ebbona, mieszkańcy Julina w taki sposób usprawiedliwiali naruszenie prawa przytułku: „Otton i jego towarzysze zupełnie napróżno wkradli się na dworzec książęcy, jak gdyby tam mogli mieć zapewniony spokój. Kto dąży do obalenia ojczyzny i starych szanownych praw, stoi z wyroku bogów poza prawem przytułku”.

Podczas tygodniowego swego obozowania po drugiej stronie wody, Otton utrzymywał ciągle stosunki z miastem, bądź posyłając tam ludzi ze swego orszaka, bądź przyjmując julińską starszyznę u siebie. Powoływał się wobec niej na potęgę władcy polskiego i groził jego gniewem. W mieście naradzano się długo, wreszcie znakomitsi obywatele postanowili postąpić tak, jak uchwali Szczecin. „Jest to najstarsze i najznamienitsze miasto Pomorza — mówili, — macierz naszych grodów, i byłoby niesprawiedliwością zgodzić się na wprowadzenie jakiegobądź nowej religii bez uprzedniej zgody ze strony tego miasta“. <sup>2)</sup>

W gruncie rzeczy więc z Ottonem powtórzyło się to samo, czego doświadczył już w Julinie jego poprzednik, biskup Bernard. Nie pozostawało mu nic innego, jak udać się do Szczecina, z nader słabymi widokami powodzenia; przygotowany był na wszystko, nawet na śmierć.

---

<sup>1)</sup> Prof. Sieniawski robi w tem miejscu uwagę, że legenda o Juliuszu Cezarze niewątpliwie istniała, jak również słup i lanca, z jego tradycją związane, rzeczywiście były przechowywane w mieście Julinie, nie jest to więc fantazja podróżującego mnicha. „Lanca owa mogła być istotnie rzymską (*pilum*), pochodzącą jednakże nie z samego Rzymu, lecz z jednej z ziem sąsiednich, przez Rzymian podbitych. Przechowywanie słupa i lancy mogło być bądź swoistym zwyczajem, bądź naśladownictwem rzymskiego, Rzymianie bowiem w dawniejszych wiekach czcili boga wojny Marsa pod postacią lancy. Juliusz Cezar odgrywał — zdaje się — w oczach północno-zachodnich Słowian, albo ściślej — w oczach tych, którzy ich historię pisali, dość wybitną rolę: Thietmar przypisuje mu założenie Merseburga. Nawet białego orla polskiego wyprowadzali kronikarze niemieccy i polscy od zdobytego orla legionów rzymskich; mianowicie Słowianie mieli pośpieszyć na pomoc Arminiuszowi.” W r. 9 po Chr. zniszczył ten wódz germański, jak wiadomo, legiony Varrusa w lesie Teutoburskim i do r. 16 walczył nieraz jeszcze z Rzymianami.

<sup>2)</sup> O sławie ówczesnej Szczecina świadczyć może fakt, iż Duńczycy, chcąc określić czyjeś doświadczenie i znajomość świata, mawiali: „Ten widział Burstaborg (Szczecin)“.



Między innymi odwiedzał Ottona, podczas jego postoju pod Julinem, prawie codziennie, niejaki Niedomir, „drugi Nikodem“, jak go Sefridus nazywa. Ten mu dostarczył obfitych zapasów żywności (trzy pełne łodzie) i w towarzystwie syna, na własnych statkach, dowiózł całą wyprawę do samego Szczecina, ale obaj powrócili natychmiast w obawie narażenia się mieszkańcom.

Podobnie jak w Julinie, doczekano się nocy i pociągnięto wprost na dworzec książęcy. Nazajutrz Paulicyusz razem z posłami udali się do Rady miasta, pragnąc oddać się niejako pod jej opiekę i uniknąć przez to kroków nieprzyjanych ze strony niższych warstw ludności. Powołali się na autorytet Bolesława i Wracisława, oświadczyli wyraźnie cel swego przybycia — głoszenia Ewangelii, tłumaczyli, obiecywali i grozili, otrzymali jednak stanowczą odpowiedź: „Nie chcemy nic mieć z wami do czynienia. Nie wyrzeczemy się praw ojczystych. Zadowoleni jesteśmy z religii, którą mamy. Śród chrześcijan są również złodzieje i rozbójnicy; u was kaleczą ludzi na ciele, pozbawiają ich wzroku, słowem chrześcijanie dopuszczają się na chrześcijanach wszelkiego rodzaju okrucieństw i zbrodni. Wolimy się trzymać zdaleka od takiej religii!“ Była w tem aluzya do Bolesława III, który kazał oślepić swego brata przyrodniego, Zbigniewa, wprawdzie po kilkakrotnem przebaczeniu jego zdradzieckich kno-  
wań.

Trzy miesiące z górą stał Otton pod Szczecinem bez żadnego prawie powodzenia. Postanowiono wreszcie, w porozumieniu z mieszczaństwem, wysłać wspólnie pod wodzą Paulicyusza posłów do Bolesława Krzywoustego z zapytaniem, jak się dalej zachować, gdyby zaś władca zgodził się poręczyć wieczny pokój i zmniejszyć daninę, miasto przyrzekło dobrowolnie poddać się prawom chrześcijańskim. W oczekiwaniu powrotu poselstwa, urządzano procesye po placach w dni targowe i wygłaszano kazania, przyczem nie obchodziło się bez wrogich manifestacyi ze strony ludu, nikt atoli z tego powodu nie ucierpiał. Drobnny fakt posunął całą sprawę znacznie naprzód. Dwaj piękni młodzieńcy wysokiego rodu, synowie Domusława, bywali częstymi gośćmi w domu Ottona, nawrócili się, zostali ochrzczeni i zatrzymani przez 8 dni — oktawę oczyszczenia — i według zwyczaju oblekli na ten czas białe szaty. Pod nieobecność ojca, matka ich, dowiedziawszy się o tem co zaszło, zapowiedziała przez służbę Ottonowi swoje przybycie. Biskup przygotował na jej



przyjęcie malowniczy obraz: zasiadł na otwartem powietrzu na darniowej ławce, kazał młodzieńcom w białych szatach usiąść u swoich nóg, klerycy zaś otoczyli go półkołem. Nie obliczono się jednak z dobrem wychowaniem młodzieńców. Zaledwie dojrzeli matkę zdaleka, wstali, pochyłili głowy przed biskupem, jak gdyby prosili go o pozwolenie, i pobiegli na jej spotkanie. Matka rozplakała się na ich widok i oświadczyła nadbiegającemu biskupowi i duchownym, że sama uznaje się za chrześcijankę. Kronikarz dodaje stale powtarzającą się w podobnych wypadkach wersję, że za młodu otrzymała już chrzest w innym kraju, z którego została przez pogan uprowadzoną i wydana za męża. Otton złożył jej w darze bogaty płaszcz z szarego futra, młodzieńcom zaś podarował szaty z najcieńszego sukna, ozdobione na szwach i na kapturze złotymi haftami, lite złotem pasy i kolorowe buty. Dary te przyniosły stokrotne zyski. „Na podobieństwo gołębi”, jak się Sefridus wyraża, sprowadzili cały zastęp swych towarzyszków, którzy również oświadczyli się z gotowością przyjęcia nowej wiary. Wreszcie dał się nawrócić i ojciec ich, Domusław, „żeby się do swoich dostroić”, i przyjął chrzest razem z domownikami i służbą, w liczbie 500 osób. Wyłom w pojęciach ludności Szczecina został zrobiony.

Tymczasem poselstwo powróciło i przywiozło list Bolesława następującej treści: „Bolesław, z łaski Najwyższego Boga książę Polski i wróg wszystkich pogan, ogłasza szczepowi Pomorzan i ludowi Szczecina, skoro dotrzymają przysięgi wierności, trwały pokój i stałą przyjaźń, gdyby zaś jej nie dotrzymali — mord, pożogę i wieczną nienawiść! Gdybym szukał powodu do zatargu z wami, gniew mój byłby usprawiedliwiony, ponieważ widzę, że chcecie, łamiąc niejako własne słowo, cofnąć się wstecz, i ponieważ ojca mego i pana, biskupa Ottona, godnego wszelkiej czci i szacunku, sławnego wśród wszystkich ludów i narodów, przeznaczonego przez prawdziwego Boga i naszą usługę do niesienia wam zbawienia duszy, — nie tak przyjęliście, jak należało, i naukom jego po dziś dzień nie chcecie dać posłuchu. Wszystko to powinno wystarczyć, jako oskarżenie przeciwko wam; wstawili się jednakże za wami zarówno moi, jak i wasi zastępcy, szanowni i rozumni mężowie, głównie atoli sam wysoki kapłan, który u was przebywa, wasz ewangelista i apostoł”. Dając posłuch ich radom i prośbom, Bolesław zniża dla całego Pomorza daninę do 300 marek (funtów) rocznie, na przypadek zaś wojny — każdych dziewięciu ojców rodziny ma do-

starczyć dziesiątego, dobrze uzbrojonego i zaopatrzonego w pieniądze, jak i roztoczyć opiekę nad jego rodziną i domem. „Jeżeli tego dotrzymacie i przyjmiecie religię chrześcijańską, podaję wam moją dłoń; zdobędziecie radości życia wiecznego i we wszelkiej okazji będziecie mogli doświadczyć opieki i pomocy Polaków, jako waszych sprzymierzeńców i przyjaciół”.

Zwołano zgromadzenie obywateli miasta i wsi okolicznych, odczytano na niem ludowi i patrycyuszom list Bolesława i wśród pogodniejszego już nastroju przyjęto dobrowolnie podane warunki. Wtedy wszedł Otton na mównicę i wygłosił przy pomocy tłumacza (aczkolwiek wszyscy świadkowie zgodnie zapewniają, iż władał dobrze językiem polskim) ognistą mową do ludu, wzywając go do zburzenia świątyń pogańskich i rozbicia posągów bożków, a przypuszczając z góry, że się pierwsi na to nie odważą, obiecał dać im — za ich zezwoleniem — przykład: „A gdy zobaczycie, iż się nam, stojącym pod znakiem krzyża, nic nie stanie, weźcie się sami do dzieła, niszczone, rozbijajcie razem z nami siekierami i toporami wrota i ściany, obalcie je i rzućcie w ogień!”

Po odprawieniu wielkiej mszy i spożyciu wieczerzy, przystąpiono do roboty. Zaczął biskup i księża, a gdy im się nic nie stało, wśród obywateli odezwały się głosy: „Gdyby w nich, których świątynie i posągi oto rozbijają, tkwiła jakakolwiek boska moc, toby się przecież bronili. Jeżeli zaś sami nie umieją sobie poradzić, jakże mogą bronić nas lub zdać nam się na co?” Tłum się rzucił i dokończył zniszczenia, rozciągając drzewo po domach, każdy bowiem mógł brać, co chciał. W ten sposób zburzono i zrabowano cztery gontyny pogańskie (zarazem świątynia, muzeum, dom radziecki i sala zebrań).

Sefridus podaje opis największej i najwspanialszej gontyny szczecińskiej. Była ona bogato i misternie zdobiona malowaniami wewnątrz i zewnątrz. „Ze ścian występowały obrazy ludzi, ptaków i innych zwierząt, tak wiernie z naturą oddane, że możnaby sądzić, iż żyją i oddychają. Do szczególnych osobliwości należy zaliczyć farbę obrazów na ścianach zewnętrznych, której żadne niepogody, ani śniegi, ani ulewy, nie mogły zaćmić ani zatrzeć: dokazała tego sztuka malarzy tamtejszych. Według starożytnego obyczaju przodków, znoszono do tych świątyń, na prawie dziesięciny, zdobyte na wrogach, w walce na lądzie i morzu, skarby i broń. Znajdowały się tam również złote i srebrne dzbany, które wyno-

szo ze świętych miejsc, gdy starszyzna i znamienitsi obywatele, według zwyczaju, pragnęli ich użyć podczas obchodów religijnych, przy ucztach i biesiadach, dla badania przyszłości. Dalej przechowywano tam, zarówno w celach ozdoby, jak i uczczenia bogów, potężne rogi dzikich bawołów, wyłacane i wysadzone drogimi kamieniami, używane do picia, jak również rogi do trąbienia, broń krzywą, powyginaną, naksztalt puginałów, wreszcie mnóstwo drogocennych naczyń, niezmiernie rzadkich i pięknego kształtu. Po zniszczeniu budynków wszystkie te zbiory ofiarowano w darze Ottonowi, ten jednak odmówił, twierdząc, iż „nie chce się bogacić ich kosztem, w domu zaś posiada podobne i jeszcze piękniejsze rzeczy w obfitości”, i polecił im rozdzielić je pomiędzy siebie. Zatrzymał tylko posąg o trzech głowach, wyobrażający boga Tryglawa: korpus rozbito, głowy zaś posłał później do Rzymu papieżowi Honoryuszowi II, jako znak nawrócenia Pomorzan.<sup>1)</sup>

„Trzy inne gontyny były mniej czczone i nie tak ozdobne. Zawierały wewnątrz tylko siedzenia i stoły ustawione kołem, gdyż tam zwykły były odbywać się narady i zgromadzenia. Czy to chciano pić i zabawiać się, czy też omawiać rzeczy poważne, zbierano się zawsze w tych budynkach w oznaczone dni i godziny. Znajdował się tam również potężny cienisty dąb, z pod którego wypływało źródło, czczony z wielkim nabożeństwem przez ludność, jako siedziba jednego z bóstw. Gdy Otton chciał go również ściąć, lud prosił go, aby tego nie czynił. „Obiecał mu nigdy nadal nie oddawać czci religijnej ani drzewu, ani temu miejscu, pragnął go tylko zachować dla jego wdzięku i cienia, a to przecie nie grzech”. Biskup w tym względzie ustąpił, w innej jednak sprawie przeprowadził swą wolę.

„Mieszkańcy Szczecina — pisze Herbord — utrzymywali konia nadzwyczajnej wielkości, maści czarnej i pełnego ognia. Koń ten odpoczywał cały rok i uważany był za nie-tykalnego, tak, iż nigdy jeźdźca na sobie nie nosił; jeden z czterech kapłanów świątyni pielegnował go z największą troskliwością. Gdy się gotował pochód na nieprzyjaciela lub

---

<sup>1)</sup> Pamięć Tryglawa przechowała się u ludu pomorskiego, jako pojęcie dyabła. Podczas kanonizacji Ottona w 1189 r. sprowadzono do jego grobu w Bambergu pewną kobietę, „opętaną przez pięć dyabłów”; jednym z nich właśnie był, według jej słów, Tryglaw, „którego świątynię zburzył święty biskup na Pomorzu”.

wyprawa łupieska, przepowiadano przy pomocy owego konia powodzenie przedsięwzięcia, w następujący sposób: układano 9 dzid na ziemi w odstępach łokciowych, następnie okiełznanego i osiodłanego, w bogatym rynsztunku konia przeprowadzał kapłan po trzykroć, tam i z powrotem, przez rozłożone dzidy; jeżeli koń je przekroczył, nie rujnując ich układu, był to znak dobry, — wtedy przystępowano do wyprawy z otuchą; w przeciwnym razie — wstrzymywano się od niej. Tegoto konia Otton polecił sprzedać zagranicą, żeby wykorzenić gruntownie tego rodzaju wróżbiarstwo, i postawił na swoim, pomimo mocnego oporu ze strony niektórych obywateli. Dalej pouczał nowonawróconych, że powinni wszystkich chrześcijan uważać za braci, nie zabijać ich, nie sprzedawać, nie męczyć w niewoli i ziemi ich nie pustoszyć. Przedewszystkiem zaś zabronił wielożeństwa, kobietom zaś zakazał zabijać nowonarodzone dziewczęta, co było w zwyczaju, gdy rodzina miała ich kilka.

Ochrzczono wszystkich mieszkańców miasta, oprócz owego kapłana, strzegącego świętego konia. Kapłan ten zmarł śmiercią nagłą, co lud przypisał cudowi. Wzniesiono w Szczecinie dwa kościoły, jeden na cześć św. Wojciecha, męczennika za sprawą tych samych Pomorzan, drugi — pod wezwaniem św. Piotra i Pawła, istniejący do dziś dnia.

Mieszkańcy Julina wysłali tymczasem przezornych i rozumnych ludzi do Szczecina, w tajemnicy przed Ottonem, w poufnej misji wybadania, jaki przebieg mieć będzie próba nawracania. Ci złożyli wierny raport swoim, podnosząc zalety nowej religii, tak, iż przed przybycie Ottona do Julina grunt był już zupełnie przygotowany, i wkrótce zapal religijny wybuchnął „jak ogień wśród trzciny“. Misję przyjęto z nadzwyczajną serdecznością. Mnich z Prieflinga opowiada nawet, że nawróceni mieszkańcy Julina zgodzili się poświęcić gontynę, w której, obok innych świętości, znajdowała się owa czczona lanca Juliusza Cezara.

Za zgodą księcia Wracisława i starszyny krajowej, postanowiono założyć w Julinie, jako punkcie środkowym kraju, siedzibę biskupią. Pierwszym biskupem na Pomorzu zaodrzezańskim mianowany został Polak, Wojciech, tłumacz przy wyprawie misyjnej, „towarzysz, Ottona, pocieszyciel i prawa ręka“.

Z pod Julina pociągnął Otton na Kłodawę (nad Regą?), gdzie ochrzcił nie stawiających żadnego oporu mieszkańców i kazał wybudować ładny drewniany kościół. „Gdyśmy prze-

byli płynącą pod Kłodawą rzekę, — opowiada Sefridus — natrafiliśmy na miasto, dość wielkie i rozległe, ale bardzo niewielu znaleźliśmy w niem mieszkańców. Ślady pogorzeli i kupy trupów świadczyły, że zostało ogniem i mieczem zniszczone. Miejscowi objaśnili nas, że są nieliczną rzeszką tych, którzy zostali zabici lub pojmani w niewolę przez księcia polskiego, sami zaś ratowali się ucieczką. (Zapewne wyprawa 1122 r. i bitwa pod Nakłem.) Pobudowali sobie około ruin szałas i koleby z gałęzi i tam chronili się, dopóki nie zdołają wzniesć sobie trwalszych budowli. Tych pocieszał nasz najlepszy ojciec, starał się jałmużną ulżyć ich losowi, nauczał i chrzcił z całą dobrocią. Napływała również ludność z pobliskich wiosek i przyjmowała sakramenty wiary“.

Misya udała się następnie do Kołobrzega i Białogradu. To, że w Kołobrzegu już przez Bolesława I (Chrobrego) zostało założone biskupstwo, poszło zdaje się zupełnie w zapomnienie za czasów Ottona. Wyprawę do czterech pozostałych miast zachodniego Pomorza z ich okręgami wiejskimi i wyspami, mianowicie do Uznoimia (Ussedom), Wołgoszczy (Wolgast), Chożegowa (Gutzkow) i Dymina (Demmin) — odłożono do innych czasów, gdyż zbliżająca się zima skłoniła Ottona do powrotu, zwłaszcza że obowiązki stolicy biskupiej wzywały go do Bambergu.

„W drodze powrotnej z Pomorza — mówi Sefridus — skierowaliśmy się znowu ku posiadłościom naszego ojca, księcia polskiego Bolesława III. Niech mu Chrystus w dzień sądu zapłaci za całą dobroć, którą nam okazał! Dobroć jego i miłość dla nas posunęła się do tego, że gdyśmy jeszcze byli na Pomorzu, przysłał wszystkim zimową odzież, począwszy od biskupa a skończywszy na pachołkach, każdemu według stanu. Teraz, skorośmy powrócili—do czego nas wzywał, przyjął nas jak najmilszych synów. Biskupowi i innym oddał należyte honory i nikogo nie puścił bez darów. Widząc, że nam się spieszy, pożegnał nas wśród wielu podziękowań i dał nam eskortę aż do granicy czeskiej“.

Z początkiem kwietnia 1125 roku stanął Otton, jak był zamierzał, w swojej stolicy biskupiej.

\* \* \*

Ze śmiercią kapłana pogańskiego w Szczecinie dawna wiara Pomorzan bynajmniej nie wygasła. Przerwane dzieło Ottona było dalekie od zakończenia, a cofania się i nawroty

ku przeszłości stają się tembardziej zrozumiałe, że nie brakło do nich bezpośrednich powodów. Przedewszystkiem od nowej wiary odciągał przykład odstrasający współplemieńców, osiadłych między Odrą a Łabą, którzy pomimo nawrócenia się jęczeli pod jarzmem świeckich i duchownych władców niemieckich. Lud dziwił się, że wzniosłe nauki Ottona tak mało znajdują naśladowców wśród dawnych już chrześcijan. Nurtować poczęła głucha nienawiść do nowatorstwa, mało dla mas zrozumiałego, zwłaszcza że przynosiło ono z sobą wiele skrępowań, które wydawały się niczem nie usprawiedliwione. Wieśniaków oburzał szczególnie zakaz pracowania w niedziele i święta. Ebbo przytacza słowa pewnego chłopca: „Nie możemy ciągle świętować, musimy przecie pilnować również naszego gospodarstwa. Co to za nauka, która każe ludziom zaniedbywać rzeczy dobre i potrzebne? Kiedyż mamy żąć i zwozić do stodół? Moznaby myśleć, że zazdrościcie nam naszych dochodów!” Nie mniejszą niechęć wzbudzały nowe obrzędy, wkraczające w życie rodzinne, jak chrzty, śluby i pogrzeby. Wreszcie, na gruncie już zdobytych, w Szczecinie i Julinie, z powodu przyjęcia nowej wiary ucierpiały mocno handel i dobrobyt wogóle; mianowicie miasta Pomorza zachodniego, przedewszystkiem Rugia, przerwały wszelkie stosunki ze Szczecinem, z powodu przyjęcia tak daleko idących nowatorstw bez porozumienia się z niemi. Nadto stosunek Szczecina do księcia Wracisława był również wielce napięty.

Już w r. 1126, a więc w rok po nawróceniu, Julińczycy urządzili, jak zawsze przy początku lata, święto na cześć Gerowita, obchodzone tańcami, biesiadami, zabawami i rozmaitemi przedstawieniami. Lud z dawnym zapalem napływał z całej okolicy. W czasie burzenia świątyń pogańskich niektórzy obywatele zdołali unieść i przechować w ukryciu złotem i srebrem ozdobione posążki bogów; obecnie, w czasie największego podniecenia świątecznego, wynieśli je, pokazali ludowi i wzywali go do przywrócenia kultu bóstw krajowych. Wtem — jak pisze Ebbo — spadł ogień z nieba i zniszczył całe miasto, tak, iż mieszkańcy ledwie uszli z życiem. Kościół św. Wojciecha, położony w samym środku miasta, zgorzał do połowy, ołtarz wszakże i sanktuarium pozostały nieknięte; przypisując to cudowi, lud począł unosić się nad potęgą Boga chrześcijańskiego, wezwał księży do powrotu i czyniąc pokutę publiczną, wyrzekł się ponownie dawnych bogów.



W Szczecinie wybuchła zaraza. Pozostali jeszcze kapłani pogańscy, którzy — według słów tegoż kronikarza — stracili całe swe dochody na rzecz nowoosadzonego duchowieństwa chrześcijańskiego, wytłumaczyli klęskę jako gniew i karę bogów za odstępstwo. Zwołano zgromadzenia ludowe, uchwalono powrócić do dawnej wiary, wprowadzono służbę bogów pogańskich i zaczęto burzyć kościoły chrześcijańskie. Lud nie śmiał tylko tknąć ołtarzy i wezwał do tego starszego kapłana; „gdy ten jednak chwycił za topór — opowiada Herbord — i podniósł go w górę, prawica mu stężała i padł w tył na ziemię”. Jęcząc, oświadczył ludowi, że niemiecki Bóg jest potężny, poczem taką dał mu radę: „Wzniescie tu swemu bóstwu świątynię obok domu niemieckiego Boga i temuż oddajcie cześć równą, żeby w swej niełasce nie sprowadził zagłady na to miejsce”. Lud usłuchał i z równym zapalem składał ofiary w obu świątyniach. Świadczy to, że istniała w Szczecinie dość silna mniejszość chrześcijańska, z którą stronnictwo staropogańskie pragnęło żyć w pokoju. Główną oporą chrześcijan był wielce szanowany obywatel, niejaki Wiczak czy Wirczak. Pojmany na morzu podczas swej wyprawy, był więziony w Danii, miał widzenie biskupa Ottona i dzięki temu cudownie odzyskał wolność, powrócił do Szczecina na znalezionym małym stateczku, na świadectwo doznanego cudu kazał go zawiesić na łańcuchach u bramy miasta i zaczął nawoływać współobywateli do pokuty i wyrzeczenia się pogaństwa. Namowy jego jednak skutku nie odniosły, dopiero powtórna bytność Ottona dokonała ostatecznego nawrócenia Szczecina.

W przeciwieństwie do pierwszej wyprawy misyjnej, druga odbywała się wśród prądów politycznej natury. Powodzenie Ottona zwróciło na siebie powszechną uwagę, i cesarz Lotaryusz, świeżo (1125 r.) obrany za jego poparciem po bezpotomnej śmierci Henryka V, jak również książęta niemieccy — skierowali swój wzrok na nowootwarte bogate krainy. Już wówczas istniały tak zwane dziś sfery interesów. Lotaryusz, książęta Cesarstwa i arcybiskup magdeburski uważali całą przestrzeń kraju aż po Odrę za swoje dziedzictwo, które musi im przypaść wcześniej czy później. Z drugiej strony Bolesław polski wywalczył dla siebie zwierzchnictwo nad Pomorzem i na zachód położonym krajem Lutyków. Wreszcie Kościół i świeccy władcy Danii rościli pretensje do wolnej dotychczas wyspy Rugii, razem z jej przyległościami na lądzie stałym. W ten sposób Wracisław



pomorski znalazł się w sferze wpływów trzech potęg, między którymi losy historii rozstrzygnęły na rzecz niemieckiej.

Druga wyprawa misyjna wyruszyła d. 31 marca 1127 r., wyekwipowana jeszcze wspanialej niż pierwsza i zaopatrzona w kosztowności wszelkiego rodzaju, przeznaczone na dary, w asystencji zwiększonej liczby duchownych współpracowników (w ich liczbie Uoldaryk, informator Ebbona), wogóle zorganizowana umiejętnie i ze znajomością rzeczy. Udała się krótszą drogą, przez Halle nad Saalą, gdzie poczyniono znaczne zakupy sukna, a dalej wodą, z biegiem Łaby, aż do Magdeburga. Po drodze Otton miał spotkanie z cesarzem Lotaryuszem w Merseburgu, niewątpliwie wielkiej doniosłości politycznej, odwiedził również arcybiskupa Nortperta w Magdeburgu. Nortpert rad byłby go powstrzymać od misyi, „podniecony zawiścią dla sławy Ottona, jak również ze wstydu, że on sam, siedząc tuż pod bokiem pogan, niczego podobnego nie przedsięwziął“.

Wyprawa przybyła do Hawelberga. Biskupstwo miejscowe mocno ucierpiało od napadów pogan i pozostawało nieobsadzone, rządy sprawował Nortpert. W dniu przybycia misyi całe miasto było udekorowane chorągwiami i obchodziło święto Gerowita. Otton wezwał do siebie naczelnika Witykinda i czynił mu gorzkie wymówki, ten jednakże odparł, że lud powstał przeciwko rządowi Nortperta, który go w zbyt ciężkim trzymał jarzmie, że woli śmierć niż takie poddaństwo i o chrystyanizmie nie chce nic słyszeć. Otton przemówił do ludu, wymógł na nim przerwanie święta, do właściwej jednak działalności nie przystąpił, nie był bowiem do tego przez arcybiskupa upoważniony. Obdarzył Witykinda znaczną sumą pieniędzy, żonę jego — kosztownym psalterzem, zakupił 30 wozów i, nie uzyskawszy nawet straży bezpieczeństwa, o którą prosił, pociągnął dalej.

Pochód skierował się w stronę zachodniego Pomorza i wkroczył w olbrzymi las, na którego przebycie pięciu dni potrzebował. Dotarł wreszcie do wielkiej wodystojącej, nadzwyczajnej rozległości (jeziro Müritz?). Tu podróżni spotrzegli silnego mężczyznę, siedzącego w łódce i łowiącego ryby. Opowiedział im, że jeszcze podczas najścia księcia polskiego ukrył się na tem pustkowiu, zabrawszy z sobą siekierę i topór; tak żył od sześciu lat na małej wysepce wśród jeziora, w chatce, którą sobie sam zbudował, żywiąc się jedynie rybami. Tych kupiono od niego dużą ilość, nie chciał jednak przyjąć ani pieniędzy, ani innych przedmiotów war-

tości, prosił tylko o zapas soli dla przyprawy ryb, na co się też chętnie zgodzono.

W pobliżu zamieszkiwał lud pogański, zwany Morzanami. Słyszał już o biskupie i sam zwrócił się do niego z prośbą o chrzest, ten jednakże odmówił, odsyłając pragnących nawrócenia do arcybiskupa Nortperta; nie chciano nawet słyszeć o nim i o jego ucisku, natomiast Ottonowi przyrzeczono zupełne posłuszeństwo. Wzruszony biskup obiecał powrócić do nich później, za pozwoleniem papieża i arcybiskupa, sam zaś udał się w dalszą drogę.

Bez przygód dotarła wyprawa do Dymina (Demmin). Obywatele odbywali właśnie zgromadzenie przed bramami miasta, a gdy ujrzeli nadciągający zdala pochód, wzięli go za oddział nieprzyjacielski i rzucili się do domów po broń. Lutycy, których miasta i świętości zburzył niedawno przedtem cesarz Lotaryusz, grozili właśnie najściem na zachodnie Pomorze, zapewne dla zemśczenia się na Wracławie, który, jak się zdaje, był jego sprzymierzeńcem. Oczekiwano lada chwila odsieczy ze strony księcia pomorskiego. Nieporozumienie się wyjaśniło i poczęto już traktować z biskupem o przyjęciu nowej wiary, gdy zaszedł niespodziewany wypadek. Wojsko Wracławia nadciągnęło istotnie w dwóch oddziałach, z których jeden, jadąc wodą, przybył wbrew wszelkim przewidywaniom znacznie wcześniej. Przybywający drugi oddział wziął go za drużynę nieprzyjacielską i rozpoczęła się zażarta walka, nim się rzecz cała wyjaśniła. Wracław zaraz nazajutrz napadł obu oddziałami „buntowniczych“ Lutyków, niszcząc wszystko ogniem i mieczem. Pod wieczór powrócił obładowany zdobyczą. O jakimkolwiek oporze ze strony Lutyków kronikarze nie wspominają, była to więc prosta wyprawa rozbójnicza księcia pomorskiego. Tenże zaprosił najgościnniej Ottona do siebie na drugą stronę rzeki, na jego prośbę uwolnił słabszych jeńców, poczem wyprawiwszy cały tabor po rzece Penie, towarzyszył biskupowi lądem aż do Uznoimia. Czynności misyjne w Dyminie zostały odłożone.

Uznoim był już po większej części nawrócony przez duchownych, przybyłych podczas pierwszej podróży Ottona, reszty on sam dokonał. Miasto to stało się ogniskiem, z którego postanowiono działać na resztę tej części kraju. W tym celu Wracław, z polecenia biskupa, zwołał na dzień 22 maja 1127 r. wielkie zgromadzenie starszyzny wszystkich miast, położonych na zachód od rzeki Świni. Zebrali się, w odpo-

wiednio przystrojonej gontynie, „*principes regni, barones, capitanei et praefecti civitatum*“, starszyzna miejska oraz arcykapłani pogańscy <sup>1)</sup>. Po uroczystej przemowie Wracisława i długich debatach przystąpiono do głosowania i uchwalono jednomyślnie przyjęcie chrześcijaństwa, poczem wszyscy uczestnicy chrzest przyjęli.

Gdy się rozniosła wieść o sejmie uznoimskim, cały kraj podzielił się na dwa stronnictwa, z których jedno mówiło: „Tak jest dobrze“, drugie zaś: „Nie! odszczepieństwo dotknęło tylko starszyznę!“ W sąsiedniej Wołgoszczy (Wolgast), dokąd Otton zamierzał właśnie się udać, mieszkańcy, podburzeni przez jednego z kapłanów pogańskich, który — jak utrzymuje kronikarz — uciekł się aż do sfabrykowania cudu, poprzysięgli uroczyste zabić Ottona lub jakiegokolwiek jego wysłannika, gdyby przekroczył bramy miasta, jak również każdego ktoby mu dał przytułek.

Otton wysłał był właśnie dwóch swoich uczniów: Uodalryka i Alwina, który był tłumaczem misyi, do Wołgoszczy, gdzie uratowała im życie żona naczelnika miasta, rzeczy ich bowiem wysłała przez swoich ludzi, a ich samych ukryła w górnych komnatach przed wzburzonym tłumem, gdzie się doczekali przybycia Ottona i Wracisława na czele silnego oddziału wojska.

Innego kleryka z otoczenia Ottona, Ditrycha, spotkała również przygoda. Pod wieczór kilku młodych duchownych wyszło na miasto, żeby obejrzyć świątynie. Zjawienie się ich w miejscu publicznem wywołało niezadowolenie ludności, która im przypisywała złe zamiary. Widząc zbliżającą się gromadę uzbrojonych ludzi, przybysze zawrócili z drogi, Ditrych tylko zbyt się oddalił i ujrzał się odciętym u samych drzwi świątyni. Nie namyślając się, wpadł do wnętrza, szukając ukrycia lub broni. „Na ścianie wisiała tarcza nadzwyczajnej wielkości, pokryta złotą blachą, misterne dzieło sztuki; żaden śmiertelnik nie miał prawa jej dotknąć, posiadała bowiem w ich oczach jakieś tajemnicze właściwości, i tylko w czasie wojny mogła być z miejsca ruszona. Była ona poświęcona Gerowitowi, który w mowie łacińskiej zwie się Marsem, i miała zapewniać zwycięstwo, gdy w czasie bitwy była niesiona przed wojskiem“. Kleryk porwał tarczę, zarzucił sobie

---

<sup>1)</sup> Starszyzna miast pomorskich (*primores*) dzieliła się na patrycyuszów (*principes*) i na *majores natu*, zapewne przełożonych cechów.

rzemień na szyję, wybiegł ze świątyni i wpadł w sam środek tłumy. Ten rozstąpił się natychmiast i rzucił do ucieczki, Dietrych zaś, wydostawszy się na swobodę, porzucił tarczę i błady, bez tchu, schronił się do swoich. Oba te wypadki były przedmiotem śmiechu w orszaku biskupa i księcia, Otton jednak nawoływał do przeczności.

Dzieło nawracania poszło w szybkim tempie, zburzono świątynię, wzniesiono kościół, poczem Wracisław pożegnał biskupa, udając się do swoich zajęć. Widoczna była różnica w jego zachowaniu się teraz i podczas pierwszej misji Ottona: obecnie księżę widział w nim punkt oparcia dla swego własnego stanowiska i za jego pośrednictwem szukał zbliżenia z cesarzem Lotaryuszem. Po wyjeździe Wracisława przybył dawno oczekiwany biskup Wojciech, tłumacz przy pierwszej misji: widocznie unikał spotkania z księciem.

Z Wołgoszcy wyprawa udała się do Chożegowa (Gutzkow). Tam zastał Otton wszystko gotowe do przyjęcia chrześcijaństwa. O jedno tylko prosili mieszkańcy: żeby im pozwolono zachować główną świątynię. Była to budowla niezwyklej wielkości i piękności, ozdoba miasta, przedmiot dumy obywateli, wzniesiona niedawno wielkim nakładem 300 talentów (funtów). Otton nie zgodził się nawet zamienić ją na kościół i poświęcić, ale rozkazał ją zburzyć. „I w rzeczy samej — opowiada Ebbo — był to przyjemny widok patrzeć, jak posągi bożków zadziwiającej wielkości, nieprawdopodobnie pięknie rzeźbione, które zaledwie para wołów uciągnąć mogła, wleczono z obtłuczonymi rękami i nogami, wyklutymi oczami i utraconym nosem po spadzistości mostu na miejsce spalenia. Zwolennicy bożków przyglądali się temu i lamentując głośno, wołali, żeby spieszyć im na pomoc, a nieszczęsnych niszczycieli ojczyzny zrzucić z mostu”.

Po dokonaniem chrztu mężczyzn i kobiet biskup przystąpił do poświęcenia sanktuarium i ołtarza nowozałożonego wspaniałego kościoła, mającego zastąpić obywatelom zburzoną świątynię. W dzień poświęcenia, które miało być szczególnie uroczyste, wystąpił Otton z przemową do ludu, a następnie zwrócił się do księcia miasta, imieniem Mislawa (Mściława?), wzywając go, aby oczyścił swe serce i dał wolność jeńcom, których więził. Po długim ociąganiu się i objekcyach, że jeńcy „niewypowiedziane szkody mu zrzadzili i są winni wielu przestępstw“, zgodził się uwolnić zarówno pogan, jak i chrześcijan. Biskup dziękował ze łzami w oczach i chciał już przystąpić do poświęcenia ołtarza, gdy zauważono, że za-

podział się gdzieś przygotowany do ceremonii popiół (używana była do tego mieszanina soli, wina i popiołu). Posłano Uodalryka na poszukiwania. Trafił na podziemne mieszkanie, w którym spodziewał się znaleźć trochę popiołu, tymczasem zaledwie próg przestąpił, usłyszał jęk i ujrzał wyciągniętą z kraty żelaznej rękę. Zbliżył się i dostrzegł młodzieńca, okutego za szyję, pierś i nogi. Przywołał tłumacza Wojciecha: okazało się, że był to młody książę duński, którego Mislaw więził w charakterze zakładnika, za dług jego ojca, wynoszący 500 marek. Po radzie z Ottonem, który po tylu ustępstwach ze strony Mislawa, „na jakieby się nawet żaden książę w krajach niemieckich nie zgodził“, nie chciał interweniować, udali się Uodalryk z Wojciechem sami do księcia i przedstawili mu, że ceremonia została z woli Bożej przerwana skutkiem zatajenia tego faktu przez niego i zdrożnej chęci oszukania Chrystusa. Zdumiony Mislaw długo przedstawiał straty, jakie poniesie, gdy go jednak zapewnili, że „Pan posiada środki, aby mu je sownie wynagrodzić“, wzruszony zgodził się na uwolnienie młodzieńca, „wzywając Pana na świadka, że większej i cięższej dla swego serca ofiary nie mógłby ponieść“. Posłał natychmiast żołnierzy, ażeby rozkuli z kajdan młodego księcia, poczem ze łzami radości wszyscy przystąpili do dalszej ceremonii. Wkrótce potem powrócił Otton do Uznoimia.

Wtedyto przypadło mu w udziale trudne zadanie pośredniczenia między Pomorzanami a Bolesławem Krzywoustym, który ściągnął liczne wojsko i wypowiedział im wojnę z powodu, że nawet zmniejszonej daniny płacić nie chcieli, Szczecin zaś i Julin odpadły od wiary chrześcijańskiej. Otton udał się na ziemię polską do obozu Bolesława, sprowadził tam Wracisława i po dwóch dniach sporów doprowadził do zgody na dawnych zasadach. Jasną było rzeczą, że Wracisław szukał poparcia u cesarza Lotaryusza, a Bolesław przeniknął jego zamiary.

Lotaryusz nie spuszczał z oka krajów słowiańskich i gotów był w każdej chwili wmieszać się w ich sprawy, jak to był uczynił z Rugią, do której rościł pretensje w imieniu klasztoru w Corvey. W klasztorze tym mianowicie były czczone relikwie św. Wita, mnisi zaś powoływali się na dokumenty, według których Rugia miała należeć do św. Wita, a tego utożsamiali ze Światowitem. Podczas spotkania Lotaryusza z Ottonem na początku drugiej wyprawy niewątpliwie omawiano kwestye polityczne.

Nawrócenie Rugii stanowiło przedmiot gorących pragnień Ottona. Wyspa ta, położona o dzień drogi morskiej od Uznoimia, była twierdzą pogaństwa, zwłaszcza dzięki kultowi i wyroczni Światowita, stanowiła też ustawiczne niebezpieczeństwo dla świeżo nawróconych Pomorzan. Wyprawa do tego siedliska zapalczywych i surowych pogan równała się niechybnej niemal śmierci, to też trudno było znaleźć do takiej wyprawy ochotników. Wreszcie zdecydował się sięgnąć po palmę męczeńską Uodalryk razem z drugim młodym duchownym polskim, który miał być tłumaczem. Siła wyższa udaremniła wyprawę. Gwałtowna burza morska przypędziła stateczek z powrotem do brzegu, a następnie trwała jeszcze całych dni 7, więc biskup zdecydował, że Rugijczycy są niegodni światła Ewangelii.

Największą troskę Ottona stanowił Szczecin, który odpadł był od wiary, chciał więc jak najprędzej tam podążyć, ale, rzecz szczególna, żaden z duchownych nie miał odwagi mu towarzyszyć. Szczecina obawiano się bardziej jeszcze, niż Rugii. Wtedy Otton sam, bez niczyjej wiedzy, wymknął się nocą z pakunkiem na plecach i podążył do najbliższej przystani. Rzucono się za nim konno i pieszo, z Uodalrykiem i Wojciechem na czele, dopędzono go, gdy już miał wsiadać na statek, i skłoniono do powrotu zapewnieniami, że nazajutrz wszyscy towarzyszyć mu będą. Tak się też stało.

Biskup ze swoimi nie przekroczył odrazu bram Szczecina, lecz zatrzymał się przed miastem, w kościele św. Piotra. Przybycie jego wywołało wielkie wzburzenie. Pod wieczór zjawił się uzbrojony tłum i groził zburzeniem kościoła, a jemu — śmiercią. Biskup nie uląkł się pogroźek, wystąpił w szatach kapłańskich w otoczeniu księży i zaintonował psalmy. Śpiew w takiej porze i w tych warunkach tak po-działał na tłum, że ten się uspokoił i powoli rozproszył.

W Szczecinie na czele mniejszości chrześcijańskiej stał wzmiankowany już Wiczak. Podjął się on wprowadzić do miasta, nazajutrz w niedzielę, biskupa razem z wybraną asystą. Po drodze pokazał mu zawieszony przez siebie u bramy miejskiej stateczek, którym się był z niewoli duńskiej wyratował. Śród gęstych tłumów udał się biskup na rynek, gdzie stały wysokie mównice na podmurowaniu, z których heroldowie i przedstawiciele władz zwykli byli przemawiać do ludu, wszedł na jedną z nich i rozpoczął kazanie. Przerwał mu je kapłan pogański, „wysoki, dobrze odżywiany mężczyzna, uzbrojony w lancę, jak wszyscy zresztą obywatele, wzo-

rem rzymskich kwiryków<sup>1)</sup>; wezwał on obecnych w gorącej przemowie do uderzenia lancami w biskupa. Urok atoli Ottona w oczach ludu był zbyt wielki, to też — jak się wyraża Herbord — „ręce im stężały i żaden nie mógł się ruszyć”. Otton, za radą Wojciecha, której zawsze słuchał, przerwał tę chwilę duchowego napięcia błogosławieństwem i modlitwą, poczem rozpuścił zgromadzenie. Przez 14 dni trwało nieokreślone położenie, przy którym zarówno biskup, jak i jego pomocnicy, swobodnie chodzili po mieście; wreszcie zgodzono się na ogólne zebranie patrycyuszów, które miało ostateczną i nieodwołalną powziąć decyzję. Wypadła ona pomyślnie, ale dopiero pod naciskiem klątwy, którą Otton zagroził miastu. Mieszkańcy, posiadający rozległe stosunki handlowe, wiedzieli dobrze, że obłożenie ich klątwą grozi zerwaniem tych stosunków ze wszystkimi narodami chrześcijańskimi, że postawiłoby ich w gorszym położeniu, niż gdyby nigdy nowej wiary nie byli przyjmowali. Niemało przyczynił się tu również wpływ Wiczaka.

„Z politycznego punktu widzenia — jak się wyraża prof. Sieniawski — zwycięstwo Ottona było zwycięstwem nowego kierunku postępowo - chrześcijańsko - kosmopolitycznego nad zachowawczo - pogańsko - narodowym”. Ostateczne nawrócenie Szczecina pociągnęło za sobą z natury rzeczy dążenie do naprawienia stosunku tego miasta do księcia Wracisława; pośrednikiem i rozjemcą był znowu Otton. Po drodze do rezydencji księcia wstąpił biskup do Julina, gdzie już żadnego nie spotkał oporu, mieszkańcy bowiem zawsze szli za przykładem Szczecina. Przyjęty wspaniale, razem z posłami, w rezydencji księcia w Kamieniu, Otton doprowadził szybko porozumienie do skutku.

Umysł jego zaprzętała wciąż troska o Rugię.<sup>1)</sup> Gdy potężni i dumni wyspiarze dowiedzieli się o ostatecznym już nawróceniu Szczecina, bez ich wiedzy i rady, zerwali z nim przymierze, przerwali wszelkie stosunki handlowe, a wreszcie wypowiedzieli wojnę: przewieźli na swych statkach wojennych wielką liczbę wojska, zamknęli ujście rzeki i uderzyli na Szczecin. Miasto po trzykroć odparło atak, za ostatnim razem tak skutecznie, że mogło dyktować warunki pokoju (wrzesień 1127 r.).

---

<sup>1)</sup> Kronikarze zwą ją *insula Verania*, mieszkańców nazywano *Rujani*, *Rjani*, *Runi*, *Vrani* (stąd *Verania*), a nawet u Pomorzan — *Rutheni*.



Otton nie chciał przedsięwziąć na własną rękę wyprawy na Rugię, ponieważ dowiedział się, że bywali tam już kaznodzieje duńscy, z niewielkim zresztą powodzeniem, a nadto wyspa, jako położona w sąsiedztwie Danii, podlegała tamtejszemu arcybiskupowi, nawet na podstawie sankcji papieskiej. Wyprawił więc posłów, z wiernym swoim pomocnikiem Iwonem na czele, do arcybiskupa duńskiego. Godność tę piastował wówczas Aceryusz z Lundu. Sefridus tak się wyraża o nim i o Duńczykach: „Był to prosty, dobry człowiek, rozległej wiedzy i wielkiej pobożności, z powierzchowności jednak wyglądał na słowiańskiego chłopca. Ludzie bowiem tacy są w tym kraju, że przy największym dobrobycie, nawet bogactwie, wskutek powszechnej surowości życia, wydają się nieoświeceni i nieokrzescani. Miasta są tam bez murów i wież, obwarowane jedynie drzewem i rowami. Kościoły i domy możnych są niskie i nędznego widoku, w jedzeniu i odzieży nie spotyka się ani wykwintu, ani zbytku. To też ci z pomiędzy nas, którzy zaledwie środek trzymali, w porównaniu z nimi wyglądali wspaniale”. Arcybiskup gorąco przyjął posłów, ale nie dał im żadnej wyraźnej odpowiedzi, odkładając ją do czasu naradzenia się z książętami i panami duńskimi, odjechali więc z niczem, wioząc z sobą tylko, jako dar, dużą łódź naładowaną masłem. Wyprawa na Rugię została zaniechana, aczkolwiek nie była niewątpliwie tak niebezpieczna, jak sobie wyobrażano. W roku 1168, po upadku Arkony, mieszkańcy Rugii okazali niezmiernie słaby opór chrześcijaństwu.

W czasie, kiedy Otton oczekiwał na odpowiedź arcybiskupa, przybyły do niego poselstwa dworu biskupiego w Bambergu, jak również cesarza Lotaryusza, wzywając go w sposób stanowczy, a nawet natarczywy, do powrotu. Wpłynęły na to, zdaje się, względy, wywołane walką Lotaryusza z Konradem Hohenstaufenem. Otton obrał tę samą, co poprzednio, drogę na Polskę i Czechy i gościł raz jeszcze na dworze Bolesława, poczem powrócił do Bambergu, gdzie zmarł w dziesięć lat potem, dnia 30 czerwca 1139 r.

\* \* \*

Biskup Otton nawet po śmierci był opiekunem Pomorza. Gdy w roku 1148 armia 60,000 Krzyżaków pod wodzą Albrechta Niedźwiedzia, Konrada z Miśni i biskupa Anzelma z Hawelberga nadciągnęła tą samą drogą, którą Otton przy-

był w swej drugiej misji, przez Dymin aż do bram Szczecina, żadna zdobycz i licząca na to, że znajdzie tam jeszcze pogan wśród mieszkańców, ci wystawili obrazy święte i krzyże na wałach miasta i powoływali się na swego ojca Ottona. Jako przeciwwaga nadciągnęło silne wojsko polskie, które zajęło postawę wyczekującą. Po długich układach z księciem Raciborzem, który rządził Pomorzem w imieniu zmarłego (1136 r.) brata Wracisława, Krzyżacy dali się nakłonić do odwrotu. Natomiast opór Lutyków, Obotrytów i Wagrów został utopiony w potokach krwi.

Wślad za przyjęciem chrześcijaństwa nastąpiła na Pomorzu szybka zagłada narodowości słowiańskiej i przejście do niemczyzny. Moźni poprzedzili lud w tym względzie. Razem z tryumfem „niemieckiego Boga” upadały mowa, obyczaje i prawa ojców. Dwór książęcy wzorował się na dworach niemieckich, a nowe urzędy dworskie obsadzano młodą, pozbawioną ziemi szlachtą niemiecką. Małżeństwa mieszane germanizowały znaczniejsze rody pomorskie, tak samo kolonizacja chłopów niemieckich — lud, a całe zastępy napływających kupców i rzemieślników — mieszczaństwo. Założono mnóstwo klasztorów i bogato je uposażono, zakony wzięły w rękę wychowanie młodzieży. W roku 1243 w prowadza książę Barnim do Szczecina prawo magdeburskie i znosi tem samem stare słowiańskie prawo miejskie; wkrótce potem Szczecin wchodzi do Związku Hanzeatyckiego.

Zbliżenie się Pomorza do książęcego domu polskiego było wykluczone ze względu na dawne doznane klęski i później jeszcze ciągnące się walki; zresztą po śmierci Bolesława wszczęły się w Polsce zamieszki i rozterki, które pograżyły ją w stan upadku, tak iż sama cała prowincye zmuszona była oddać na pastwę wynarodowienia. „Utrata zwierzchnictwa nad Pomorzem — dodaje prof. Sieniawski, — nad krajem Lutyków i Rugią, a wskutek tego utrata wybrzeży morskich i ujścia Odry z jego przystanią dla budowy okrętów i składu towarów, — wywarła fatalny wpływ na dzieje Polski i na całą jej przyszłość”.

„Wprowadzenie chrześcijaństwa na Pomorzu również zadało cios pogańsko-słowiańskiej kulturze. A była to kultura oryginalna i jedyna w swoim rodzaju. Prof. Jacobi nie odważy się nawet w przybliżeniu oznaczyć jej wieku, gdy tymczasem osiedlenie się Słowian w dorzeczu Łaby przenosi co najmniej na 2000 lat wstecz. Stamtąd rozpostarli się oni przez Holsztyn aż do Oldenburgii, gdzie po dziś dzień spo-

tyka się najlepiej zachowane ślady wsi słowiańskich (okrągłaki). Wszędzie powstawały miasta i dochodziły do wysokiego stopnia rozkwitu. Źródło ich dobrobytu stanowił przede wszystkim szeroko rozgałęziony handel; zawczasu już docierał on aż do wybrzeży Wielkiej Brytanii, w której jeszcze za czasów wtargnięcia Anglów i Sasów osiedli liczni wojownicy słowiańscy, a później zostali wzmocnieni przez słowiańskie orszaki wodzów duńskich (Wiltshire). Kanut Wielki jest synem Świętosławy (po duńsku Sigrida Storrada), siostry Bolesława Chrobrego. — W ten to sposób W. Scott, w swym słynnym romansie *Ivanhoe*, mógł kazać czarownicy wywoływać na angielskiej ziemi słowiańskie bóstwa (Czer-nobog). Funt szterling (od *Osterling*) można bez obawy wyprowadzić od słowiańskiej monety. Kupców bowiem niemieckich, wędrujących po morzach, nie było na wybrzeżach morza Bałtyckiego (*Ostsee*) przed podbojem Słowian, kupców zaś zachodnich, którzy od Renu jeździli do Anglii, nazywano kupcami cesarskimi, nie zaś Osterlingami. — Od wybrzeży Bałtyku szła droga handlowa na zachód, do Brunświku, skąd rozgałęziała się na Kolonię — Moguncję i na Regensburg. Taką kupiecką karawanę słowiańską, ciągnącą po drodze *Antzanweg* (Antami zwano jedną z głównych gałęzi Słowian), prowadząc do Mognucyi, spotkał Sturmi, uczeń św. Bonifacego, szukając odpowiedniego na klasztor miejsca, a spotkał ją tam, gdzie założono Fuldę. Starobawarskie prawa ustanawiają dodatek 10,6 do poborów celnych, które mieli ui-szczać Słowianie, przybywający z Rugii i innych miejsc. — W upartych walkach z chrystyanizmem od czasów Karola Wielkiego większa część osad zachodnich upadła w gruzy, rozległe obszary zostały ujarzmione, a ludność słowiańska coraz bardziej przyparta do brzegów morskich. Wprawdzie stał jeszcze, przed i po nawróceniu Pomorza, niepokonany kraj Wagrów w swych granicach od południowo-wschodniego Holsztynu aż poza Lubekę; jeszcze walczył Niklot, książkę Obodrytów, za wolność i niepodległość swego walecznego ludu, również Lutycy, aczkolwiek osłabieni, trwali w zaciętym oporze. Atoli wkrótce uległy wszystkie te ludy pod nawałą niezliczonych zastępów krzyżackich, a do reszty — pod ciężarem planowych napadów hrabiego Adolfa z Holsztynu, Henryka Lwa i Albrechta Niedźwiedzia w sojuszu z Duńczykami. — A pomimo to kultura słowiańska nie została zniszczona: wpłynęła ona do większego i szerszego łożyska chrześcijańsko-niemieckiej twórczości, na którą dalej wywie-

rała wpływ zapładniający. W szczególności dostarczyły kraje nadmorskie stanu kupieckiego o światowym doświadczeniu i najdobrorowszego materiału obeznanych z morzem marynarzy, do tego stopnia, że Henryk Lew zmusił Danię do zawarcia pokoju, przez to tylko, że rzucił na nią zdobywcze i łupieskie wyprawy „swoich Słowian”. Stąd zjawisko imponujące, że tak niespodziewanie szybko i potężnie rozwijający się Związek Hanzy, na wendyjskim gruncie, pod wodzą słowiańskiej Lubeki wyrosły, królom później stawiał czoło. Rozkwit Lubeki, jako miasta niemieckiego, poczyną się dopiero za Henryka Lwa w r. 1160, zwłaszcza gdy w niewiele lat potem kupcy ze zburzonego przez Duńczyków Julina tam się przenieśli. A jeśli w podręcznikach historii czytamy, że „kupcy z Lubeki” założyli w 1128 r. szpital *ad S. Mariam* w Akkonie, z którego później wyszedł zakon niemiecki, to pozwolę sobie zauważyć, że w owych czasach — i jeszcze przez jedno pokolenie później — Lubeka była miastem słowiańskim, i to słowiańsko-chrześcijańskim miastem Wagrów, których król — Henryk, następca Krutona († 1127 r.), położył wielkie zasługi około krzewienia religii chrześcijańskiej. — W roku 1168 pada dumny posąg Światowita w Arkonie pod uderzeniem siekiery biskupa Absalona z Roeskildu, a z nim rozpadła się w gruzy ostatnia placówka kultury pogańsko-słowiańskiej. Ludność słowiańska zlała się rychło z niemieckimi osadnikami, w większości dolnoniemieckiego pochodzenia, a mieszanina ta wydała niepożyte i rzetelne plemię dzisiejszych swych potomków, wśród których jakiś Jarmer i Nettmer, Ubisch i Tetzeli i t. p. nawet nie podejrzewają, że nazwiska ich przodków brzmiały niegdyś: Jaromir i Niedamir, Ubysław i Tetysław. Zresztą spotyka się dziś wszędzie w ziemiach nadbałtyckich, a w szczególności na Pomorzu, uprzejmych i uprzedzających ludzi, a co najważniejsza — cechy te płyną z serca”.

„Dalszy rozwój życia duchowego w następnych stuleciach po Ottonie jest oryginalny i z punktu widzenia psychologii społecznej nader ciekawy; przejawia się on w tym fakcie, że protestantyzm w Niemczech zdobył sobie podstawę na starosłowiańskim gruncie, na tym samym gruncie, na którym miało wyrósć nowe niemieckie mocarstwo”.

---

## PRZEGLĄD SPRAW POLSKICH.

---

(Polacy wobec wypadków bałkańskich. — Nieme wiece. — W Sejmie galicyjskim.)

Wypadki bałkańskie, które zaabsorbowały uwagę opinii politycznej w Europie, nie mogą być oczywiście obojętne dla ogółu polskiego. Dotykają one bezpośrednio interesów trzech państw: Rosyi, Austrii i Niemiec, których stosunki wzajemne, zarówno jak siła i znaczenie polityczne, odbijają się bezpośrednio na losach naszych. Ocena tych wypadków ze stanowiska naszych interesów narodowych nie jest tak łatwa, zwłaszcza w obecnej chwili, gdy bilans przewrotu nie jest bynajmniej podsumowany.

Nie potrzeba chyba dowodzić, że jedynym kryterium, którem powodować się możemy w ocenie tych wypadków, jest nasz interes narodowy. Stosowanie do wypadków bałkańskich kryterium „sprawiedliwości” abstrakcyjnej, jak to uczyniła warszawska prasa postępową, prowadzi jedynie do zabawnych nieporozumień. Dość powiedzieć, że oburzenie naszej prasy postępowej na „zaborczość” Austrii i ubolewanie nad losem Turcyi, który porównywano do losów Polski, zlewały się w zgodny chór z głosami nacyonalistycznej prasy rosyjskiej. By nie psuć sobie szyków w kierowaniu się doktryną „sprawiedliwości”, postępowcy nasi przemilczeli fakt pierwszorzędного znaczenia, że aneksya Bośni i Hercegowiny popsuła stosunki między Austrią a Niemcami, — a jest to fakt niezmiernie ważny i pożądaný z naszego stanowiska narodowego.

Apolityczność postępowców naszych ujawnił się w całej pełni przy ocenie wypadków, o których mowa. Kierując się — w przekonaniu własnem — zasadami „sprawiedliwości bezwzględnej”, postępowcy nasi nie spostrzegli się, że ulegają poprostu hypnozie nacyonalizmu rosyjskiego. Dla ludzi, którzy z pod wpływu tych sugestyi uwolnić się byli zdolni, aby przewrót.

na półwyspie Bałkańskim osądzić z naszego stanowiska narodowego, rzecz przedstawia się inaczej.

Zarówno ze stanowiska moralnego, jak i politycznego, musimy widzieć fakt dodatni w osiągnięciu przez Bułgaryę samoistności, w potarganiu słabych zresztą, czysto formalnych węzłów, które łączyły to państwo z sułtanem. Zdobycie niepodległości przez jeden z narodów słowiańskich samo przez się musi być dla nas sympatyczne, a na tę sympatyę naród bułgarski zasługuje w zupełności, skoro—podług jednoznacznego świadectwa znawców Blizkiego Wschodu—ze wszystkich ludów słowiańskich posiada najwięcej energii i zmysłu organizacyjnego, a tem samem najwięcej warunków do wytworzenia zdrowego i samodzielnego politycznego organizmu; państwo zaś takie może stać się pożądaną tamą przeciw ekspansyi niemieckiej w kierunku Bałkanów. Jeśli opinia rosyjska, pomimo swego „słowianofilstwa“, nie odrazu pogodziła się z postępowaniem Bułgaryi, a nawet w gruncie rzeczy nie pogodziła się z niem dotychczas, charakteryzuje to jedynie szczerść jej uczuć słowiańskich. Byłoby jednak rzeczą co najmniej dziwną, gdyby Polacy martwili się z powodu naruszenia przez Bułgaryę traktatu berlińskiego, albo z tego powodu, że Bułgaria ogłosiła się królestwem niepodległym, nie pytając o pozwolenie p. Izwolskiego.

Rzeczą nierównie bardziej skomplikowaną jest aneksya przez Austryę Bośni i Hercegowiny. Niewątpliwie fakt ten byłby niepożądany, gdyby miał być wstępem do rozbioru Turcyi. Nie dla sentymentalnych względów analogii z losami Polski musielibyśmy rozbiór Turcyi uważać za niepożądany, lecz dlatego, że odradzająca się pod rządami konstytucyjnymi Turcyja może się stać czynnikiem dodatnim w stosunkach politycznych Europy, przedewszystkiem jako skuteczna zaporę przeciw rozszerzaniu się wpływów państwa Niemieckiego na półwysep Bałkański i Azyę Mniejszą. Tak się zapatrują na rolę Turcyi Anglia i Francya, tem się tłumaczy oburzenie opinii angielskiej i francuskiej na postępek Austrii. Atoli znaczenie tego kroku zmienia się, jeśli aneksya Bośni i Hercegowiny nie pociągnie za sobą rozbioru Turcyi. Aneksya ta nie uszczupla właściwie tureckiego „stanu posiadania“ gdyż prowincye anektowane od lat 30-tu tylko nominalnie należały do Turcyi — obecnie przeto Turcyja poniosła stratę raczej moralną, niż materyalną. Zachodzi pytanie: jak się odbije ten fakt na losach Austrii? Wcielenie nowej prowincyi niewątpliwie wzmacnia mocarstwowe stanowisko tego państwa, pro-

wadzi je więc do większej samodzielności na polu polityki międzynarodowej. Dotychczas na polu tem Austria była biernym narzędziem polityki pruskiej. Aneksya Bośni i Hercegowiny jest pierwszym od lat wielu samodzielnym krokiem politycznym Austrii, jest zarazem dla Prus „pierwszem ostrzeżeniem“, że Austria z pod ich wpływu może się wyemancypować. Łatwo więc zrozumieć, dlaczego nawet półurzędowa prasa niemiecka nie szczędziła Austrii z powodu aneksyi cierpkich wymówek. Pomijając już bowiem okoliczność, że krok Austrii naraził Niemcy i wobec Turcyi i wobec opinii europejskiej, gdyż w przemożnym wpływie Niemiec dopatrywano się sprężyny popychającej Austryę, mogła Niemcom obecnie ukazać się perspektywa takiej przyszłości, w której Austria, wyzwolona z pod ich wpływów, nie będzie przewodnikiem tychże wpływów na półwyspie Bałkańskim, lecz przeciwnie, zajmąwszy tam stanowisko dominujące, przeciwstawi się ekspansyi Niemiec w tym kierunku. Moment taki byłby zarazem momentem ostatecznego rozbicia się trójprzymierza i wejścia Austrii w system polityki angielsko-francuskiej, czego potrzebę wskazywał dr. Głębiński w delegacyach, mówiąc o niewłaściwości i szkodliwości dla Austrii jej związku politycznego z Prusami. O ile zaś Austria wyemancypuje się z pod przewagi Prus, musi wzrastać rola polityczna Polaków w tem państwie. Znaczenie żywiołu polskiego w Austrii wzrosło w obecnej chwili już przez to, że aneksya Bośni i Hercegowiny stała się przyczyną naprężenia stosunków między Rosyą a Austryą. Tem się da w znacznej mierze wytłumaczyć spokojne zachowanie się „Ukraińców“ podczas bieżącej sesyi sejmowej. Widzą oni, że w swej nałogowej walce z Polakami nie mogliby liczyć na poparcie rządu wiedeńskiego, któremu w obecnej chwili wiele zależy na dobrych z Polakami stosunkach. Uznanie przez Polaków w delegacyach austriacko-węgierskich faktu aneksyi Bośni i Hercegowiny było tem konieczniejsze, że zarówno dr. Kramarz w imieniu Czechów, jak dr. Sustersicz w imieniu Słowiańców, nietylko nie oponowali przeciwko aneksyi, lecz nawet wyrazili z tego powodu zadowolenie, i tylko wpływ miarkujący Polaków powstrzymał ich od zaimprovizowania manifestacyi wszechsłowiańskiej, wyrażającej zadowolenie z powodu wzmocnienia żywiołu słowiańskiego w państwie. Aprobując aneksyę, Polacy z jednej strony udzielili koniecznego poparcia państwu, a z drugiej — byli w zupełnej zgodzie z opinią i widokami ludów słowiańskich Austrii.



Jeżeli warszawska prasa postępową nie uznaje motywów i celów postępowania Koła Polskiego w Parlamencie austriackim i oburza się na stanowisko, zajęte przez polskich członków delegacji austriacko-węgierskich, — można to sobie wytłumaczyć tylko zanikiem zmysłu politycznego w obozie, którego ta prasa jest wyrazicielem.

Z powodu wzmiankowanego stanowiska delegatów polskich należy zauważyć, że prezes Koła Polskiego, dr. Stanisław Głabiński, wypowiedział swój pogląd na sprawę aneksji w formie bardzo powściągliwej. Politycy dawnego, „stańczykowskiego” autoramentu skorzystaliby niewątpliwie ze sposobności, aby dać ujście wylewom lojalistycznym. Nic podobnego nie zawierało przemówienie Głabińskiego. Uwydatniła się w niem subtelna, ale ważna ze stanowiska naszej godności narodowej różnica między dzisiejszą polityką polską w Austrii a polityką dawną, kierowaną przez konserwatystów.

\* \* \*

Pouczający przykład przystosowania się do najgorszych nawet warunków politycznych dają Polacy w zaborze Pruski. W Westfalii i prowincyi Nadreńskiej, gdzie nowe prawo o zgromadzeniach pozbawiło wychodźców polskich możliwości przemawiania w języku ojczystym na zgromadzeniach publicznych, odbywają się obecnie wiece... nieme. Wiecownicy, zgromadzeni w sali, otrzymują drukowane przemówienia, które nie mogą być wygłoszone. Rezolucye, podlegające uchwale, wypisuje się wielkimi literami na tablicy. Gdy obecni zapoznają się z treścią przemówień i rezolucyi, uchwalają je w milczeniu, przez powstanie z miejsc. Wiec kończy się odśpiewaniem przez zebranych jakiejś pieśni narodowej lub religijnej, ustawa bowiem pruska, zabraniająca przemawiać po polsku na zgromadzeniach publicznych, nie mówi nic o śpiewach, — z tego więc wychodzą polscy umieli skorzystać. Odbyły się już dwa takie wiece.

Wiece „nieme” mogą być środkiem porozumienia się uczestników w takich tylko sprawach, które nie wywołują dyskusji i różnicy zdań wśród zgromadzonych. Mają one przede wszystkim znaczenie manifestacji politycznych, któremi niewątpliwie zainteresuje się opinia europejska, już choćby ze względu na ich niezwykłość.

\* \* \*

Sejm galicyjski nie przystąpił jeszcze do obrad nad najważniejszą sprawą, dla której się zebrał: nad sprawą reformy wyborczej. Rozwiązanie Sejmu czeskiego, spowodowane obstrukcją Niemców, i częściowe przesilenie w gabinecie bar. Becka — są okolicznością pomyślną dla Sejmu galicyjskiego, przedłużając czas trwania jego sesyi. Przypuszczać należy, że wiedeńska Rada Państwa nie zbierze się wcześniej, niż w końcu listopada, — aż do tego więc czasu sesye Sejmu galicyjskiego trwać będą mogły, jeśli wypadki nieprzewidziane (np. wojna Austrii z Serbią) nie pociągną za sobą zawieszenia prac ustawodawczych. Z widoków długotrwałości sesyi sejmowych korzystają konserwatyści dla odwlekania sprawy reformy wyborczej, starają się bowiem o to, żeby zatrudniać Sejm sprawami drugorzędnymi. Konserwatyści galicyjscy, którzy skutkiem zachwiania swych wpływów stracili zupełnie busolę kierowniczą, nie mogą się zdecydować na żaden krok stanowczy, Sejm zaś nie posiada żadnej wyraźnej większości, któraby wolę swą konserwatystom narzucić mogła. Lewica sejmowa, która liczebnie równoważy niemal konserwatystów, składa się z żywiołów zbyt rozbieżnych, aby te mogły zaważyć stanowczo na szali działalności Sejmu, tembardziej, że ludowcy w większości przypadków nie poczuwają się do solidarności z opozycją i idą z konserwatystami. Dotychczas więc trudno przewidywać losy reformy wyborczej.

Oprócz projektów, które wnieśli Rusini (osobno moskalofile, osobno „Ukraińcy“) wniesiony również został projekt reformy i przez demokrację polską. Projekt ten opiera się na podstawie powszechnego prawa wyborczego z fakultatywnem uwzględnieniem katastru narodowego.

*A. Sadzewicz.*

---

## PRZEGLĄD POLITYKI ZAGRANICZNEJ.

---

(Niezawisłość Bułgaryi. — Aneksya Bośni. — Kongres bałkański.)

Analogie między rozbiorem odradzającej się Polski a losem ogarniętej prądem reformatorskim Turcyi nasuwają się mimowoli. Analogie te są tylko o tyle słuszne, że niespodziewane przerwanie procesu rozkładowego państwa Otomańskiego pokrzyżowało plany polityczne wielu państw eu-

ropejskich i wywołało próby częściowej likwidacji Turcyi. Przepowiednie jednak zniknięcia Turcyi—przynajmniej z mapy Europy — byłyby śmiałą fantazją polityczną, bynajmniej nie usprawiedliwioną realnymi stosunkami. Zbyt wielu jest potężnych i słabszych amatorów łupu, by się wszyscy zgodnie podzielić zdołali. Problem turecki mógłby być rozwiązany tylko przez powszechną wojnę europejską, przed którą cofają się mocarstwa współczesne. „Kwestya wschodnia” posiada w sobie tyle drażliwych punktów, że każde jej poruszenie grozi widmem zawikłań wojennych. W ostatnich czasach przeżyła Europa trwożne chwile oczekiwania; zdawało się, że lađa godzina karabiny same strzelać zaczną. Niebezpieczeństwo pożaru na Bałkanach, który bardzo trudno dałby się tam umiejscowić, usunięte jeszcze nie zostało i dyplomaci europejscy nie śpią jeszcze spokojnie. Nie prędko zapewne pograżyć się będą mogli w *dolce far niente*.

Zachwiane zostały ustalone stosunki między państwami, nastąpiło „przewartościowanie” przyjaźni i porozumień, może dojść nawet do odwrócenia dotychczasowych przymierzy. Nietrwałość tworów międzynarodowych ujawniła się w całej pełni.

Żadne z państw nie miało tylu gorliwych przyjaciół, prześcigających się w okazywaniu przychylności, jak konstytucyjna Turcja. Podczas międzynarodowego wyścigu dyplomatów o względy nowego, przecenianego, być może, czynnika politycznego, na Turcyi omal nie sprawdziło się przysłowie: Wśród najlepszych przyjaciół psy zająca zjadły. Powaga Młodoturków, którzy na razie mogli być dumni ze wszechstronnych sympatyj Europy, szybko zmaleć musiała, gdyż niedaleki był wniosek, że w okresie absolutyzmu, korupcyi i nadużyć, rozbiór posiadłości Otomańskich odbywał się przynajmniej w daleko powolniejszym tempie. Powodzenie akcji reformatorskiej Młodoturków zaopatrzyć trzeba na przyszłość w wielki znak zapytania. Pod wpływem niepowodzeń w łonie „Komitetu Jedności i Postępu” i podwładnych mu organizacyi, odczuwać się daje brak jedności i koordynacyi; przebudzone raptownie masy przestają wierzyć w szczęśliwą gwiazdę Młodoturków i wpadają w dawną apatię. Hołdujących fatalizmowi Turków mogłaby z niego wyrwać tylko wojna z niewiernymi. Pchają ku niej podnoszące znów głowę żywioły reakcyjne, którym ostatnie wypadki napędziły zwolenników; w Azji Mniejszej szerzy się ruch przeciwkonstytucyjny, a podczas okresu przedwyborczego docho-

dzi do ostrych nieporozumień między ludnością mahometańską a chrześcijańską, niweczających harmonię narodowościową pierwszych chwil entuzjazmu wolnościowego. Młodoturcy mogą być do rozpoczęcia kroków zmuszeni prowokacją zewnątrz; będą musieli zgodzić się na nią, jeżeli w przeciwnym razie grozić im będzie zmiecenie z widowni politycznej przez wyprowadzoną z równowagi opinię narodową. Turcyja przygotowuje się do ewentualnej walki z Bułgarią, ale rząd rozumie, że nawet zwycięska wojna nie dałaby realnych zdobyczy, gdyż o wcieleniu z powrotem Bułgarii do państwa Otomańskiego nie może być mowy, wojna zaś przegrana narażałaby samo istnienie Turcyi w Europie na szwank poważny. Rewolucya turecka, aczkolwiek pokojowa, ale dokonana przez armię, rozluźniła zupełnie dyscyplinę wojskową, tak, że władze wojskowe czują, iż armia turecka jest chwilowo zdezorganizowana i do wojny niezdolna, podobnie jak administracya turecka została zdezorganizowana przez faktyczne rządy tajnych komitetów.

Od Turcyi oderwano ostatecznie te części jej terytorjum, które faktycznie już od dłuższego czasu przestały do niej należeć. W obawie, że nowy Parlament turecki, przesiąknięty tendencyami narodowo-państwowemi, zapragnie rewindykować swe prawa do prowincyi, które prawnie pozostawały jeszcze pod władzą zwierzchniczą sułtana, pośpieszyły państwa najbardziej zainteresowane położyć kres niewyraźnym sytuacyom, zrywając wszelkie formalne węzły, które jeszcze łączyły te kraje z Wysoką Portą.

Nie ulega wątpliwości, że Austro-Węgry, wbrew urzędowym zaprzeczeniom, działały w ścisłym porozumieniu z Bułgarią. Księżę Ferdynand w chwili, gdy Turcyja, przez wyłączenie bułgarskiego agenta dyplomatycznego z liczby przedstawicieli państw, podkreśliła swój stosunek zwierzchniczy do lennego księstwa, a Bułgarya w odpowiedzi na to zagarnęła rumelijską gałąź kolei Wschodniej, stanowiącej własność turecką,—był przyjmowany w Budapeszcie przez cesarza Franciszka Józefa z honorami, przynależnymi udziałnemu monarsze. Bezpośrednio po powrocie z Austro-Węgier ogłosił się Ferdynand „na żądanie narodu” carem bułgarskim, a nazajutrz opublikowana została aneksya Bośni i Hercegowiny przez cesarza Franciszka Józefa.

Wkrótce potem Kreteńczycy, nie po raz pierwszy zresztą, uchwalili przyłączenie Krety do Grecyi; oczekiwano, że za jej przykładem pójdzie Samos i inne zamieszkane przez

ludność grecką wyspy Archipelagu. Podejrzewano, że Anglia zdecyduje się na aneksję Egiptu. Zaczęły się ujawniać dawno tajone apetyty. Jeszcze przed krokiem Austrii błakały się w prasie plotki o zamiarze dokonania zgodnego podziału Turcyi przez wszystkie mocarstwa, przy którym Austrii przypaść miała w udziale Salonika, Niemcom — Azya Mniejsza, Włochom zaś Trypolis lub Albania. Dla Anglii jednak zachowanie świeżo odzyskanej przyjaźni Turcyi ze względu na miliony brytańskich poddanych mahometan było rzeczą ważniejszą od nietrwałych terytoryalnych zdobyczy. Wystąpiła więc z całą energią po stronie Turcyi i w obronie nienaruszalności traktatu berlińskiego z r. 1878, poparta przez tradycyjnego obrońcę nietykalności tureckiej — Francję.

Ogłoszenie niepodległości Bułgaryi było właściwie ustaleniem prawem faktycznego stanu rzeczy. Bułgarya była *de nomine* księstwem lennem, a nawet jej połowa — Rumelia Wschodnia — autonomiczną prowincją turecką, zarządzaną przez mianowanego przez sułtana chrześcijańskiego gubernatora, którego urząd sprawował za zgodą Porty książę Ferdynand koburski. W rzeczywistości zaś była Bułgarya państwem zupełnie niezawisłym ze wszystkimi jego atrybutami: prowadziła na własną rękę wojnę z Serbią, miała swych przedstawicieli dyplomatycznych przy dworach europejskich i na konferencyach międzynarodowych, zawierała traktaty handlowe i umowy międzynarodowe; z chwilą faktycznego przyłączenia Rumelii Wschodniej do Bułgaryi upadły nawet same przez się t. zw. kapitulacye, przyznające konsulom państw obcych w Turcyi władzę sądową nad obywatelami swych państw. Bułgarzy, posiadający, może wskutek znacznej domieszki krwi obcej, więcej od innych Słowian zdolności państwowo twórczych, są w polityce bardzo trzeźwymi realistami i dość chłodno zapatrywali się na swą fikcyjną zależność, która dawała im poważne korzyści: wolną od cel granicę, egzarchę bułgarskiego w Konstantynopolu, sprawującego władzę nad wszystkimi Bułgarami w całym państwie Otomańskim, a popierającego cele narodowe, łatwiejszą wreszcie agitację i działalność w Macedonii. Przewrót turecki rozwiewał marzenia macedońskie, a nietakt Młodo Turków, pomimo scen bratania się, uraził dumę narodową Bułgarów. Ale ogłoszenie niezawisłości Bułgaryi było przede wszystkim dziełem ambitnego Koburga, który od szeregu lat bezskutecznie starał się o zgodę mocarstw na przyjęcie tytułu królewskiego. Podobnie jak wtedy, gdy objąwszy władzę po

wypędzeniu z Bułgarii ks. Aleksandra Battenberga, umiał cierpliwie oczekiwać na uznanie go za księcia przez mocarstwa, tak i teraz wie, że prędzej czy później dyplomacja europejska pogodzi się ze złamaniem traktatu berlińskiego. Zwłaszcza dzieje państw bałkańskich pełne są międzynarodowych „wiarołomstw”, które uchodziły bezkarnie. Przyłączenie Rumelii Wschodniej było takim samym złamaniem traktatu i stworzeniem *fait accompli*, który dyplomacja musiała po szeregu zastrzeżeń zarejestrować i sankcyonować. Bułgaria pod wpływem podniecenia patryotycznego może obecnie zapragnąć urzeczywistnienia marzeń o wielkobułgarskiem „carstwie” i przyłączenia zagrożonej dla niej przez przewrót konstytucyjny Macedonii. Pomimo doskonałego jakoby stanu jej armii, wojna z Turcyą w ostatecznym wyniku skończyłaby się klęską; przed przewrotem wkroczenie armii bułgarskiej do Macedonii i zajęcie Adryanopola mogłoby zmusić drżącego przed rewolucyą sułtana do pośpiesznego zawarcia pokoju; teraz wojna nie przedstawiałaby żadnych szans dla Bułgarii. Znaczący stosunków bałkańskich utrzymują, że o ile uniknie się obecnie zatargu zbrojnego, nie jest wykluczone rychłe zbliżenie się Bułgarii do Turcyi, dla której niepodległe królestwo może być lepszym sąsiadem, niż samodzielne księstwo lenne, gotowe zawsze do paktów z wrogami państwa zwierzchniczego.

I dyplomacja austriacka zrozumiała, że zaskoczenie mocarstw faktem dokonanym — aneksyą Bośni — jest daleko pewniejszym posunięciem politycznym, niż przewlekłe rokowania z przedstawicielami państw. Wprawdzie Austria okupowała Bośnię i Hercegowinę na mocy mandatu europejskiego w celu uspokojenia tych krajów, bez określonego terminu (delegaci austriaccy na kongresie berlińskim nawet jakoby stwierdzili wobec delegatów tureckich, że okupacja jest tylko czasowa), ale nie łudzono się chyba, że monarchia Habsburska, która z wielką energią zajęła się nadaniem Bośni charakteru kulturalnego i włożyła w inwestycje wiele milionów, dobrowolnie z niej się wycofa. Jednak ponowne stwierdzenie utrwalenia wpływu Austrii na Bałkanach zaostriżyło apetyty zaborcze innych mocarstw. Austria stała się za swe „wiarołomstwo” przedmiotem ostrych napaści i nienawiści ze strony tych, którzy nie mieli sposobności do obciążenia swego sumienia grzechem przeciwko traktatom międzynarodowym. Dla Austrii takie zakończenie jubileuszowego roku panowania Franciszka-Józefa, który piastował w duszy

ideał odzyskania świetności dla domu Habsburgów przez zdobycze na Bałkanach, jest faktem historycznym. Jednoczy ono kłójące się stale połowy monarchii koło wspólnego dobra i wspólnej polityki; zaskrzepłej w kwietyzmie dyplomacji austriackiej stawia przed oczyma nowe zadania czynnej polityki imperyalistycznej. Zwolennikiem jej jest wysuwający się coraz więcej na plan pierwszy następcą tronu, arcyksiążę Franciszek-Ferdynand, istotny sprawca aneksyi, a jego człowiekiem jest baron Aehrenthal, niezwykle zręczny jej aranżer.

Bar. Aehrenthal tak umiał zagrać na czułych strunach państw europejskich, tak potasował karty, że słusznie wzbudził podziw powszechny i okrzyknięty został za pierwszorzędnego dyplomatę. Wobec Turcyi występuje Austria w roli wspaniałomyślnej: tytułem kompensaty za aneksję Bośni wycofuje swe wojska z sandzaku Nowobazarskiego. Traktat bowiem berliński pozwalał Austrii na utrzymywanie w nim załóg i budowę dróg strategicznych i handlowych. Sandzak, oddzielający Serbię od Adryatyku i Czarnogórza, zamieszkały przeważnie przez Serbów, stanowił część Bośni; Austria, która na kongresie sprzeciwiała się zajęciu go przez Serbię, nie życząc sobie zjednoczenia dwóch państw serbskich i utworzenia wielkiego państwa Serbskiego, nie chciała go okupować ze względu na trudności strategiczne. Obecnie Turcyja będzie broniła sandzaku Nowobazarskiego przed pożądlivością Serbów, a z powodu jego położenia geograficznego, zwłaszcza jeżeli budowa przez Austryę projektowanej kolei przez sandzak ku Salonice dojdzie do skutku, Austria zachowa w nim wpływ dominujący.

Bar. Aehrenthal, który uprzednio zajmował posterunki dyplomatyczne w Rzymie i Petersburgu, potrafił wywieść w pole i ministra Izwolskiego, i ministra Tittoniego, podniecając apetyty Rosyi i Włoch mglistemi obietnicami ewentualnych zdobyczy bałkańskich, wzamian za przyzwolenie na aneksję Bośni w nieokreślonej bliżej przyszłości. Wkrótce potem Franciszek Józef zawiadomił listem własnoręcznym, aby nie dopuścić do pertraktacyi dyplomatycznych, że postanowił włączyć Bośnię do dziedzictwa Habsburgów, nie uznając w ten sposób prawa innych mocarstw do kwestyonowania prawomocności tego kroku; a baron Aehrenthal oświadczył w delegacyach austriacko-węgierskich, że działał z wiadomością Rosyi i Włoch. Wtedy dopiero spostrzegli ministrowie, że podszedł ich zręcznie kolega austriacki. Zapro-



testowali przeciwko twierdzeniu o swem przyzwoleniu na aneksję; między rządem austriackim a p. Izwolskim wywiązał się niepozbowiony pikanterii spór na temat tego, o czem mówili byli przyjaciele podczas tegorocznego spotkania w Buchlau.

Minister austriacki ofiarował był bowiem Izwolskiemu, idąc śladami Zagłoby, Dardanele. Fortel polegał na tem, że na przejazd floty rosyjskiej przez Dardanele nie mogłaby się zgodzić, jak sądził Aehrenthal, Turcja, a przedewszystkiem Anglia. Jej opór mógłby nadwerężyć, zgodnie z pragnieniem dyplomacyi austriackiej, niezbyt ugruntowane porozumienie angielsko-rosyjskie. Ale i ta problematyczna zdobycz Rosyi nie zadowoliła opinii rosyjskiej. *Nowoje Wremia* oskarżyło go o zdradę najwyższego przykazania polityki rosyjskiej — dobra Słowiańszczyzny, pytając jednocześnie z oburzeniem, czy nie sprzedał go za zbyt małą cenę (jak np. za przejazd przez Dardanele) i proponując, jako kompensatę za Bośnię, odstąpienie Rosyi — Galicyi. Nie bez powodów zaniepokoiła się opinia rosyjska. Austria zdobyła sobie nowe wpływy w Słowiańszczyźnie południowej, Austria z konieczności musi prowadzić politykę, liczącą się ze Słowianami, — niebezpieczny to rywal dla Rosyi. Austria wcieliła prawie dwa miliony ludności słowiańskiej; mogą się urzeczywistnić marzenia Chorwatów o stworzeniu wielkiego królestwa południowo-słowiańskiego pod berłem Habsburgów z przeważającą kulturą łacińską. Nawet najzagorzalsi słowianofile, jak np. Kramarz lub Hribar — o zdrażliwych „Lachach“ nie ma co mówić — oświadczyli swą radość z powodu aneksyi Bośni. Austria poparła „cara“ Ferdynanda i zyskała sobie silnego sprzymierzeńca na Bałkanach, z którym ma istnieć tajemna umowa, tymczasem Rosya mniemała, że Bułgaria tylko przy jej pomocy może w przyszłości uzyskać niepodległość. Dwa tylko narody słowiańskie — Rosyanie i Serbowie — pragnęłyby, ażeby Bośnia pozostała pod panowaniem Turcyi. Aneksya Bośni była ciosem śmiertelnym dla ideałów wielkoserbskich, na który żywiły gorętsze nie znalazły innej rady, jak krok samobójczy — wojnę z Austrią. W chwili rozpaczy zapomniano o wojnie dyplomatycznej z Czarnogórzem — i nastąpiło natychmiastowe pojednanie. Dotychczas nie zaniechano myśli wywołania przy pomocy „band“ serbskich powstania i wojny podjazdowej w Bośni. Serbia liczyć może na to, że przegrana wojna nie pociągnie za sobą utraty niezawisłości, gdyż na przyłączenie jej do Austrii nie zgodzą

się inne mocarstwa; zresztą niektórzy uważają, że zjednoczenie wszystkich Serbów pod panowaniem austriackiem byłoby lepsze od obecnego rozdarcia narodu. Spekulowanie na to, że w razie wojny podjazdowej opinia rosyjska w myśl tradycji zmusi rząd do ujęcia się za Serbią, jest czystą utopią. Demonstracye w Belgradzie stwierdzają, że Serbowie liczą raczej na poparcie Anglii i Francyi.

Sytuacya Rosyi zmusiła ją do przyłączenia się do tych mocarstw, które żądają, aby wszelkie zmiany traktatu berlińskiego były uznane przez wszystkie mocarstwa, podpisane na tej umowie międzynarodowej. Zjawisko dość oryginalne. Łamie traktat berliński Austria, która na nim najwięcej a bez przelewu krwi zyskała, dzięki poparciu, a nawet wnioskom Anglii, a prasa angielska obecnie nie ma dość słów potępienia za aneksyę Bośni. Broni nietykalności Turcyi, broni poszanowania dla traktatu — Rosya, dla której traktat ten był ciężką klęską dyplomatyczną, pozbawiającą ją owoców pokoju w Sanstefano. A czyni to między innemi z powodu, że Bułgarya, której projektowane terytoryum tak niemiłosiernie okrajał kongres, która miała pozostawać właściwie, według pierwotnych planów rosyjskich, wasalem Rosyi, przestała być lennikiem Turcyi.

W równie ciężkiem położeniu znalazły się Niemcy. Jeżeli wierzyć wciąż ponawianym oświadczeniom urzędowym, rząd niemiecki (pomimo konferencji podczas lata arcyksięcia Franciszka Ferdynanda z cesarzem Wilhelmem i bar. Aehrenthala z p. v. Schönem) został także zaskoczony postępowaniem swego najwierniejszego sojusznika. Znalazł się między młotem a kowadłem. Austria miała prawo wymagać bezwzględnego poparcia swych planów w nagrodę za „świetne usługi sekundanta” podczas konferencji w Algeciras, za wierność dla Rzeszy podczas angielskich prób izolowania Niemiec. Z drugiej strony Niemcy, podtrzymując politykę austriacką, narażały resztę swych topniejących szybko wpływów nad Bosforem, do których przywiązują wielką wagę. Oburzenie Turków skierowało się w równej mierze przeciwko Austrii i przeciwko Niemcom, podżegającym — jak myślano — Austryę do aneksyi Bośni, aby doprowadzić do upadku anglofilskich i frankofilskich Młodoturków. Niemieckie pisma urzędowe i półurzędowe, spostrzegłszy niebezpieczeństwo, zaczęły wypierać się współnictwa z akcyą austriacką i potępiać jej niestosowność, twierdząc, że Niemcy, spytane o zdanie, odradziłyby Austrii czynienia takiego kroku w tak

nieodpowiedniej chwili, a ponieważ nie były o zamiarach sprzymierzeńca poinformowane, nie mogą ponosić za nie odpowiedzialności. Gorzkie wymówki kierowniczej opinii niemieckiej rozzłościły polityków austriackich. Chrześcijańsko-społeczna *Reichspost*, której stosunki z następcą tronu są znane, odpowiedziała ostro, że postępowanie Austrii spotkałoby się z daleko bardziej przyjacielskim stanowiskiem Anglii, gdyby Austria mniej była wierna trójprzymierzowi i gdyby podczas spotkania w Ischlu z królem Edwardem cesarz Franciszek Józef nie był odrzucił wszelkiego kompromisu politycznego kosztem trójprzymierza. Półurzędowa *Köln. Ztg.*, krytykując mowę w delegacjach posła Kramarza przeciwko trójprzymierzowi, oświadczyła, że właśnie obecnie mogłyby Niemcy zbliżyć się do mocarstw zachodnich i wzmocnić swe stanowisko w Turcyi, gdyby zdradziły sprzymierzeńca. Takie wzajemne wykluczanie sobie oczu przez serdecznych do niedawna przyjaciół jest zjawiskiem znamienem; nie można jednak stąd wysnuwać wniosku, że przymierze austriacko-niemieckie jest zachwiane: cesarz Wilhelm miał jakoby w liście do cesarza Franciszka Józefa zapewnić o poparciu dyplomatycznym, a w razie konieczności i orężem ze strony Niemiec. Szczerze stały po stronie Austrii tylko pisma centrowe, gdy wolnomyślnie i protestanckie niedwuznacznie wyrażały swe niezadowolenie. Rzecz zrozumiała. Centrum ma ścisłe stosunki ze stronnictwem chrześcijańsko-społecznem w Austrii, stronnictwem najsilniejszym, dbającym o silne mocarstwowe stanowisko państwa, wiernem dla dynastji i cieszącem się sympatją następcy tronu. Partye natomiast liberalne nie zapatrują się przychylnie na aneksję Bośni, nie śmieją tylko jawnie przeciwko niej wystąpić, gdyż pamiętają, że protest przeciwko okupacyi przed 30 laty zdziesiątkował potężną przedtem partję liberalną i pozbawił ją wpływów u rządu. Otwarcie przeciwko aneksyi oświadczyli się tylko Wszechniemcy. Uczynili to przedewszystkiem z obawy przed wzrostem znaczenia Słowian w monarchji. Pod wpływem aneksyi wzrosnąć może dążność do zmiany ustroju monarchji na federacyę: i wzmocni się żywioł słowiański, który coraz śmiej i ostrzej walczy z hegemonią niemiecką w Austrii.

Z rozgoryczenia Niemiec chciał skorzystać minister Izwolski, usiłujący wszelkimi sposobami zrehabilitować się w oczach opinii rosyjskiej, i powziął podobno plan zupełnego odosobnienia Austrii przez wciągnięcie Niemiec do porozumienia pięciu mocarstw w sprawie bałkańskiej. Zamiary te, oczy-

wiście, spełznąć musiały na niczem. Izwolski pragnął uzyskać dla Rosji kompensatę za złamanie przez Austryę traktatu berlińskiego, a to w postaci zniesienia zakazu przejazdu przez Dardanele dla floty rosyjskiej. Przedstawiciel rosyjski popierał również, w myśl starej polityki słowiańskiej Rosji, żądanie odpowiednich „odszkodowań” dla Serbii i Czarnogórze. Redaktor *Eclaira*, Judet, twierdzi, że uprzednio Anglia, starając się umocnić porozumienie z Rosyą i doprowadzić do współdziałania na Bałkanach, obiecywała sprawę Dardanelów rozwiązać zgodnie z interesami Rosji. Ale w obecnej chwili zjawienie się ministra rosyjskiego z takimi propozycjami stawiało politykę angielską na rozdrożu. Anglia i Francya rzuciły wspólnie projekt zwołania konferencji międzynarodowej, aby utrzymać fikcyjną zasadę nienaruszalności traktatów bez zgody wszystkich mocarstw, przedewszystkiem zaś dlatego, aby okazać poparcie moralne i materyalne Turcyi i utrwalić w niej zachwiany ustrój konstytucyjny. Stały te państwa na stanowisku mocarstw bezpośrednio niezainteresowanych wypadkami bałkańskimi, a dążących jedynie do pokojowego uregulowania sporów i dania zadośćuczynienia ciężko doświadczonej Porcie. Plany Izwolskiego, którego chciano pozyskać dla pogłębienia idei porozumienia rosyjsko-angielskiego, były z temi założeniami wręcz sprzeczne. Minister Grey z początku nie chciał słyszeć o sprawie Dardanelów. Później, pod wpływem dyplomacyi francuskiej, zarzucano mu, że w ciągu kilku dni trzykrotnie zmieniał zdanie i poczynił ustępstwa. Sprawa przejazdu przez cieśniny nie będzie wniesiona na konferencyę międzynarodową. Ma ją załatwić Rosya z bezpośrednio zainteresowaną Turcyą, zawarty zaś układ potwierdziłyby ewentualnie inne mocarstwa. Według projektu, tylko statki wojenne państw, których terytorya dotykają morza Czarnego, mogłyby w czasie pokoju przepływać przez Dardanele, w razie zaś wojny cieśniny byłyby otwarte dla wszystkich stron wojujących.

Program przyszłej konferencyi został przedwcześnie, po opracowaniu go przez Anglię, Francję i Rosyę, ale przed zakomunikowaniem go pozostałym mocarstwom, za sprawą czyjejś niedyskrecyi (podejrzewano o nią Izwolskiego) ogłoszony przez półurzędową agencyę telegraficzną *Havasa*. Ta próba narzucenia programu przez „trójporozumienie” trójprzymierzu zrobiła fatalne wrażenie i zmniejszyła szanse urzeczywistnienia konferencyi. W pierwotnem brzmieniu była nawet mowa o wynagrodzeniu terytoryalnem Serbii i Czarnogórze,

co byłoby możliwe albo kosztem Austrii — przez oddanie części Hercegowiny, łączącej Serbię z Czarnogórzem, albo kosztem Turcyi — przez zajęcie sandzaku Nowobazarskiego. Na skutek protestu Austrii punkt ten zmieniono. Program nie zawierał gwarancyi nietykalności posiadłości tureckich, włączono zaś do niego kwestye Krety i pretensye Serbii i Czarnogórza, gdy tymczasem Porta żądała tylko rozważenia sprawy aneksyi Bośni i niezawisłości Bułgaryi. Nie mogła również Porta zgodzić się na wywody gazety paryskiej *Temps*, że kwestya Dardanelów nie ma dla Turcyi wielkiej wagi, gdyż dotychczasowe zamknięcie cieśnin nie gwarantowało bynajmniej bezpieczeństwa Carogrodu i było tylko wyrazem starcia się interesów przeciwnych Anglii i Rosyi, które obecnie harmonizują z sobą. Turcyja, widząc, jaki fatalny obrót, grożący jej nowemi klęskami, bierze proponowana przez nią konferencya międzynarodowa, postanowiła, ile możliwości, udaremnić jej zebranie się. W pierwszej chwili zdecydowano się na wojnę ze zbrojącą się wciąż Bułgaryą. Gdy atoli niebezpieczeństwo starcia zostało złagodzone, zrodziła się myśl nowa — bezpośrednich pertraktacyi z Bułgaryą i Austryą i załatwienia zatargu z obydwojma państwami w drodze sąsiedzkich układów, bez kosztownego pośrednictwa czynników postronnych. Jeżeli układy doprowadzą do pomyślnego wyniku, owocem ich może być zbliżenie Bułgaryi i Austrii do Porty i — zaniechanie konferencyi, która stałaby się bezprzedmiotową. Tym sposobem przegrałby p. Izwolski ostatnią stawkę, ale straciłaby dużo na rzecz Austrii i Niemiec i Anglia, zgodziwszy się na propozycye szkodliwe dla interesów zaprzyjaźnionej z nią Turcyi.

*B. Wasiutyński.*

---

## Z P R A S Y.

---

### STYL WSPÓŁCZESNY W ARCHITEKTURZE.

Podpisujący pseudonimem *Lynkeus* swe „Listy z Krakowa”, felietonista *Czasu* podaje fikcyjną rozmowę „Krakowianina” z „Obcym” na temat budownictwa współczesnego.

Na plantach stali: szykowny jegomość o angielskim typie i Krakowianin (w najogólniejszem znaczeniu typ). Mówili po nie-

miecku. Zaciekawiony kilku słowy, notowałem w pamięci ich zasadniczą dyskusję, jako przyczynek do psychologii Krakowa, a zresztą nietylko Krakowa.

K r a k o w i a n i n: Coraz liczniej odwiedzają nas cudzoziemcy... Czy Europa wciągnie Kraków do rejestru „słynnych świątyń sztuki”?

O b c y: Powinnaby. Tysiące płyną za reklamą do miast bez porównania mniej interesujących. Tu prawie na każdej ulicy coś zajmie, uderzy. Jedno pytanie: gdzie macie n o w s z e budowle? Interesują mnie.

K r a k o w i a n i n: Stoimy przed taką: oto *Collegium Novum*.

O b c y: Ach, tak... Nie o tem myślałem. Mówię o wielkiem dziele współczesnej architektury, o rzeczy własnej.

K r a k o w i a n i n: Rozumiem... To budował architekt-artysta, talent niemały, a że obrał styl gotycki, to rzecz inna. W gotyku...

O b c y: W gotyku także może wyrazić się artysta samodzielny — chce pan powiedzieć. Zgodzę się, w tej formie: szkoda, że artysta samodzielny nie mówi własnym językiem. Ale gdy mówi cudzym ładnie, poprawnie i biegle, wysłuchamy go z uznaniem, iż tyle się napracował.

K r a k o w i a n i n: To radykalizm. Przesadny kult indywidualności. Każdy architekt ma budować według stylu własnego? Jak to zgodzić z historią architektury? ze stylami, jakie tworzyła?

O b c y: Więc czemu nie tworzyć stylu, zamiast naśladować już istniejące? Czemu nie budować w stylu współczesnym?

K r a k o w i a n i n: Secesja? Dziękuję! Piękne propozycje!

O b c y: Jako secesja? „Nowy styl?” Ależ to dzieciństwo, jeśli idzie o architekturę. To nie treść sztuki, lecz jej ornament, przydatek, zbyteczność. Dla mnie flores „secesyjny”, jak pan powiada, wart tyleż, co renesansowy lub gotycki. To znaczy: nic.

K r a k o w i a n i n: Nie rozumiem bez przykładu. Wyobraźmy sobie, że Kraków buduje gmach, dajmy na to, gmach straży pożarnej: ja proponuję renesans, kto inny gotyk, a pan...

O b c y: A ja — dzieło sztuki. Architektura ma dwa punkty wyjścia. Jeden realny: stworzyć coś, co odpowie potrzebie; drugi idealny: dać wrażenie artystyczne. Pokrycie potrzeby — to rzecz inżyniera budowniczego, i pod tym względem, który nazwałbym ortografią praktyczności, wszyscy zgodzimy się na jedno, nie używając niczego więcej, prócz zdrowego rozsądku. Zamieszanie rozpoczyna się dopiero tam, gdzie idzie o danie piękna, jako *superplus* użyteczności. To *superplus* może powstać tylko z ducha twórczego, artystycznego. Komu brak twórczości, nie zastąpi jej pozbieraniem odpadków archeologicznych, którymi przystroi swą „użyteczność”

K r a k o w i a n i n: Ale styl, styl!...

O b c y: Styl był zawsze wpływem idei, poruszających ludzkość. Wesoły kult bogów pozostawił w Grecji wspaniałe świątynie; państwowe i społeczne dążności Rzymian wcieliły się w cyrki, termy, akwedukty i bazyliki; nadzmysłowe, życie religijne średniowiecza skryształizowało się w tumach gotyckich; wspaniałość dworu książęcego i królewskiego wypowiedziała się architektonicznie w budowlach odrodzenia i baroku. Nasze czasy są epoką rozwoju techniki i tryumfem człowieka nad przyrodą. My mamy mosty, dworce kolejowe, hale targowe, wiadukty, elektrownie, gazownie...

K r a k o w i a n i n: ...które budujemy w renesansie, rokoku, gotyku...

O b c y: I w tem upadek architektury. Szukamy artystycznego znaczenia w tem, co nieistotne, w ozdobach, przyczepkach, ornamentach dawnych wieków, nie w rzeczy samej i w jej celu. Budowniczy gotycki tworzył swe gmachy z pewnością nie mniej „rzeczowo” od naszych inżynierów; Rzymianin patrzył na koloseum tak, jak my na dworzec kolei. Piękna była i będzie po wiek wieków architektura: celowa, rozumna, rzeczowa. A my stawiamy dzisiaj halę wystawową w stylu romańskim, lub wielką restaurację na wzór *Capella palatina*. Coby pan powiedział na człowieka, chodzącego dziś do pracy zawodowej w zbroi rycerza średniowiecznego lub w tunice greckiej? Naśladowanie martwych stylów jest taką maskaradą.

K r a k o w i a n i n: Przesada! Tradycja architektoniczna—to jak język, który rodzi się u kolebki narodu i razem z narodem rośnie. Rozwijając dawne formy...

O b c y: My je naśladowujemy. Architektura ma dziś kilka języków — że przejmę pańskie porównanie, — lecz wszystkie martwe. Tak powstała wieża Babel martwych języków. Gdzie język naszych czasów? Na Węgrzech do końca XVIII wieku łacina była językiem urzędowym, bo własnego węgierskiego nie uznawano.

K r a k o w i a n i n: W Polsce język nasz był całe wieki poza literaturą.

O b c y: Lecz w końcu wszedł w nią, prawda? A język nie jest celem sam w sobie, lecz środkiem wyrażania myśli. Czy będzie posługiwał się językiem Eddy Niemiec dzisiejszy, pisząc przewodnik po Berlinie, czy powieść współczesną? Nie. Tylko architektura, gdy żądamy od niej szkoły, częstuje nas renesansowym pałacykiem, a zamiast teatru daje maurytańską świątynię—jak to się trafia w Londynie. Styl współczesny? Krótko mówiąc: zrodzi się on nasamprzód z potrzeb technicznych stulecia, następnie z materiału (żelazo, szkło), nakoniec z najogólniejszej różnicy przezna-



czenia między dawnymi budowlami do końca XVIII wieku a dzisiejszymi. Tam najogólniejsze przeznaczenie było formalistyczno-reprezentatywne; to już wypływało z form kultury, którą nazwałbym artystokratyczną. Ozdoby, przyczepki, to wszystko, co nazwałbym frazeologią architektury, to było wówczas dzieckiem i potrzebą ducha czasu. Wówczas to było piękne, bo było logiczne, miało wewnętrzne, psychologiczne uprawnienie. Ale to samo, powtórzone dzisiaj, jest kulturalnym anachronizmem. My mamy do zaspokojenia inne potrzeby fizyczne i duchowe. Naukowy sposób myślenia, jaki cechuje naszą epokę, musi wyrazić się w pięknie, w swoim pięknie. A tem pięknem może być np. przede wszystkim jasne, rzeczowe uwydatnienie, że gmach jest przeznaczony na dany cel, wydobyć piękności materiału budowlanego, wreszcie logiczna, konsekwentna konstrukcja. Pamięta pan, co matka Hamleta mówi do Poloniusza, majstra frazeologii: *More matter, with less art*. Więcej treści, mniej sztuki. Dlatego powiedziałem, że „modernistyczne” formy są takim samym martwym językiem, jak archeologiczne, bo są formami, które przylepiły się do architektury z zewnątrz, nie wyrosły z jej łona. Nowe potrzeby tworzą przez artystów nowe formy. Kto wychodzi z założenia, że „trzeba być modernistą”, ten bierze za założenie formę, nie treść.

K r a k o w i a n i n: A więc, przez konsekwencję, budowniczowie renesansowi również przeżuwaliby formy dawno istniejące i przystosowali do nich treść architektury? Znalazł się pan w pułapce!

O b c y: To też dla mnie gotyk był ostatnią fazą samodzielności architektonicznej. Renesans przyswoił sobie obce punkty widzenia, i choć wzmógł rozmach życia wogóle przyniósł rozkwit budownictwa, to jednak widzę w nim przede wszystkim wartości pochodne, idee zasadnicze — nieoryginalne. Na szczęście, budowniczowie Odrodzenia mieli dość ograniczone wiadomości w zakresie antyku. To uchroniło ich od bezmyślnej imitacji, pozwoliło tworzyć. My, dzisiaj, znamy na palcach wszystkie style... To też bogini Architektura zahypnotyzowała się przeszłością. Można by sądzić, że od połowy XVIII wieku nikt nie myślał nad tem, jak rozwiązać rzeczowo problem architektoniczny, tylko w jaki kostium go ustroić, w jaki schemat go wtłoczyć! Architektów opanowała jak gdyby mania, że ich dzieła muszą koniecznie wyglądać tak, jak gdyby pochodziły z jakiejś minionej epoki! Czy architektura przestała być żywą sztuką? Czy świat przestał iść na przód? Nie. Teraźniejszość zadaje nam ciągle nowe problemy, ludzkość pracuje w pocie czoła nad ich pokonaniem, a tylko architektura siedzi w muzeum i bawi się kopiowaniem!

K r a k o w i a n i n: Cóż pocznie architekt, gdy mu przyjdzie uzupełnić kompleks gmachów stylowych? Jak wybuduje coś w gotyku, gdy tego trzeba, jeśli nie potrafi praktycznie zastosować owego kopiowania?

O b c y: Uzupełniać, dobudowywać?... Pan myśli o „dociąganiu do stylu” nowych budowli. Wiem, często napotyka się miasta, które szpecą się dobrowolnie owem „dociąganiem”. Kiedyż narreszcie zrozumiemy, że np. Norymberga jest największym składem falsyfikatów na świecie? Tam pokolenia prześcigały się w bezpłodnej imitacji tego, co wyrażało kulturę wieków minionych. Niech podrabiacze starych fasad męczą się, jak chcą — nie będzie zgody artystycznej między oryginałem a kopią. Już następne pokolenie pozna, że imitator strzelił kulą w płot. Imitacja wygląda przy oryginale, jak plebejski surogat. Smutne to, że dziś jeszcze trzeba powtarzać: niema większego głupstwa, jak stawianie kopii obok oryginału. To, co byłoby może do przełknięcia samo w sobie, przy swym pierwowzorze występuje dopiero w całym fałszu i brzydocie naśladownictwa. Ale to powiem śmiało: prawdziwe dzieło sztuki, bez względu na epokę, godzi się zawsze z obok stojącym drugim dziełem sztuki, choćby jedno było gmachem romańskim, drugie dworcem kolejowym. Jednolitości wrażenia nie stworzy się imitacją stylu, lecz równowartością artystyczną. Ale na to, aby rzecz artystyczną stworzyć, trzeba mieć siłę artystycznego przekonania. Więcej — siłę entuzjazmu, wierzącego, że to, co czynię, jest jedynie dobre. Bez entuzjazmu nic się w sztuce nie zdziała — powiedział Robert Schumann; to, co on stosował do „płynnej architektury”, do muzyki, to samo ma walor i w „zamarzłej muzyce”, czyli w architekturze. Proszę mi znaleźć ową konieczność twórczą, to nieugięte: „ja mam jedynie rację”, — proszę mi je znaleźć u architekta, który przy kościele jest z przekonania „gotykiem”, przy gmachu rządowym wierzy tylko w barok, przy willi — w zamczek „rycerzy rabusiów”. Dawni architekci byli przeświadczeni że ten kierunek, który oni reprezentują, jest jedynie racjonalny. Stąd czerpali siłę, która pozwalała im oddać się zadaniu duszą i ciałem i w ramach „stylu” tworzyć dzieła indywidualne. Dziś z dramatu twórczego zrobiła się farsa transformacyjna!

Możesz sobie wyobrazić, Lynkeusie, jak zdumiewał się nasz Krakowianin rozmową w tym stylu!

Nastąpiła wzajemna prezentacja:

O b c y: Jestem Muthesius. Herman Muthesius, Niemiec, pracowałem długi czas w Anglii.

K r a k o w i a n i n: Bardzo mi przyjemnie... Tyle nowych, niezwykłych rzeczy dowiedziałem się od szanownego pana... prawdziwie, z przyjemnością, mogę rzec: z niezwykłą przyjemnością...

O b c y: Nowych rzeczy? Nie powiedziałem ani jednej nowej myśli ponad to, co spisałem w moich książkach. Mogę powiedzieć, że są nawet dość znane. „Nowa sztuka kościelna w Anglii”, „Architektura współczesna angielska”, „Styl i sztuka budownicza”, „Dom angielski”, „Przemysł artystyczny i budownictwo”.

„Obcy” nie dodał tego, co dla nas stanowi uwieńczenie jego poglądów. Artyści do jednego należący narodu, tworząc dzieła sztuki bez naśladownictwa kogokolwiek lub czegokolwiek, dojść muszą siłą rzeczy, poprostu dzięki swej wspólności duchowej, do wytworzenia stylu narodowego w budownictwie, tak jak doszli już w znacznym stopniu do wytworzenia szkoły polskiej w malarstwie.

## B I B L I O G R A F I A.

### NAUKI FILOZOFICZNE.

BIEDER BERNARD. Psychologia dziecka w świetle badań najnowszych. 8-ka, str. 84. Lwów, 1908. Nakł. „Pols. Tow. Pedagog.” Kor. 1.60.

DOROZIŃSKI JAN, prof. Zarys psychologii elementarnej. Podręcznik do użytku szkolnego i prywatnego. 8-ka, str. 153+III. Kraków, 1909. Karton. kor. 1.80.

HALPERN IGNACY, dr. fil. Filozofia absolutnego idealizmu Hegla w psychologicznym zrozumieniu. Odczyt. 8-ka, str. 20. Warszawa, 1908. Kop. 60.

LIBELT KAROL. Wybór pism pomniejszych. Wydał, wstępem i objaśnieniami zaopatrzył dr. Wiktor Hahn. Część I. Pomysły o wychowaniu ludów. 16-ka, str. 135. Warszawa, 1908.

### NAUKI SPOŁECZNE I POLITYCZNE.

Europa i Polska w XIX w. Rzut oka na główne momenta dziejów europejsko-polskich. Jako księga V rzeczy: „Czem byliśmy, czem jesteśmy, czem być możemy”. Przez autora „Zarysów stanu moralnego naszego społeczeństwa”. 8-ka, str. 2 nlb.+124. Kraków, 1908. Kor. 2.

KANTAK J. K., ks. Obowiązki społeczne i narodowe. 8-ka mała, str. 63. Poznań, 1908. Fen. 60.

KARBOWIAK MICHAŁ. Polskie reformatorskie myśli o wychowaniu narodowym. 8-ka, str. 13. Lwów, 1908. Hal. 60.

KRZYŻANOWSKI ADAM. Teorya Malthusa ze szczególnem

uwzględnieniem jej stosunku do prawa zmniejszającego się przychodu z ziemi (Law of diminishing returns). 8-ka, str. 148. Kraków, 1908.

## HISTORIA.

BALZER OSWALD. *Historia ustroju Austrii w zarysie*. Wyd. drugie, popr. i skróc. 8-ka duża, str. XVI+511. Lwów, 1908. Kor. 12.

BORATYŃSKI LUDWIK. *Przyczynek do dziejów pierwszych stosunków handlowych Gdańska z Włochami, a w szczególności z Wenecją*. 8-ka, str. 59. Kraków, 1908.

GROMNICKI TADEUSZ, ks. *Świętopietrze w Polsce*. 8-ka duża, str. 474. Kraków, 1908. Kor. 10.

KORZONKIEWICZ JAN, ks. *Ex oriente lux. Ślady Izraela wabytkach dawnego Wschodu*. 8-ka, str. 47. Kraków, 1908.

KURCZEWSKI JAN, ks. *Kościół zamkowy czyli katedra wileńska w jej dziejowym, liturgicznym, architektonicznym i ekonomicznym rozwoju*. 8-ka duża, str. 333. Wilno, 1908. Rb. 3.

KOLANKOWSKI L., dr. *Sprawy polskie przed Stolicą Apostolską w okresie rewolucji religijnej w Niemczech (1513—1534)*. *Odbitka z „Kwartalnika Historycznego”* 8-ka, str. 25. Lwów, 1908.

KOSCIŃSKI KONSTANTY. *Idea słowiańska na Kaszubach*. *Szkic historyczny*. 8-ka mała, str. 27. Poznań, 1908. Fen. 60.

KRUSZKA WACŁAW, ks. *Historia polska w Ameryce. Początek, wzrost i rozwój dziejowy osad polskich w Półn. Ameryce*. Wyd. poprawione i ilustrowane. T. XII. 8-ka mała, str. 205. Milwaukee, Wis. 1908. Opr. kor. 3.

PILAT ROMAN. *Historia literatury polskiej, wykłady uniwersyteckie, pod redakcją Wilhelma Bruchnalskiego*. Tom IV. część I: *Historia poezji polskiej XVIII wieku, czasy Stanisława Augusta (1764—1795)*, opracował Ludwik Bernacki. 8-ka, str. VIII+319. Warszawa, 1908.

*Studia historyczne*, wydane ku czci prof. Wincentego Zakrzewskiego. 8-ka, str. 6+1 nlb.+399. Kraków, 1908.

*Wiek XIX. Sto lat myśli polskiej. Życiorysy, streszczenia, wyjątki*. Pod redakcją Br. Chlebówskiego, Ign. Chrzanowskiego, Henr. Gallego, Gabr. Korbuta, Stan. Krzemińskiego. Tom IV. *Wypisy* № 463—584. 8-ka, str. 487. Warszawa. 1908. Rb. 1.80.

## ANTROPOLOGIA, ETNOGRAFIA, GEOGRAFIA.

BADURA WINCENTY. *Ludność polska pow. Łańcuckiego i Przeworskiego pod względem oświatowym i kulturalnym*. Z 4 rycinami. 8-ka, str. 32. Lwów, 1908. Kro. 1.20.

RADWAŃSKI JAN WIESŁAW. *Krótki zarys rzek polskich*. 4-ka, str. 123. Lwów, 1908. Kor. 3.

STOŁYHWO KAZIMIERZ. *Czaszka z Nowosiółki jako dowód istnienia w okresie historycznym kształtów pokrewnych z homo primigenius*. 8-ka duża, str. 27. Kraków, 1908.

## NAUKI PRZYRODNICZE.

KALINOWSKI ST. *Działalność pracowni fizycznych przy Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie*. 1905—1907. 8-ka, str. 55. Warszawa, 1908.

KAYSER EDMUND, dr. *Mikrobiologia rolnicza*. Przełożyli z franc. I. H. Górski i Z. Szostak. 8-ka, str. 341. Lwów, 1908. Kor. 4.50

SILBERSTEIN LUDWIK. Drgania elektromagnetyczne przewodnika kulistego. 8-ka, str. 85—95. Warszawa, 1908.

SUCHENI ANTONI. Początki chemii z uwzględnieniem mineralogii. Drugie, zmienione wydanie. 8-ka, str. 159. Lwów, 1908. Nakł. Tow. naucz. szkół wyższych. Opr. kor. 2.20.

SZMYDT TADEUSZ. Fizjologia roślin. Podług wykładu w Akademii Rolniczej w Dublanach. 8-ka, str. 207+nlb. 10+IV. Lwów 1908. Nakł. Tow. bratniej pomocy st. Ak. Roln. w Dubl. 1908. Kor. 5.

ZACHARIEWICZ JULIAN: Niemiecki związek monistów i Ernest Haeckel. 8-ka, str. 35. Kraków, 1908. Hal. 80.

## DZIELA O SZTUCE I KRYTYKA LITERACKA.

DYBOSKI ROMAN, dr. Powstanie Kościuszki w powieści angielskiej z r. 1803. 8-ka, str. 48. Kraków, 1908. Kor. 1.80.

G. B. Adama Mickiewicza „Oda do młodości” i „Farys”. 16-ka, str. 22. Warszawa, 1908. Hal. 20.

GÓRSKI ARTUR. Monsalwat. Rzecz o Adamie Mickiewiczu. Wyd. drugie. 8-ka, str. 232. Warszawa, 1908.

GUBRYNOWICZ BRONISŁAW. Adam Krechowiecki jako powieściopisarz. 8-ka, str. 22. Lwów, 1908.

MACISZEWSKI STANISŁAW. „Próchno” Wacława Berenta, powieść współczesna. Studium popularne. 16-ka, str. 37. Warszawa, 1908. Hal. 40.

PIETRZYCKI JAN. Nowe szczegóły o ostatnich chwilach Słowackiego. (Nieznany list Szczęsnego Felińskiego.) Notatka literacka. 8-ka, str. 8. Lwów, 1908. Hal. 30.

— Powstanie listopadowe w dramatach Stanisława Wyspiańskiego. Studium historyczno-literackie. Lwów, 1909.

SERWIN BOGUSŁAW. Próba charakterystyki twórczości Seweryna Goszczyńskiego. 8-ka, str. 34. Kraków, 1908.

ŚLIWICKI DANIEL. Twórczość literacka Stanisława Wyspiańskiego. 8-ka, str. 239. Lublin, 1908. Rb. 1.20.

UŁASZYN HENRYK. Kazimierza Mokłowskiego „Sztuka ludowa w Polsce”. Kraków, 1908.

WIŚNIEWSKI JÓZEF. Geniusz tragiczny. W przeddzień setnej rocznicy urodzin Juliusza Słowackiego. 8-ka, str. 43. Kraków, 1908.

WOLNICKI KAZIMIERZ. Stendhal i jego książka o miłości (z akwafortą oryg. Maryi Czajkowskiej). 8-ka, str. 46. Paryż, 1908. (Odbitka jako rękopis, w 138 egzemplarzach).

## POEZJA I BELLETRYSTYKA.

ORKAN WŁADYSŁAW. Miłość pasterska. 8-ka mała, str. 142. Lwów, 1908. Kor. 2.40.

SŁOWACKI JULIUSZ. Dzieła. Wydanie zbiorowe. Lwów, 1908 r. (Jest to pierwsze zupełne wydanie dzieł Juliusza Słowackiego w dzieściu tomach. Obecnie wyszły z druku tomy: II, V, VI, VII i VIII; tomy I, III, IV, IX i X wyjdą z początkiem listopada r. b.)

---

## KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCYI.

ANNUNZIO GABRYEL, d'. Miasto umarłe, tragedia w 5 aktach. Przełożyła z włoskiego J. Dyżewska. „Bibl. Dz. Wybor.”, № 554. Warszawa, 1908.

BELCIKOWSKI JAN. Wilhelm Feldman—Współczesna literatura polska, 1880—1904. Str. 40. Warszawa, E. Wende i S-ka, 1908.

BOGUSŁAWSKI EDWARD. Trzy recenzje prac Niederlego w przedmiocie starożytności słowiańskich. Str. IV+35. Warszawa, E. Wende i S-ka, 1908.

CHANKOWSKI HENRYK. Wykład popularny buchalteryi rolniczej amerykańskiej. Część I. Str. 145. Warszawa. Cena za dwie części rb. 1.50.

GNATOWSKI JAN, ks. Przeciw gorszycielom ludu. Warszawa Skład gł. u Gehethnera i Wolffa. Cena kop 20.

HEIJERMANS HERMAN. W przestrzeni, humoreska z niedalekiej przyszłości. Przełożyła Z. W. „Bibl. Dz. Wyb.”, № 550. Warszawa, 1908.

JAROSZYŃSKI TADEUSZ. Dwie nowelle. „Bibl. Dz. Wyb.”, № 546. Warszawa, 1908.

JEŻ TEOD. TOM. Zarnica, powieść bułgarska. „Bibl. Dz. Wyb.”, № 551—553. Warszawa, 1908.

KIELLAND ALEKSANDER. Napoleon i jego ludzie, przekład Maryi Kreczowskiej. „Bibl. Dz. Wybor.”, № 547. Warszawa, 1908.

KOMOROWSKI J. ST. Bajka o szczęściu. Warszawa, nakład autora, 1908.

MOŚCICKI HENRYK. Sprawa włościańska na Litwie w pierwszej ćwierci XIX stulecia. Str. 38. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1908.

— Wilno i Warszawa w „Dziadach” Mickiewicza, tło historyczne trzeciej części „Dziadów”. Z 23 ryc. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1908.

SOBESKI MICHAŁ. Żeromskiego „Dzieje grzechu”. Warszawa, E. Wende i S-ka, 1908.

WEYSENHOFF JÓZEF. Dni polityczne. Serya II (1905—1906). W ogniu. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1908.

WZDULSKI KONSTANTY. Czem jest Bóg? Badanie metafizyczne. Str. 30. Warszawa, 1908. Cena 50 kop.

---

Najnowszy zeszyt kwartalnika „Ekonomista” rozpoczyna wyczerpujące studium statystyczne Henryka Wiercieńskiego o osadnictwie niemieckim w Królestwie Polskim. Do pracy tej dołączana jest wielobarwna mapa, unaoczniająca, według poszczególnych gmin, kierunek osadnictwa i stosunek ludności niemieckiej do ogółu mieszkańców. Równie aktualna jest rozprawa d-ra Józefa Adamczewskiego p. t. „Walka ekonomiczno-polityczna o ziemię w Księstwie Poznańskim”. Doniosłej sprawie finansów samorządu poświęca „Ekonomista” dwie prace: poseł Wład. Grabski roztrząsa kwestyę „Ciężarów samorządu w Królestwie Polskim”, p. Jerzy Gościcki przedstawia całokształt „Podatków lokalnych we Francyi”. Obszerny dział stanowią kroniki: ekonomiczna (między innemi artykuł statystyczny p. Casparego o „Przemyśle węglowym w Królestwie Polskim”), finansowa i współdzielcza. Obfitą treść czasopisma dopełniają rozbiory i sprawozdania, przegląd czasopism i bibliografia.

---

# „Głos Warszawski”

Największe pismo codzienne w Warszawie.

Stawia sobie za cel być możliwie pełnym wyrazem polityki narodowej, życia polskiego i myśli polskiej we wszystkich dziedzinach.

„Głos Warszawski” kosztuje:

w Warszawie:		na Prowincyi:		za granicą:	
Rocznie	Rub. 9 k. 60	Rocznie	Rub. 12 k. —	Rocznie	Rub. 18 k. —
Półrocznie	„ 4 „ 80	Półrocznie	„ 6 „ —	Półrocznie	„ 9 „ —
Kwartalnie	„ 2 „ 40	Kwartalnie	„ 3 „ —	Kwartalnie	„ 3 „ 50
Miesięcznie	„ — „ 80	Miesięcznie	„ 1 „ —	Miesięcznie	„ 1 „ 50

Za zmianę adresu 20 kop. Cena numeru pojedynczego kop. 5.

CENA OGŁOSZEŃ w „GŁOSIE WARSZAWSKIM”: Za wiersz petitu na 4 str. — 10 kop.; reklamy i nekrol. — 15 k.; I-sza str. — 50 k.; nadesłane 30 k.; drobne za wyraz 2 k.; za druk grubszy — podwójnie; za tłómaczenie dolicza się 2 k. od wiersza. Za dołączenie prospektów do „GŁOSU” płaci się 10 rubli od tysiąca, oprócz opłaty pocztowej.

Adres Redakcyi i Administracyi: Warszawa, pl. Warecki N-r 2, telefonu 25-51.

---

# „EKONOMISTA”

pod redakcyą

**Stefana Dzięwulskiego,**

przy współudziale komitetu redakcyjnego.

Adres Redakcyi: Warszawa, Chmielna 30.

Administracya znajduje się przy ul. Podwale 4.

Ekonomista wychodzi w końcu każdego kwartału w zeszytach, zawierających 10 do 13 arkuszy druku.

**Cena „EKONOMISTY”**

w Warszawie:

rocznie . . . . . rb. 5 k. —  
półrocznie . . . . „ 2 „ 50

na prowincyi:

rocznie . . . . . rb. 6 k. —  
półrocznie . . . . „ 3 „ —

Prenumeratę za granicą przyjmuje księgarnia Gebethnera i S-ki w Krakowie. Rocznie 16 koron lub 13 marek. Półrocznie 8 koron lub 6 marek 50 fen.

Cena pojedynczego zeszytu rb. 1 kop. 50.

Przedpłatę pocztą najlepiej przesyłać wprost do Administracyi Podwale 4. Abonenci miejscowi w Warszawie mogą wnosić prenumeratę w Administracyi, tudzież w księgarniach.



# PRZEDPŁATA NA PRZEGLĄD NARODOWY

WYNOSI:

W WARSZAWIE:		Z PRZESYŁKĄ POCZTOWĄ:	
Rocznie . . . . .	rb. 8.—	Rocznie . . . . .	rb. 10.—
Półrocznie . . . . .	" 4.—	Półrocznie . . . . .	" 5.—
Kwartalnie . . . . .	" 2.—	Kwartalnie . . . . .	rb. 2.50

Odnoszenie do domu 15 kop, kwartalnie. Zmiana adresu 20 kop.

Cena numeru pojedynczego bez przesyłki pocztowej 1 rb.

Cena ogłoszeń: 30 kop. za wiersz petitowy lub jego miejsce

REDAKCJA: Smolna 10, m. 10; telefon 32.15.

ADMINISTRACJA: Nowogrodzka 31 m. 14, tel. 195.38, otwarta od 3-ej do 5-ej p.p. codziennie z wyjątkiem świąt i niedziel.

Przedpłatę na PRZEGLĄD NARODOWY przyjmują wszystkie księgarnie.

**ROK XXXII ISTNIENIA.**

## NAJTAŃSZA I NAJOBITSZA ILUSTRACJA DLA RODZIN POLSKICH „BIESIADA LITERACKA”

Z bezpłatnym dodatkiem powieściowym co tydzień  
52 ARKUSZE ROCZNIE. — Redaktor i wydawca **Miehał Synoradzki**.

„Biesiada Literacka” obejmuje wszystkie rodzaje literatury pięknej, chwilę bieżącą wszechświatową, historię, wiedzę gruntowną w formie popularnej, politykę, wychowanie, słowem wszystko, co stanowi potrzebę umysłu inteligentnego. Szczególniej uwzględniła dzieje ojczyste.

W r. 1908 drukuje powieści: historyczną *Kazimierza Głińskiego* „Złoty król Jegomości”; społeczną *Henryka Zbierzchowskiego* „Literat”. Nowele: *Elizy Orzeszkowej*, *Maryi Rodziewiczówny*, *Zuzanny Rabskiej*, *Tadeusza Jaroszyńskiego*, *Jerzego Orwicza*, *Stanisława Ostrowskiego*. Poezye: *Maryli Czerkawskiej*, *Wiktora Gomulickiego*, *Jana Kasprowicza*, *Maryi Konopnickiej*, *Or-Ota*, *Wacława Wolskiego* i innych wieszczów. Opowiadania historyczne: *Kazimierza Bartoszewicza*, *Maryana Dubieckiego*, *Aleksandra Kraushara*, *prof. Kazimierza Króla*. Szkice przyrodnicze i psychologiczne *prof. dra Ochorowicza*. Felietony społeczne: *K. Bartoszewicza*, *Z. Dębickiego*, *W. Gomulickiego*, *M. Synoradzkiego*, *J. Ursyna*.

W dziale ilustracyjnym: reprodukcje obrazów *Matejki*, *Siemiradzkiego*, *Brandta*, *Kossaków*, *Fałata* i innych mistrzów swojskich, a także najcenniejszych dzieł mistrzów cudzoziemskich.

Muzeum Pamiątek Narodowych: pomniki, gmachy, miejscowości historyczne, portrety znakomitych mężów i t. p.

W bezpłatnym dodatku powieściowym — utwory najwybitniejszych autorów polskich: *J. I. Krąszewskiego*, *Z. Kaczkowskiego*, *W. Łozińskiego*, *L. Sowińskiego*, *P. J. Bykowskiego* i innych.

Warunki prenumeraty:	w Warszawie:		na prowincyi:	
	Rocznie . . . . .	rb. 6	Rocznie . . . . .	rb. 8
	Półrocznie . . . . .	" 3	Półrocznie . . . . .	" 4
	Kwartalnie . . . . .	" 1,50	Kwartalnie . . . . .	" 2

Na żądanie administracja wysyła numer okazowy bezpłatnie.

Adres redakcyi i administracyi: **Warszawa, plac Warecki 4.**